

MARCIN BRAUN:

KROJCOK:

Państwowy Instytut Wydawniczy

Projekt okładki i stron tytułowych Piotr Gidlewski

* * *

Księgarnia internetowa www.piw.pl

© Copyright by Marcin Braun, 2010

© Copyright for the Polish edition by Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2010

ISBN 978-83-06-03248-2

Najzwyklejsze, codzienne doświadczenia przekonują nas, że każdy przedmiot rzucony bądź pionowo, bądź pod jakimkolwiek kątem w swoim biegu zbliża się ku ziemi i w końcu na nią spada. Może nie każdy; są balony, latawce i szybowce. Do tych wyjątków mógł dołączyć cienki zeszyt A6 upuszczony przez nieznaną Michałowi dziewczynę na ulicy Kołłątaja w Słupsku. Jednak wiatr, który na chwilę go unioś, ucichł. Na nic więc rozpaczliwe machanie kartkami; zeszyt spadł na chodnik ledwie kilka metrów od swojej właścicielki.

Jeszcze niedawno, gdy nie wypadało dziewczynie, nawet młodej, odezwać się do nieznanego chłopaka, nawet młodego, Michał mógłby uznać, że upuściła zeszyt celowo, stwarzając w ten niewyrafinowany sposób okazję do nawiązania kontaktu. Najwyraźniej jednak zeszyt wyfrunął ze zmęczonych rąk zupełnie przypadkowo. Zanim Michał oparł swój rower o ścianę, aby podejść i pomóc, schyliła się i podniosła go. A chwilę później sama zaczęła rozmowę.

- Widzę, że ty też z rowerem. Czy możesz mi powiedzieć, jak dojechać do Rowów?

Była mniej więcej rówieśnicą Michała, czyli miała może dwadzieścia, a może dwadzieścia pięć lat. Dość drobna, z okrągłą buzią. Ciemnorude włosy chyba nie były naturalnego koloru. Słowem, jak szybko ocenił Michał, raczej przeciętnej urody. Krótkie spodnie odsłaniały silne, ale jeszcze zgrabne łydki. Pewnie przebrałaby się, gdyby miała gdzie; o tej porze robiło się już zimno.

Cały dobytek zabrała ze sobą w dwóch sakwach zasłaniających znaczną część tylnego koła, a co się tam nie zmieściło, czyli śpiwór, goretex i reklamówkę z kilkoma ubraniami, przypięła na bagażniku. Na kierownicy wisiała jeszcze mała torba, w której zza folii wyglądała mapa Ziemia kaszubska 1:100 000.

Rower Michała wyglądał podobnie, był nawet bardziej objuczony, bo nad sakwami znalazły się nie tylko śpiwór, ale także karimata i namiocik. Chłopak często bywał w sklepach sportowych po ten czy inny drobiazg i nic z wyposażenia pytającej nie wzbudziło jego zdumienia, „O, u nas tego nie znają”; prawie wszystko jednak było albo innej firmy, albo przynajmniej innego typu niż produkty sprzedawane w Polsce. Dlatego zanim się jeszcze odezwała, podejrzewał, że jest cudzoziemką. Gdy wreszcie zagadnęła, nie zdziwił się, że po angielsku.

- Rowerem czy z rowerem?

- Z rowerem. Pociągiem albo autobusem.

- Obawiam się, że publiczne autobusy w Polsce nie zabierają rowerów. Pociągi - owszem, ale do Rowów pociągi nie dojeżdżają. Możesz pojechać do Ustki i stamtąd rowerem. Albo złapać jakąś ciężarówkę.

- To może być niebezpieczne.

- Bez przesady - uśmiechnął się. - Ten kraj nie jest aż tak dziki. Ale podjedźmy na dworzec kolejowy, zobaczymy, czy coś jeszcze jedzie do Ustki.

- A jak daleko jest stamtąd do Rowów?

- Ze dwadzieścia kilometrów.

Ruszyli spod sklepu, w którym oboje kupowali wcześniej coś do picia. Minęli wywrócony stalowy pojemnik. Napis: „Wrzuć niepotrzebne ubranie - pomożesz ubogim” przekreślony był sprayem; obok tym samym kolorem napisano: „Dlaczego Państwo nie pomaga?”. Jeszcze kilka napisów na murach: dwa razy „Żyźdi do gazu”, raz „Lehja huie”, raz „SLD - nie, LSD - tak” i już byli na miejscu.

- W tej Ustce chyba można przenocować? - zapytała.

- Oczywiście. To duży kurort. Popatrzmy na rozkład... Masz szczęście. Za pół godziny pociąg. Pomogę ci kupić bilet, bo jeśli nie znasz polskiego, to przy kasie będziesz miała kłopoty.

„Gdybym tylko jechał tak po prostu na wycieczkę, jak pewnie myślisz, pojechałbym z tobą do tej Ustki”.

jeśli nawet dziewięćdziesiąt dziewięć procent ważnych rzeczy w naszym życiu zaczyna się od błahych zdarzeń, to i tak od dziewięćdziesięciu dziewięciu procent błahych zdarzeń nie zaczyna się nic ważnego. Nigdy z góry nie wiemy, który epizod należy do tego jednego procentu, i Michał też nie wiedział. Pogadał chwilę z dziewczyną, pomógł jej zapakować się do pociągu, a sam wsiadł na rower i przez Siemianice, Lubuczewo, Gąbino dotarł późnym wieczorem do Objazdy.

Rozdział 1

NA PÓŁNOC

Na północ - Zachód z Wschodem w zespoleniu (ulubiony klasyk Michała)

na północy ściał mróz
z nieba spadł wielki wóz
przykrył drogi i pola, i lasy
myśli zmarzły na lód
dobre sny zmorzył głód
lecz przynajmniej się można przestraszyć

(ulubiona piosenka Michała)

1. Czarna Górka

Jedną z korzyści, które Michał odniósł z wyjazdu do Gdańska, była bliskość Kaszub. To doskonały teren na wyprawę rowerowe. Przyjemność jazdy stanowi tylko dodatek do przyjemności przebywania w takiej okolicy. Wsie i miasteczka, w których kościółek parafialny wygląda jak gdzie indziej katedra, ładne i zadbane domy, malowniczo rozrzucone wśród lasów jeziora, cmentarzyska starożytnych (lotów...

Linia kolejowa, która w latach trzydziestych pozwalała dowieźć węgiel z polskiego skrawka Śląska na polski skrawek wybrzeża przez polski skrawek terytorium pomiędzy Niemcami a Wolnym Miastem, dziś nie ma już strategicznego znaczenia. Ale na szczęście pociągi nadal nią jeżdżą, dowożąc rowerzystów w miejsca, z których można rozpocząć ciekawą wycieczkę, i zabierając ich z powrotem do domu. Ważniejsze od tej czynnej linii są dla turystów inne, dawno już zamknięte, a nawet rozebrane. Wyposażenie wielu z nich wywieziono na wschód w 1945 roku, niektóre padły ofiarą najnowszych czasów, gdy trzeba było zacząć myśleć

11

racjonalnie o pieniądzech, zamiast utrzymywać kolej tylko dlatego, że jest. Droga pozostała po linii kolejowej, jeśli tylko bez podkładów, to gratka dla rowerzysty. Przede wszystkim równa. Zwykle dość twarda. I wreszcie wolna od samochodów.

Już po kilku wycieczkach Michał zaczął bezbłędnie rozpoznawać na mapie ślady po nieistniejących kolejach. Nasyp, wykop, most w środku lasu. Na mapie, nawet setce, czyli w skali 1:100 000, część z nich jest zaznaczona. A gdy układają się w logiczną całość, można mieć niemal pewność, że kolej rzeczywiście tędy szła.

Tak samo jak w Szwajcarii Kaszubskiej mógł wykorzystać te umiejętności tutaj, nieco dalej od domu, pod Słupskiem. Było tu może mniej ciekawie; bez jezior i pagórków do oglądania zostały lasy i pozostałości infrastruktury kolejowej. Wsie też biedniejsze i bardziej zapuszczone niż na terenach, które już przed wojną były polskie i których nie zasiedlano od zera nowymi mieszkańcami. Ale tym razem nie pojechał przecież na wycieczkę.

Czy wysiłek, który włożył w zdobycie brytyjskich dokumentów, miał sens? Z pewnością i bez nich miał

szansę z grubsza odtworzyć sieć kolejową w pobliżu Czarnej Górki. Ale teraz mógł to zrobić dokładnie. Przede wszystkim zaś wiedział, które ze zrujnowanych zabudowań zaznaczonych w lesie należały do fabryki, a które były na przykład resztkami chlewika.

Kiedyś, gdy był jeszcze dzieckiem, zaskoczył go tytuł książki: Z mapą w nieznane. Jak to „nieznane”, skoro mamy mapę?

Ale oto sam pojechał z mapą w nieznane, bo choć na setce wszystko było logicznie ułożone, sytuacja w terenie zupełnie nie chciała się do tej logiki dopasować. Na mapie nigdy nie zaznacza się wszystkich dróg, a różnica pomiędzy większymi, zaznaczonymi, a mniejszymi, pominiętymi, jest dość płynna. Co więcej, zwykle zaznacza się leśne drogi tranzytowe, a pomija dojazdy do domów. Ale to właśnie dojazdy wykorzystywane są najczęściej, więc wyglądają znacznie lepiej niż teoretycznie ważniejsze trakty.

Teraz na przykład Michał stanął na rozdrożu, z którego odchodziło sześć dróg w sześć stron świata. Takiego miejsca na mapie nie było. Pewnie dwie drogi uznano za mniejsze... Tylko które? „Założmy, że jestem tutaj, w takim razie powinienem pojechać na północ. Czyli tam... Ciekawe, czy tędy szły tory...”.

Po kilku minutach wyjechał z lasu i zbliżył się do wsi. „Czarna Górka” - głosiła tablica. „A myślałem, że jestem jakieś dziesięć kilometrów stąd. Chyba mam kiepską orientację. Może we wsi zachowały się ślady? A może ktoś mi powie?”.

Ceglany budynek sklepu pamiętał chyba jeszcze czasy Schwarzenbergu. Na pewno pamiętały te czasy dębowe drzwi. Tylko zamków dorobiono więcej; wtedy pewnie były zbyteczne. Z wnętrza dobiegały dźwięki disco polo. - Poproszę półlitrową pepsi.

Ekspedientka miała koło dwudziestu lat, choć przerobiła się na trzydzieści pięć. W dawniejszych czasach byłaby ładną dziewczyną, gdyby tylko zadbała o swoją nieprzeciętną

13

urodę. Że jednak żyła w świecie sterowanym z telewizora, musiała się upodobnić do bóstw ekranu. Wychudła, tracąc pociągające kształty, utleniła kasztanowe włosy i wreszcie wszystko, co z urody pozostało, przykryła grubą warstwą środków chemicznych. No nie, ona na pewno nie zna historii wsi.

Miał szczęście: zanim wypił, pojawiła się starsza kobieta. Stała w drzwiach na zaplecze, pomiędzy regałem z konserwami, sokami w kartonach i - co najważniejsze - kilkoma gatunkami niewyrafinowanego alkoholu a lodówką z mlekiem i serkami. „Matka czy babcia?” - pomyślał i natychmiast uzyskał odpowiedź.

- O, ciocia, dobrze, że przysłaś. Ja muszę jechać szesnasta dwadzieścia do Rowów. Przyjdiesz tu za mnie?

- Miałaś dzisiaj siedzieć...

„Jak się zaczną kłócić, to nie skończą do jutra...”.

- Przepraszam panią, pani od dawna mieszka w Czarnej Górcie?

- Od wojny.

- To pewnie pani pamięta, czy tu była kolej...

- A pewnie, że była! Przed wojną to kolej tutaj dochodziła do każdego pegeeru. Nasza stacja była tam - kobieta wyszła przed dom i pokazała Michałowi ceglany budynek. - Tam, gdzie teraz GS. A w pobliżu była jeszcze większa stacja, teraz tam las rośnie. Czego tu przed wojną nie było! I hotel z restauracją, i stacja kolejowa, i kościół. No, kościół to, chwała Bogu, został. Ale hotelu nie ma, bo to teraz mała wieś, nie miasteczko, jak dawniej, kto by tam miał nocować.

- A jak tu było zaraz po wojnie?

- Ja tam dobrze nie pamiętam, miałam kilka lat. Gdyby mój teść jeszcze żył... On tu Polaków osiedlał, Niemców wysiedlał, wszystkich znał. Ale on już nie żyje od paru lat.

„Ubek, po prostu. Ale w takim razie naprawdę dużo wiedział. To ostatnia chwila, żeby spisać relacje tych ludzi. A kto powinien się tym zająć, jeśli nie gdańscy historycy? No, ja teraz nie muszę mieć wyrzutów sumienia, pracuję nawet na wakacjach. Swoją drogą, każdy mały chłopiec marzy o szukaniu skarbów, ale nie każdemu się to później udaje. Szukać nie sztuka. Zobaczymy, czy będę się miał czym pochwalić”.

Budynek dawnej stacji nosił dumny szyld „Market”. Używana przez mieszkańców nazwa GS była jednak znacznie bardziej adekwatna. Od frontu sklep nie wyróżniał się niczym szczególnym; może tylko wielkością, a i to nieznacznie. Solidnych, ceglanych domów było tu więcej. Wystarczyło jednak popatrzeć na budynek od tyłu, aby się przekonać, że jest to właściwie niemożliwe: ten dom nie miał tyłu, ale dwie równorzędne frontowe fasady. Z obu stron na honorowym miejscu nad drzwiami widniała wnęka; dziś pusta, ale kiedyś na pewno przeznaczona na zegar. Same drzwi też były szerokie; znacznie szersze niż potrzeba w sklepie, o zwykłym domu nie wspominając. Przecież stacja powinna mieć szerokie drzwi podkreślające powagę kolei żelaznych, choćby podróżnych nigdy nie wysiadało tu zbyt wielu. Powagę kolei żelaznych, konkretnie zaś Słupskich Kolei Powiatowych SA. A kto nie widzi powagi w słowie „powiatowy”, niech się potem nie dziwi, że cały kraj złożony z niepoważnych powiatów nie zasługuje na poważne traktowanie.

14

15

Nad oknami pierwszego (i jedyne) piętra można było, choć z trudnością, odczytać napis: „Schwarzenberg”. Michał zawsze odczuwał nieco masochistyczną satysfakcję z odczytywania takich starych, wielokrotnie zamalowywanych napisów, które w końcu i tak wychodzą na wierzch. Choćby były tak niechciane jak „Hitlerjugend” na starej kamieniczce obok Akademii Medycznej w Gdańsku.

Żadnej wątpliwości nie pozostawiał też pas ziemi za budynkiem i przylegająca do niego rampa. Ktoś kiedyś ułożył ją kamień po kamieniu, solidnie mieszając i rozprowadzając zaprawę. Nie dlatego, że

majster patrzy z drugiego końca placu budowy, ale że z nieba patrzy znacznie ważniejszy Majster, przed którym nikt fuszerki nie ukryje. I dlatego, że z tej rampy będzie pakował do wagonów świnie sąsiad Heinz i sąsiad Müller i może nawet wypakują na tę rampę jedną z tych nowych maszyn rolniczych, o których tyle opowiadają.

I dlatego, że nikt nigdy w Schwarzenbergu nie pracował kiepsko; bo po co kiepsko, skoro można solidnie.

Wyglądało, jakby Ruscy przyszli zabrać te tory wczoraj. Więc po świeżych jeszcze, choć niemal sześćdziesięcioletnich, śladach Michał wyjechał z Czarnej Górki.

Gdy się już wjedzie na szlak byłej kolei, dość łatwo się go trzymać. Chłopak trafił do lasu wreszcie od dobrej strony i wreszcie właściwą drogą. Biegła bardzo daleko od miejsca, w którym był wcześniej... Ale cóż, dobrze, że chociaż teraz ją znalazł.

Przez las jechał bardzo uważnie, rozglądając się na boki, czy aby dzisiejsza droga nie zbacza z dawnych torów. I zoczyła. Kolej szła prosto do miejsca, w którym kiedyś był kamienny most, ale zostały z niego tylko resztki, droga zaś skręciła do nowego, drewnianego. Przejechał nad strumieniem i wrócił do nasypu zupełnie zarośniętego krzakami. Ciężko przedzierać się z rowerem, ale co zrobić...

Wypita w sklepie pepsi dała o sobie znać. Nie musiał nawet iść w krzaczki, bo tam się właśnie znajdował. Postawił rower na nóżce. Wbiła się w ziemię; na szczęście złapał go w locie i oparł o drzewo. Popatrzył w bok. „Spragnionym ludziom na pustyni zjawia się fatamorgana w postaci oazy. Czyżby aż tak mi się chciało, że widzę fatamorganę wychodka?”

Ale nie, wychodek był jak najrealniejszy: solidny, betonowy. Z dwóch wygódek wejść można było tylko do jednej, bo tuż przed drzwiami drugiej rosta sosna, na oko dwudziestoletnia. Michał zapomniał o swej naturalnej potrzebie i wszedł tylko w celach badawczych. Odruchowo zrobił zabawną minę, jak zawsze, kiedy usiłował mięśniami twarzy zacisnąć płatki nosa, co w pełni udaje się tylko fokom, ale zaraz się zorientował, że to zbyteczna ostrożność. W pancernej sławojce pachniało świeżym sosnowym lasem. Wszystko zdążyło się dawno rozłożyć. To musiała być ubicacja stacji węzłowej Schwarzenberg. Ale gdzie reszta?

Wychodek na pewno nie znajdował się zbyt daleko od dworca, więc wystarczyło chwilę pochodzić naokoło, aby odnaleźć największy w okolicy obiekt: betonową wieżę ciśnień. Kiedyś zapewne górowała nad okolicą. Teraz można ją

17

było przegapić nawet z odległości kilkunastu metrów. „A to co? Lipa w środku lasu sosnowego? Nie, ona jest wyraźnie starsza. I druga, i trzecia... Aha, tędy szła droga wysadzana z obu stron lipami. Czy to jest ta utwardzana droga z mapy Anglików?”

Saperka weszła w ziemię bardzo płytko i zachrząściła na kamieniu. Obok - to samo. Dalej - to samo.

„A więc droga brukowana, jak wiadomo, archeologia daje bardziej obiektywną wiedzę... Gdybym nie

miął źródeł poza tymi wykopaliskami, uznałbym, że lud kultury kolei żelaznych został napadnięty przez jakiś inny, niżej rozwinięty. Barbarzyńcy nawet nie umieli skorzystać z wytworów cywilizacji poprzedników. Przecież nie przyszłoby mi do głowy, że właśnie umieli i skorzystali. A co zostało, nie było potrzebne. Poszło w ruinę i zarosło zielskiem. Zorientujmy mapę... A więc do fabryczki w tę stronę. Do zmroku tam nie dojadę. Jutro trzeba zacząć od rana".

Zgodnie z mapą był niedaleko od Objazdy, ale wołał nadłożyć drogi, niż znowu się pogubić i jechać przez obcy las po ciemku. Wrócił więc do Czarnej Górki. Był już na tyle zorientowany w terenie, żeby jechać automatycznie, nie zastanawiając się, gdzie prosto, a gdzie skręcić. Mógł wreszcie zwracać uwagę na uroki lasu, a nie na jego topografię. Kilka miesięcy temu męczyłoby go, że jest tu sam, a nie razem z (kolejną) kobietą swojego życia. Teraz mógł po prostu jechać, patrzeć i się cieszyć, i przypominać sobie Cummingsa:

18

Moc moich palców pod warstwami śniegu

Przeplynie w ptaki rwące się do śpiewu a moja miła pójdzie przez trawy i zioła

i ptasie skrzydła będą dotykać jej czoła serce zaś moje cały ten czas będzie

Falą która to wzbiera to w głębinie grzęźnie

2. Schönwald

W małym pomorskim miasteczku Schönwald mały Willi stawiał swoje pierwsze małe kroki.

- Popatrz, jak maszeruje - zachwycił się ojciec. - Może będzie żołnierzem?

- Coś ty, takie niebezpieczne zajęcie... - matka nie po raz pierwszy słyszała te słowa. Nigdy nie traktowała ich poważnie, ale zawsze bardzo poważnie protestowała. - A zresztą, to jeszcze tyle czasu...

- Niebezpieczne? Od trzydziestu pięciu lat nie było wojny i chyba już nigdy nie będzie, w każdym razie nie za naszego życia. Po 1871 roku nikt już z nami nie zadrze. A gdyby nawet, niemiecka armia dużych strat nie poniesie. Ginać będą wrogowie.

- To chyba nudno być żołnierzem, gdy nie ma wojny?

- Tej kobiecie nikt nie dogodzi! Jak nie ryzykownie, to nudno.

Różne rzeczy się mówi, gdy dziecko ma rok. Plany na przyszłość są tak odległe, że trudno brać je na serio. Willi, gdy

20

podrósł na tyle, że mógł samodzielnie wypowiedzieć się w tej sprawie, zaskoczył rodziców stwierdzeniem, że gdy dorośnie, będzie kotem. Pomysł może nie był realny, ale na pewno niegłupi, bo

kotu państwa Frelke powodziło się dobrze: myszy w komorze zawsze było dość, a i mleka w miseczce nie brakowało.

Może z latami Williemu przybyło nieco rozsądku, a może ubyło wyobraźni. Jako ośmiolatek chciał czasami być aptekarzem, jak tata, czasem zaś cieszył ojca stwierdzeniem, że zostanie „marynazem abo generałem”.

Zupełnie nowy pomysł zrodził się w jego głowie, gdy w pobliżu miasteczka, koło drogi do Schlawe, pojawili się ludzie z tajemniczymi rurkami na trójnogach. Włazili na środek pola tylko po to, żeby ustawić trójnog, popatrzeć przez rurkę - Willi też czasem bawił się w patrzenie przez mikę, więc go to nie dziwiło - zapisać coś w zeszycie i pójść dalej.

„Pewnie notują, co zobaczyli. Chyba mają słabą pamięć, że tak wszystko muszą notować”.

Willi był wychowany jak przystało na pruskiego chłop-Ca i wiedział, że nie wypada zagadywać nieznanym dorosłym i przeszkadzać im w pracy. Miał jednak osiem lat i dziecięca ciekawość, nawet w Prusach taka sama jak na całym świecie, zwyciężyła.

- Co pan robi? - zapytał mężczyznę, który nie miał wprawdzie swojego trójnogu i rurki do patrzenia, ale najwyraźniej rządził innymi. Mówił im, gdzie mają iść, notował,

21

co mu powiedzieli, i szkicował coś na kartce rozłożonej na skórzanej torbie przewieszanej przez ramię.

- Mierzymy teren, żeby wyznaczyć linię kolejową.

- Tutaj będą jeździły pociągi? - zachwycił się Willi.

- Tak. Ale najpierw trzeba wybudować tory. Nie można tego zrobić byle jak.

- Bo by się pociąg wywrócił - stwierdził chłopiec autorytatywnie.

- Tak - uśmiechnął się pan z torbą. - Albo nie mógłby podjechać, bo góra byłaby zbyt stroma. Człowiek może podejść pod stromą górę, wóz podjedzie pod dosyć stromą, jeśli koń ma dość siły

- Albo są dwa konie!

- Bardzo słusznie. A pociąg nie może jechać pod stromą górę, choćby były dwie lokomotywy bo koła będą się ślizgały po torach. Widzisz ten pagórek? Wszedłbyś tam bez trudu.

A pociąg - nie.

- Chociaż parowóz taki silny?

- Chociaż jest silny. Koła kręciłyby się w miejscu. Jak na lodzie. Dlatego wyznaczamy drogę, która będzie prawie płaska. Popatrz: tam, gdzie stoi ten pan, tory będą szły wzdłuż zbocza. Potem zbudujemy nasyp. Nad rzeką będzie mostek, a potem znowu nasyp, aż do tamtej górki. Tam trochę przekopimy i dalej jest

już płasko. - Mężczyzna pokazywał wszystko ręką, a Willi już prawie widział srebrną nitkę szyn biegnącą przez środek pola i pędzącą po niej z gwizdem lokomotywy.

- A kiedy zaczyna pan budowę?

- Mam nadzieję, że projekt będzie gotowy do końca lata. Ale w zimie trudno kopać w ziemi, więc zaczniemy wiosną przyszłego roku. A za dwa lata powinien pojechać stąd pierwszy pociąg do Schlawe.

Willi pobiegł do domu. Bał się, że ojciec zauważył jego rozmowę z nieznajomym. Niepotrzebnie - w domu wszyscy myśleli, że chłopiec bawi się na podwórku.

„Ciekawe, że taka lokomotywa ślizga się i nie może wjechać pod górę - myślał sobie Willi. - To dlatego, że ma gładkie koła i jedzie po gładkich szynach. Gdyby dorobić jej koło z kolcami, które wbijają się w ziemię, mogłaby podjeżdżać po stromej drodze. Nie trzeba by nasypów". I chłopiec narysował patykiem na ziemi koło z kolcami. Chwilę się zastanowił, gdzie coś takiego widział. W szopie?

Rzeczywiście, było na swoim miejscu, w jednej z przegródek drewnianej skrzynki, wśród wielu zupełnie zbytecznych, ale za to bardzo starannie poukładanych przedmiotów. Willi zastanowił się, czy można je wziąć. Chyba nikt go akurat nie zacznie szukać? Jak świetnie można było się bawić, jeżdżąc zębatym kółkiem po piasku! W pewnym jednak momencie Willi się zakłopotał. Gdy mocno trzyma kółko, może kręcić nim w miejscu. Tylko piasek rozsypuje się naokoło.

A więc zęby powinny opierać się na czymś mocniejszym niż piasek. Na jakiejś drabince. I Willi narysował na piasku kółko z zębami, przypominające raczej dziecinny obraz słońeczka niż rysunek techniczny zębatki, oraz drabinkę, o którą się te ząbki zaczepiały.

Zamazał rysunek i pobiegł z powrotem za miasto. Ale geodetów tam już nie było. Zawiedziony poszedł do domu,

22

23

z niewielką nadzieją, że panowie kiedyś jeszcze wrócą. Ale gdy następnego dnia wracał ze szkoły, z daleka zobaczył śmieszne trójnogi. Tym razem mężczyźni stali z drugiej! strony górki. Willi miał już więcej śmiałości i nie wahał się | podejść do inżyniera.

- Dzień dobry, panie... panie mierzokolejniku.

- Możesz do mnie mówić: „panie inżynierze” - roześmiał się mężczyzna. - A ty jak masz na imię?

- Wilhelm Friedrich.

- Bardzo ładnie. Chcesz jeszcze zobaczyć, jak pracujemy?

- Nie - stwierdził ośmiolatek. - Bo w ogóle nie musicie tego robić.

- Tak? - zdziwił się inżynier. - To jednak nie chcesz, żeby zbudować tutaj kolej?

- Chcę, ale wcale nie trzeba nasypów i równych torów. Pociąg może jeździć i pod górę. Trzeba tylko na parowozie zrobić takie koło z zębami, a przy torach taką drabinkę. Chodźmy tam, tam jest piasek, to panu narysuję.

Inżynier patrzył z rosnącym zdziwieniem na projekt kolejki zębatej prowadzącej na małe pomorskie wzgórze. W końcu zapytał:

- Gdzieś widział taką kolej?

- Nigdzie, ja nie wyjeżdżałem stąd dalej niż do Schlawe. No i raz do Stolp, do wujka Hansa.

- Jak podrośniesz, pojeździsz po kraju. Ale skąd masz pomysł na taką kolej?

- Sam to wymyśliłem... Niech pan inżynier zobaczy. Wziąłem z szopy... Oczywiście odłożę na miejsce...

- Świetny pomysł. Powiem ci, że są takie koleje na świecie, ale wysoko w górach. Na nizinach bardziej opłaca się robić nasypy. Bo stalowa drabinka, gdyby musiała się ciągnąć

całymi kilometrami, byłaby bardzo droga. Kim jest twój tata?

- Aptekarzem.

- To świetnie. Jak dorośniesz, to też będziesz aptekarzem?

- Nie - Willi od wczoraj wiedział, kim zostanie, gdy dorośnie, ale bardzo się zawstydził i nie chciał o tym mówić.

Więc.

Pożegnał się cichutko i poszedł skrajem lasu, od którego nazwę wzięło miasteczko. Las wspinał się na górkę, a z po-

, lany na szczycie widać było cały Schönwald z jego dwiema krzyżującymi się ulicami i trzecią na ukos, kościołem i szkołą w centrum i z domami wszystkich znajomych. W zasadzie najprościej było pójść na skróty miedzą, ale chłopiec wybrał piaszczystą drogę, która zakręcała i łączyła się z jedną z głównych ulic. Mógł przyjrzeć się terenowi po drugiej stronie miasteczka. Nie odrywał wzroku od tysiąch pagórków i planował, jak można poprowadzić bocznice łączącą jego dom z gospodarstwami dwóch najlepszych kolegów. „A przy okazji dwie górki wysadzimy dynamitem” - zauwa-

żył z satysfakcją.

[Wieczorem w aptece zjawił się ktoś spoza miasteczka. Rozejrzał się wokół, jakby chciał się upewnić, że dobrze trafił. Na czarnych dębowych szafach stały słoje pełne płynów i proszków. Miejsce na wprost wejścia zajmowała dumna

waga; zaszczytne miejsce po jej prawicy - maszyna jakby żywcem przeniesiona z modnych wówczas powieści fantastycznych, a przeznaczona po prostu do prasowania proszku na pigułki. Mosiądz obu przyrządów lśnił, jakby je wypucował cały oddział pruskiej marynarki.

Przybysz, który samą swoją obecnością sprawił apte karzowi niespodziankę, bo Schönwald nie był częstym celem odwiedzin, jeszcze bardziej zaskoczył go swoimi słowami:

- Pozwoli pan, że się przedstawię: Braun, inżynier budowy kolei. Pan, jak sędzę, jest tu właścicielem. Czy ma pan syna o imieniu Wilhelm?

- Tak - aptekarz nieco się zmieszał. - Czy coś się stało panie Braun? Czy coś przeszkrobał?

- Wręcz przeciwnie. Przyszedłem panu pogratulować. Jest mały, a już teraz ma zdolności techniczne. Pan na pewno i tak będzie dbał o jego wykształcenie, ale jako specjalista mogę powiedzieć, że z niego może być wspaniały inżynier. Rozmawiałem z nim przypadkiem i niech sobie pan wyobrazi, że on na poczekaniu dokonał wynalazku kolei zębatej. Oczywiście jest to rzecz znana, ale on nie słyszał o niej, a wymyślił.

- To jeszcze wiele lat, ale zastanawiałem się raczej nad karierą wojskową. Kapitan Wilhelm Friedrich Frelke - czy to nie brzmi dumnie...

Inżynier zdziwił się nieco, bo choć oficjalnie drogę do kariery oficerskiej otwierała matura, a nie urodzenie, w praktyce ta droga była zarezerwowana dla paniców z von przed nazwiskiem. Nadawali się do tego zdecydowanie lepiej od

pospólstwa. Dziedziczyli przecież swoje powołanie w prostej linii od średniowiecznych rycerzy. A przynajmniej tak im się wydawało.

Ale byłoby niegrzecznie podnieść ten argument, inżynier wspomniał więc o innym problemie.

- Wojsko? Oczywiście, może czasem będzie trzeba uspokoić jakichś dzikusów w Afryce czy na Bałkanach. Ale dziś potęgę państwa tworzą uczeni i inżynierowie. Mamy dwudziesty wiek, i to od trzynastu lat...

Aptekarzowa, która nigdy nie pojawiała się, by pomagać czy przeszkadzać mężowi w pracy, wyczuła chyba, że mowa o synku, bo zajrzała do izby - i weszła w zdanie gościowi.

- Ja zawsze mówię, żeby Jakob nie zawracał dziecku głowy tą wojenką. Inżynier? Niechby już był!

- Zobaczmy jeszcze, co z niego wyrośnie - przerwał ojciec.

- Gdyby pan chciał, żeby koniecznie był oficerem, to i może w wojskach inżynieryjnych? Przyszłą wojnę wygrywać będą nie tylko dobrzy dowódcy i dzielni żołnierze, ale technika. A wojskowi inżynierowie przydadzą się także w czasie

[pokoju, czym różnią się od większości innych oficerów.

W ten sposób, zupełnie przypadkiem, w wieku ośmiu lat Willi miał już zaplanowaną drogę życia, która całkiem przypadkiem zgadzała się z jego zainteresowaniami i która miała wiele zalet. I nikt z rozmawiającej trójki nie miał najmniejszych szans, by przewidzieć, do czego doprowadzi.

Gość pożegnał się i wyszedł, a pan aptekarz zabrał się za ugniatanie w móżdżerzu czarnego jak sadza proszku.

27

Na pomorskich polach pracowali ludzie i maszyny. W dwudziestotysięcznym Stolp, dziesięcioletnim Lauenburgu] i sześciotysięcznym Schlawe mieszkańcy spokojnie pracowali, załatwiali swoje sprawy, snuli plany na następne lata i dziesięciolecia. Pociągi punktualnie przewoziły tysiące pasażerów i tony towarów. Z portu Stolpmiinde wychodziły w morze statki z drewnem i spirytusem, a wracając, przywoziły norweskie śledzie i angielski węgiel.

3. Dziadek Jorg

Byłoby nadużyciem powiedzieć, że Michał Dziwok od dziecka chciał zostać historykiem. Rzeczywiście, w dzieciństwie chciał wybrać ten zawód. Gdy miał trzy lata, wiedział już, że historyk to ktoś, kto w pracy czyta książeczki o królach i rycerzach, a nawet sam je pisze; trudno chyba wyobrazić sobie ciekawsze zajęcie. Będąc w gościnie u znajomego historyka, rodzice oczywiście podpuścili synka:

- Michasiu, a kim będziesz, jak dorośniesz?

- Hisolykiem!

- Oj! - zasmucił się gospodarz. - Lepiej zostań porządnym człowiekiem.

Ale i to nie zniechęciło młodego entuzjasty. Gdy zaś z lektury Panów Samochodzików dowiedział się, że popularnym wśród historyków zajęciem jest poszukiwanie skarbów, motywacja tylko wzrosła. Do tej pory wprawdzie raz poszukiwał złota, ale bez większych sukcesów. Widocznie brakowało mu fachowego przygotowania - gdyby skończył studia, byłoby zupełnie inaczej. Niestety, w czwartej klasie historia stała się przedmiotem szkolnym, co samo w sobie

29

obniżyło rangę tej dziedziny; w dodatku nauczycielka wymagająca znajomości dużej liczby niepowiązanych ze sobą dat zupełnie nie doceniała zainteresowań chłopca. Gdy pokazywał jej dwie książki, w których na ten sam temat pisano zupełnie co innego, tylko się denerwowała. A że był to rok 1990, o takie dwie książki nie było trudno.

Zdecydowanie lepsza była pani od matematyki. Jeśli pomyliła się w rachunkach, a Michał to wykrył, nie tylko nie ! krzyczała, ale czasem nawet postawiła piątkę. Potem zaczęła dawać kłopotliwemu uczniowi zadania z Kangurów, żeby nie zawyżał poziomu na lekcji. Wystartował i zajął przyzwoite miejsce.

Wszyscy już wiedzieli: Michał wdał się w tatę fizyka, będzie ściślakiem.

Idąc do liceum, bez cienia wątpliwości wybrał klasę matematyczno-fizyczną. Marzyła mu się kariera aktuarusza - matematyka, specjalisty od wyliczania składek ubezpieczeniowych. Takie zajęcie to połączenie przyjemnego z pożytecznym: matematyka, ale lepiej płatna niż praca w szkole czy na uczelni.

Tym razem jednak połączone wysiłki nauczycieli historii i matematyki, a raczej wysiłek nauczyciela historii połączony z brakiem wysiłku matematyka, pomogły przywrócić dawne zainteresowania.

Michał mieszkał w Kielcach, choć jego ojciec pochodził ze Śląska. Było to ewenementem, bo raczej cała Kielecczyzna przenosiła się na Śląsk, ale akurat przyszły ojciec Michała, Karol Dziwok, poznał na studiach w Krakowie Janinę Antoniewicz. Po ślubie zamieszkali w Kielcach, bo tam Janina

niała kawalerkę po stryju Bogdanie, a w tamtych czasach łatwiej było znaleźć pracę niż własny kąt. Rodzice Michała byli przekonani, że syn pójdzie w ich ślady i zacznie studia w Stołecznym Królewskim Mieście Krakowie; dopuszczali możliwość zdrady z brzydką, ale bogatą Warszawą. Zaskoczył ich, gdy wybrał Uniwersytet gdański. Była w tym szaleństwo metoda: skoro już wyjeżdżał, to niekoniecznie blisko, ale tam, gdzie miał znajomych, właśnie do Gdańska wybierało się czworo jego kolegów z obozu archeologicznego.

Gdy jechał na uczelnię złożyć papiery, na drogę zabrał dzieje i kulturę Hanzy.

- Widzę, że poznasz swoje nowe korzenie - zażartowała mama.

- Może wreszcie jakieś będę miał - odpowiedział nie całkiem żartem.

Po drodze odwiedził rodzinę na Śląsku. Dziadek Jorg zaprosił go na rozmowę w cztery oczy.

- Będziesz historykiem, w dodatku w Gdańsku. Opowiem ci coś, co widziałem w czasie wojny. Może uda ci się [zrobić z tego użytek. Wiesz, co wtedy robiłem.

Michał wiedział. Nikogo prawie nie ominął udział w tej strasznej wojnie, choć strona, po której się walczyło, zależała często od przypadku. Michał znał na pamięć rodzinne opowieści o dziadku Jorgu, wujku Hanku i cioci Gabi.

I Hanek i Gabi urodzili się rok po roku: w 1905 i 1906. Mieszkali na Śląsku, a więc w Prusach, w Niemczech. Byli jeszcze

30

31

dziećmi, gdy zaczęła się wojna. Po jej zakończeniu nie tylko oni, ale nawet starzy i doświadczeni Ślązacy nie bardzo wiedzieli, w jakim kraju będą mieszkać. Nie dlatego, że mieliby się przeprowadzić do innego kraju; to kraje przeprowadzały! się do innych ludzi. Ba, powstawały nowe państwa. Pobliskie Jaworzno

czy Sosnowiec miały chyba należeć do Polski. Ostrawa - do czegoś jeszcze dziwniejszego: Czechosłowacji, kraju, którego nigdy nie było. Co będzie tutaj, rozstrzygały! plebiscyty i powstania.

Okazało się, że Polska. Cieszyli się z tego, bo w domu byli wychowywani na Polaków, ich starsi krewni brali udział w powstaniach.

Po zakończeniu walk Hanek i Gabi byli już na tyle dorośli, żeby zacząć regularną pracę. Zgłosili się więc do służby na kolei. Brat został pomocnikiem maszynisty, siostra sprzedawała bilety na stacji w Mikołowie. Gabriela została na Śląsku do końca życia, Jan zaś w 1923 roku przeniesiony został aż do Kowla, gdzie widocznie bardziej potrzebowano] młodego pracownika. Szkoda mu było wyjeżdżać z miejsca, w którym się wychował i w którym mieszkała cała jego rodzina, ale służba nie drużba, a wtedy na PKP nie pracowało się, ale służyło, prawie jak w wojsku.

Choć przeprowadził się tylko do innego województwa, czuł się z początku bardziej obco, niż gdyby trafił za granicę, do Gliwic czy Opola.

W domu Dziwokowie mówili po polsku, co było przy- \ czyną problemów w pruskiej szkole; w Kowlu okazało się, że takiego polskiego inni Polacy nie rozumieją. Jan musiał

32

włożyć wiele wysiłku, żeby omijać wyrazy gwarowe. Nie [żeby się ich wstydził, po prostu bez tego nie mógł się dogadać.

- Ja jestem niepili - tłumaczył w mieszanym języku swój akcent. „Niepili” znaczy po śląsku „nietutejszy”.

- Wiem, że nie piłeś - przytakiwał kolega. - A co, jak i wypijesz, to mówisz po naszemu?

Na wielu maszynach były stare przedwojenne napisy, nie dość, że w obcym języku, to jeszcze nieznanym alfabetem. [Pozmieniano by je natychmiast, gdyby nie to, że nikomu specjalnie nie przeszkadzały, tak jak i na Śląsku nikt nie odkręcałby wszystkich niemieckojęzycznych tabliczek na parowozie.

Nawet rozstaw szyn dopiero teraz zmieniono na normalne 1435 milimetrów. Niedawno było ponad półtora centymetra. Ale co tam szyny, skoro Dziwok musiał się przyzwyczaić do nowego imienia. Choć oficjalnie nazywał się nadal Janem, na co dzień nie wołano na niego już Hanek, ale Jaś. A kiedy rozmawiano o czasach przedwojennych, czuł się nawet nie jak cudzoziemiec, ale wręcz jak przybysz [z innej planety.

- Ty, Jasiek, za cara ty chyba nie pracowałeś, ty zbyt młody śpiewną kresową polszczyzną zagadnął go kiedyś ma-

szynista.

- Za młody, proszę pana, tyle że u nas to nie było „za cara”, ino „za Wilusia”.

Aha, znaczy sje, za kajzera?

- Tak.

33

- No widzisz, jakby ty wtedy jeździł, to by może pojechał do Wrocławia albo do Kolonii, albo nawet do Strasburga, co jest teraz we Francji. A my jeździli do Chin.

Janek popatrzył na maszynistę wielkimi, okrągłymi oczami.

- Do Chin? - szepnął. - Tam ludzie mają skośne oczy? I są żółci?

- Ano, żółci - roześmiał się majster. - Jak to Chińczyki. I ryż jedzą pałeczkami.

- I pan tam jeździł?

- Transsyberyjska żelazna droga przejeżdża przez Chiny, żeby krótszą drogą dojechać do Wławiostoku. Jakby my chcieli jechać tylko przez nasze ziemie... to znaczy nie nasze, ale rosyjskie, to byłoby naokoło. Ja mieszkał w miasteczku, z którego do Pekinu było pięć razy bliżej niż do Moskwy. A już nie mówię, ile dni stamtąd do Warszawy! jechało się.

- Jak się pan tam znalazł?

- Najpierw służył ja na warszawsko-wileńskiej żelaznej! drodze pod Białostokiem, potem mnie przenieśli. To był przecież jeden kraj, Rosja, od Sosnowca do Wielkiego spokojnego Oceanu. A że daleko od domu - nikt o mnie nie martwił się.

„To zupełnie jak ze mną...” - pomyślał Hanek vel Jaś i pocieszając się, że przynajmniej nie trafił do żółtych ludzi jedzących pałeczkami, zabrał się do dorzucania węgla.

Gdy Gabi i Hanek zaczęli pracę, ich braciszek Jorg, czyli: Jerzy, dopiero się urodził. Kilkanaście lat później wzorem

34

rodzeństwa zatrudnił się na kolei. Nawet pracę dostał tę samą co brat: pomocnik maszynisty. Miał nadzieję, że uda mu się skończyć zaocznie szkołę, zdać maturę, a wtedy może nawet zostanie zawiadowcą... Tymczasem latem 1939 roku [Urodziła się Jadzia, pierwsza córka Jana.

Jorga zaproszono na chrzestnego. Bilety z ulgą kolejową jeszcze raz pozwoliły odnowić więzy rodzinne. Chłopak miał już załatwiony urlop do niedzieli 3 września. Co by było, gdyby go wykorzystał? Tego nie wie nikt, nawet znający v i opowieści rodzinne, i historię powszechną wnuk Michał mógł tylko wymienić kilka możliwości.

Dziadek miał dziewiętnaście lat i kartę mobilizacyjną, więc na miejscu zgłosiłby się do polskiego wojska. Może walczyłby z tymi, którzy w końcu zostali jego towarzyszami broni? A może w ogólnym zamęcie nie wzięliby go do wojska, ale odesłali do komendy wojskowej właściwej dla miejsca zamieszkania, która już dawno nie istniała? A gdyby nie trafił do wojska, czy przedarłby się do ojca i matki na Śląsk? Czy by go

złapali? A może nie wiedziałby, co robić, i odczekał dwa tygodnie? Wtedy może trafiłby do sowieckiego łagru. A gdyby trafił, znowu byłoby wiele możliwości... Śmierć gdzieś w głębi ZSRR, reszta życia w Kazachstanie, armia Andersa albo Berlinga...

Michał nieraz wyobrażał sobie, jak dziadek zostaje w Kowlu. Przychodzi do niego sąsiad. Michał nie znał żadnych śladów wujka Hanka z Kowla, ale wyobrażał sobie, że na pewno byłby to pan Żuczek, od niedawna - Żukow. Sąsiad

35

żąda łapówki, a gdy jej nie dostaje, donosi do NKWD i cała rodzina trafia do łagru.

I co by teraz było, gdyby dziadka rozstrzelali? Zginąłby! bezpotomnie, czy więc Michał w ogóle by istniał? A może] dziadek trafiłby do Andersa, poznał inną kobietę i ojciec! Michała urodziłby się w Anglii albo urodziłby się w Polsce, ale miałby innego ojca?

Odkąd nieco dorósł, Michał przestał się nad tym zastanawiać. Lepiej myśleć o tym, co było naprawdę. A naprawdę! było tak, że 25 sierpnia kolega dziadka, także pomocnik] maszynisty, nieostrożnie wychylił się z parowozu. Akurat! przejeżdżali koło semafora... Miał szczęście, że maszyna szła powoli skończyło się na złamanej ręce. Z prawą ręką w gipsie trudno jednak dorzucać węgiel pod kocioł.

- Będziesz, Jorguś, musiał zrezygnować z urlopu, aż Heniek wydobrzeje. Albo aż kogoś znajdziemy na zastępstwo.

- Tak, panie zawiadowco - młody śląski kolejarz potakiwał przełożonemu, choć naprawdę chciał z całą siłą zaprotestować. Zapytał tylko:

- Ale co z chrztem?

- To dziecko brata?

- Rodzonego.

- Jedź - machnął ręką zawiadowca. - Ale zaraz wracaj. W poniedziałek wieczorem na nocną zmianę.

Tak to złamana ręka kolegi spowodowała, że 1 września! zastał Jorga na Śląsku. Miał tego dnia odwozić pospieszny!

Kraków-Wrocław na granicę. Ale nie musiał jechać do Niemiec. Obudził się, a Niemcy były już na miejscu.

Był zbyt zdezorientowany, żeby przedzierać się do polskiego wojska, które w dodatku mogło i tak lada chwila skapitulować. Miał z czego żyć: Rzesza potrzebowała kolejarzy jeszcze bardziej niż w czasie pokoju. Volkslisty nie podpisał nikt nie robił mu z tego powodu problemów. Aż do pewnej rozmowy z sąsiadem.

- Panie Dziwok - zagadnął go do niedawna Żuczek, obecnie Suzeck. - Pan mi nie oddał tych stu marek.

- Jakich stu marek? Ja od pana nic nie pożyczałem. Może pomylił mnie pan z kimś innym?

- A może to pan się pomylił? Jak pan myśli, komu na policji uwierzą, panu, Polakowi i kuzynowi powstańców, czy mnie, Niemcowi? A pana rodzice chyba też walczyli w powstaniach? Nie? Ale pomagali, prawda? Nie? A ja pamiętam, że pomagali. Ma pan tydzień na oddanie tych

pieniędzy

Nim jednak tydzień minął, pewnego ranka, gdy wychodzili z nocnej zmiany, zagadnął go kolega.

Jorg, ja wiem, że mną gardzisz - powiedział po nie-

miecku - bo trzymam z Niemcami. Ale z kim mam trzymać, jak sam jestem Niemcem. Wolałbym, żeby tej wojny nie było.

Jorg się nie odezwał.

- Możesz myśleć, co chcesz, ale ja cię muszę ostrzec. Pych, co nie podpiszą, będą wywozić do obozu. Razem z rodziną. Nie masz rodziny? A ojciec i matka? Nie wiem, czy

36

37

rodziców też, ale nic nie mogę obiecać. A ciebie samego też szkoda. Czy to taki problem podpisać?

- Skąd to wiesz?

- Brat mówił. Wiesz, gdzie on teraz pracuje. Nawet wstyd mi o tym mówić.

- Jak podpiszą, to mnie zaraz do wojska weznom.

- Kolejarzy nie biorą. Kto by wojsko woził, jakby nas zabrali?

Opowiedział o tej rozmowie w domu.

- A czy jest takie prawo, że trzeba się na Niemca zapisać? - zapytał ojciec. Sam cesarz byłby dumny z takiej reakcji swego dawnego poddanego. Niestety, to już nie były czasy cesarza.

- Kogo teraz obchodzi jakieś prawo! - zawołała matka. - A czy jest prawo, żeby ludzi bez sądu rozstrzeliwać?

Ojciec chwilę pomyślał i przyznał jej rację:

- Tak, to już nie te Niemcy co za Wilusia. Mnie się nawet wydaje, że to w ogóle nie są Niemcy, tylko się za takich podają.

Następnego dnia Jorg zgłosił się w urzędzie i zaczął kompletować dokumenty. Musiał wykazać, że nie miał żydowskich przodków - ani jednego, do czwartego pokolenia wstecz. Dziś znalezienie metryki pradziadka graniczyłoby z cudem; ponieważ jednak rodzina Dziwoków od wielu pokoleń mieszkała na Śląsku, w księgach parafialnych, przetrząsanych teraz przez tłumy zrozpaczonych kandydatów na Niemców, udało się znaleźć dowody aryjskiego pochodzenia.

Rzecz jasna, tą samą metodą byłoby bardzo trudno wykazać, że jest się Niemcem, a nie Polakiem. Tutaj okupanci [wierzyli na słowo. Ale, prawdę mówiąc, własne zeznanie] było nie tylko jedynym wiarygodnym dowodem, ale i jedynym możliwym kryterium. W końcu kogoś, kto od pokoleń]nieszka w Prusach, można chyba uznać za Niemca, jeśli i sam się do tej narodowości przyznaje.

Jorg odetchnął z ulgą. Cała historia budziła jego niesmak, ale przynajmniej miał to być koniec kłopotów. Nie był:

kolega mylił się co do wojska. Może i maszynistów nie brali, ale pomocników - bardzo chętnie. Wezwanie przyszło kilka chwil po podpisaniu Volkslisty.

Marsz na wschód był szybki i znaczone zwycięstwami. Od] tych zwycięstw znacznie bardziej cieszyło Jorga to, że udało się przetrzymać zimę. Dopiero latem 1942 roku został szczęśliwie ranny. Kula zrobiła mu dziurę w łydce. Akurat na tyle lekką, żeby nie został kaleką, ale na tyle ciężką, żeby lekarz skierował go na rok do lekkiej służby na zapleczu. Rana z perspektywą rocznego dekowania się to znacznie lepiej niż brak rany.

Szeregowy Dziwok trafił więc do służby wartowniczej ! w wojskowym ośrodku badawczym w Schwarzenbergu, Kreis Stolp. Zadowolony chodził, lekko utykając, z karabinem po ogrodzonym siatką terenie i nigdy nikogo nie zatrzymał. Nawet nocne warty na mrozie to drobiazg w po-równaniu z frontem, więc Jorg traktował swoją służbę jak urlop. Z rosnącym przerażeniem odliczał dni do końca. Szukał rozpaczliwie jakiejś okazji, aby przedłużyć rekonwa-

38

39

lescencję. Wymieniał uwagi z Gerhardem, kolegą w podobnej sytuacji: miał wrócić na front raptem miesiąc później] Wymiana uwag do niczego jednak nie prowadziła.

Nagle zupełnie niespodziewanie okazja pojawiła się sama. Trzeba było tylko trochę odwagi.

- Kto w cywilu był maszynistą, wystąp!

Nikt nie wystąpił. Pewnie, maszynistom łatwiej było unikać wojska. Jorg powiedział sobie: „Raz kozie śmierć” i wyszedł z szeregu.

- A kto był pomocnikiem?

Tym razem Jorg mógł wystąpić uczciwie, ale było już za późno.

- Idziemy do kapitana. Reszta rozejść się.

- A więc maszynista? - zapytał chwilę później dowódca.

- Tak jest.

- Oddaję was do dyspozycji zawiadowcy stacji węzłowej Schwarzenberg. Będziecie tam normalnie służyli jako maszynista, obsługując naszą bocznice, ale także inne pociągi. Pójdziecie teraz po torach do węzła i tam się zgłosicie do zawiadowcy. Wybierzcie sobie jakiegoś kolegę na pomocnika. Musicie go, niestety, wszystkiego nauczyć.

- Tak jest.

Marsz przez zasypane tory był sam w sobie ciężki, ale tym bardziej dla kogoś tak przerażonego. Nigdy nie kłamał w równie poważnej sprawie, nie udawał kogoś innego, nie narażał przez kłamstwo swojego życia.

Pocieszał się, że maszynista, z którym ostatnio jeździł, był chyba niespełnionym nauczycielem, a może po prostu chciał się pochwalić swoimi umiejętnościami i wszystko

pomocnikowi opowiadał. Zawsze też można było powiedzieć, że na takiej akurat lokomotywie nie jeździł, więc chciałby, żeby ktoś z kolegów wyjaśnił szczegóły.

i udało się. O świcie Jorg wyjeżdżał z jednostki parowozem, starym hohenzollernem z początku wieku, najpierw pracującym na mokrą parę, dopiero potem dostosowanym do pary przegrzanej. Czasami ciągnął wagon, czasami zabierał pasażerów na lokomotywę. Pędził przez las, rozgarniając pługiem śnieg na torach, zdmuchując puch z pobliskich drzew. Wyjeżdżał na pola, gdzie czasami śnieg był jeszcze głębszy, ale parowóz zawsze dawał sobie radę.

Zatrzymywał się na stacji węzłowej i manewrował, żeby wstawić wagon z fabryczki i zabrać skład kursowego pociągu do Stolpmunde. Jechał tam i z powrotem. Godzinę przerwy wykorzystywał zwykle na sen, choć kilka razy wybrał się nad morze. Przed wojną nigdy morza nie widział.

i Ze stacji węzłowej znowu do jednostki. Czasem trzeba było zrobić jeszcze jeden kurs z fabryki do miasteczka i z powrotem, czasem już nie. Tak czy owak, na noc wracał do koszar.

Z dnia na dzień szło mu lepiej i po pół roku nikt by nie zgadł, że ma do czynienia z maszynistą amatorem. Był teraz dla dowódcy prawdziwym skarbem i gdyby było trze-ba, w jego sprawie interweniowałby sam Speer. Ale nie było [trzeba. Nawet Gerharda, mianowanego pomocnikiem, udało się wyreklamować od dalszej walki.

Trwało to aż do 1944 roku. Choć fabryka została zlikwidowana i Jorg trafił na front, był to już front zachodni.

Nie tylko lepszy klimat, ale i lepsi wrogowie. I jak dawniej o przedłużeniu dekowania, tak teraz marzył o niewoli.

Okazja nadarzyła się już po dwóch tygodniach. Potrzebny był ochotnik, który poszedłby na zwiad. Zadanie było niebezpieczne i dowódca już sądził, że będzie musiał znaleźć ochotnika przymusowego, gdy nagle jeden szeregowy zgłosił się dobrowolnie. Sierżant spojrzął z uznaniem na młodego Ślązaka i wyjaśnił szczegóły misji.

Jorg długo przekradał się przez las i zarośla. Zza rzeki słyszał już hałasy i dalekie głosy żołnierzy. Szukał najlepszego miejsca i czasu. W końcu wypatrzył wartownika przechadzającego się na brzegu rzeki, w której zresztą kąpało się kilku chłopaków. Albo nie wiedzieli, jak blisko jest nieprzyjaciel, albo uznali, że nie jest zdolny do żadnego ataku. Gdy wartownik patrzył w inną stronę, Jorg wyszedł zza krzaka, rzucił pod nogi broń, podniósł ręce i krzyknął:

- Nicht schießen!

Anglik odwrócił się natychmiast. Mało brakowało, a odruchowo strzeliłby w stronę Jorga. W ostatniej chwili zobaczył podniesione ręce, ale chyba węszył podstęp i z wycelowanym automatem zbliżał się do chłopaka.

- Poddaję się - powtarzał Jorg po niemiecku, trzymając ręce coraz wyżej, aż w końcu z nerwów krzyknął w ojczystym języku:

- Nie szczylej, pieronie, przeca jo sie poddoł! Anglik, a dokładniej - żołnierz brytyjski, opuścił broń.

- Matko Boska! - zawołał. - A skond żeś się sam wzion?

- Spod Mikołowa.

Tymczasem zbiegli się żołnierze. Niektórzy byli umundurowani dość niekompletnie, bo właśnie brali kąpiel, ale i oni chcieli zobaczyć tego Niemca, co przyszedł się poddać, i mówi po polsku, choć nieco dziwacznie.

- Pódź ze mnom - rzucił wartownik Jorgowi.

- I co się gapiacie? - zawołał do kolegów. - To swój, ino i go Niemcy siłą do wojska wzięli. Józek, weź ten jego automat.

Wkrótce Jorg stanął przed porucznikiem.

- Teraz jesteś jeńcem - powiedział oficer. - Ale skoro jesteś Polakiem, to może chciałbyś pójść do polskiego

pojska, z Niemcami walczyć? Nie obiecuję, ale może by się (udało).

[Chłopak wyglądał na tak zmęczonego, jakby całe pięć lat spędził w okopach. Machnął tylko ręką.

- Juzem się dość nawojowałem. Zamknijcie mnie w tym paszym stalagu.

Brytyjska niewola to może nie hotel, ale jedno z najlepszych miejsc, w których można było przeczekać ostatni rok wojny W każdym razie najbezpieczniejsze. Zostać zabitym przez swojego niedawnego kolegę, z którym razem mieszkał, jadł, rozmawiał, wcale się Jorgowi nie uśmiechało. A nawet, | choć to z pewnością haniebnym brakiem patriotyzmu, wcale nie Uśmiechało mu się takiego kolegę zabić. „Gdyby tak - myślał młody jeniec - na początku wojny wszyscy, którzy chcą, mogli się poddać, to można by zaoszczędzić wielu ofiar. Być może dla pozostałych w wojsku wystarczyłoby małe boisko zamiast pola bitwy”.

42

43

On siedział jeszcze w obozie, gdy ze Śląska wycofywali się Niemcy.

Rząd Tymczasowy, opierając się na legalnej konstytucji 1921 roku, mocną ręką steruje nawą odrodzonego Państwa Polskiego i prowadzi Naród do wielkości.

W szeregach współbudowniczych Niepodległej Polski Demokratycznej stanie polski lud śląski, owiany sławną tradycją powstań górnośląskich - pisał generał Zawadzki, pełnomocnik rządu na województwo śląskie.

Witom was, uoficery unteruoficery i cołki polski wermacht! - przemawiał przewodniczący rady narodowej jednego ze śląskich powiatów.

Dobrze, że siedział. Gdyby jakimś cudem wykręcił się wcześniej od Wehrmachtu, może zabiliby go wkraczający Rosjanie, strzelający do przypadkowo wybranych „Niemców”, może trafiłby do obozu. No i całe szczęście, że nie zaciągnął się do tego polskiego wojska. Wtedy pewnie nie mógłby już wracać do kraju. A tak wrócił, mimo ostrzeżeń kolegów. I nie żałował.

- Wiem. Mniej więcej wiem - odpowiedział Michał dziadkowi.

- Dobrze powiedziane: mniej więcej. Opowiem ci o czymś, o czym na pewno jeszcze nie wiesz. Wydaje mi się, że w tej jednostce, w której siedziałem, pod Słupskiem, budowali jakąś Wunderwaffe. Słyszałeś o tym?

- Nie - przyznał chłopak.

- Może to do dziś tajemnica?

- Dziadku, czy to była duża jednostka? Ilu tam było ludzi?

Kilkudziesięciu robotników, ze dwudziestu żołnierzy, Idowódcy, dwóch naukowców.

- Trochę mało - zmartwił się Michał. - W Peenemünde było kilkuset. Ale pewnie poza najważniejszymi badaniami mieli też trochę mniejszych, mało ważnych jednostek.

- Tym większa szansa, że nikt już o nich nie pamięta. Ale nie ma znaczenia, co oni tam robili. Ważne, że kie-

dyś widziałem, jak kapitan, nasz dowódca, coś zakopywał, ledwie parę dni wcześniej miał jeden dzień urlopu. Może z tego wyjazdu coś przywiózł? W każdym razie, jak zobaczył parowóz, to się odwrócił i udawał, że nic nie robi. Ale ja dobrze widziałem, gdzie kopał. Księżyc w pełni, jasno było w dzień. Pamiętaj: od końca zakładowej bocznicy trzeci przepust w stronę węzła Schwarzenberg. Koło tego przepustu, Myślę, że to skarb, bo byle czego by nie zakopywał. Wyglądało jak pudełko. Wielkość? Tak na dłoń w jedną i drugą stronę, a wysokość na kilka centymetrów. Chyba metalowa | bombonierka. Ale dokładnie nie widziałem. Udawałem, że nie patrzę w tę stronę, i on chyba też tak uznał. Dlaczego nigdy o tym nie opowiadałeś? Opowiedziałem babci, ale nie uwierzyła. Poza tym tam pewnie wszystko się zmieniło. Ale jak ty będziesz historykiem, to będziesz umiał znaleźć.

Może to jakieś zrabowane kosztowności... Trzeba by oddać do muzeum albo właścicielom.

44

45

- Ty masz o sobie najpierw pomyśleć, a potem o muze- | ach. Potraktuj to jako zdobycz wojenną. Odszkodowanie.

- Pamiętasz datę?

- Jak dziś: 7 maja 1944.

- No dobrze, ale gdzie to jest?

- Fabryka zbrojeniowa koło Schwarzenbergu, Kreisj Stolp, czyli powiat Słupsk, trzeci przepust od końca zakładowej bocznicy w stronę stacji węzłowej Schwarzenberg. Koło przepustu. No, chyba tyle wystarczy.

4. Pod pomnikiem świeckiego boga

Nie wystarczyło. Michał kupił topograficzną setkę okolic Słupska. Bez trudu znalazł na niej wieś: Czarna Górka. Ale w pobliżu nie była zaznaczona żadna zamknięta fabryka ani nawet linia kolejowa. Po stacji węzłowej Schwarzenberg, Której dziadek tyle mówił, nie było nawet śladu. Szukanie byłoby bardzo pracochłonne. Tym bardziej że Michał całą opowieść potraktował z przymrużeniem oka. Może oficer po prostu chciał załatwić potrzebę fizjologiczną i Również w takiej sytuacji rozglądałby się, czy ktoś nie patrzy. A poza tym, jeśli nawet jakiś skarb zakopano, kto go teraz odnajdzie...

Ciekawiej było więc czytać równie fascynującą historię o tym, jak Sumerowie wynaleźli pismo, stopnie kątowe i biurokratyczne państwo.

A gdy już nauczył się znajdować na mapie i w terenie zlikwidowane koleje, nie pamiętał opowieści

dziadka. Przypomniała mu się dość nieoczekiwanie po paru latach.

Otóż pewnego dnia na seminarium miał przeczytać pracę o fabryce rakiet V-2 koło Łeby. Klął w duchu, że miłe

47

majowe przedpołudnie musi spędzać w bibliotece, choć przecież nawet dla jego edukacji historycznej byłoby korzystniej przebywać w historycznym parku Oliwskim z pewną damą o niespotykanym w historii uroku. Zajęcia zaplanowano jednak następnego dnia i odkładać pracy nie było można.

Temat niezbyt pasjonujący, artykuł jeszcze mniej. Chłopak ożywił się, dopiero gdy dotarł do uwagi, która dla autora była na tyle mało ważna, że umieścił ją w przypisie. Przypis ten brzmiał:

Inżynierowie z Rąbki kontaktowali się z ośrodkiem pod Czarną Górką, który zastąpił masakrą robotników podczas ewakuacji, przeprowadzoną na rozkaz jego komendanta, kapitana W. Frelkego. Dokładnych informacji na temat tej współpracy nie mamy, jako że do dziś niewiele wiemy o czar-nogóreckiej fabryce. Być może odtajnienie informacji brytyjskich, zapowiadane na pierwsze lata nowego wieku, pomoże w naszych badaniach.

Michał natychmiast przewrócił kartki i spojrzał na bibliografię. Była dopiero dwunasta, a zajęć już nie miał, zabrał się więc do przeglądania kolejnych artykułów i książek. Choć zwykle uczucie głodu zwyciężało u niego, i przynajmniej odsuwało na później bardziej wyrafinowane potrzeby, tym razem siedział i czytał, aż w końcu przywrócił go do codzienności głos bibliotekarki:

- Panie Michale, jest pan bardzo pilnym studentem. Ale już dwudziesta, musimy za mykać.

Zgodnie z prawem zwyczajowym wypożyczył na noc dwie książki, których z czytelnicy właściwie wyciągnąć nie wolno. Spakował je do plecaka. Odebrał z szatni polar. Odruchowo poszedł w stronę akademika. Przechodząc tunelem pod Wita Stwosza, zatrzymał się na chwilę. Ruszył. Zatrzymał się. Zawrócił i już bez zatrzymania poszedł na przystanek. Szóstką można stąd dojechać na Głównie Miasto.

Z butelką pepsi z delikatesów i kawałkiem sernika od Kaliszczaka usiadł na ławce naprzeciwko Złotej Kamienicy. Zaczynała się noc, świeciły latarnie, lśniły kamieniczki odremontowane trzy lata wcześniej na tysiąclecie Gdańska. To były wreszcie warunki do pracy. Michał wyjął książki, przeglądał je, notował w zeszytach, pogryzał i popijał.

Gdy skończył lekturę, nie ruszył się z miejsca. Dobrze mu było, nawet bez damy o ponadczasowym uroku.

Po lewej stał Neptun. Pięknie wykute ogrodzenie chroniło go przed kobietami, które ponoć dawniej nie mogły się oprzeć urokowi boga, przed mężczyznami, którzy chcieliby sprawdzić, czy nie powtórzy się cud sprzed wieków, kiedy to z fontanny trysnęła Goldwasser, i przed turystami płci obojga, którzy chcieliby zrobić sobie zdjęcie z tym miłym facetem. Na wszystkich trójząb mógłby nie wystarczyć.

„Neptun to najstarszy świecki pomnik w Gdańsku”, wyczytał kiedyś Michał w przewodniku. Widocznie bóg, w którego nikt już nie wierzy, staje się postacią świec-ką.

49

Dwór Artusa stał jak zawsze solidny i okazały, ale nie ociężały, jak solidne i okazałe fortuny jego dawnych bywalców, rosnące dzięki giętkości umysłu w prowadzeniu interesów. Ze Złotej Kamienicy spoglądała historyczna menażeria, w której Kazimierz Jagiellończyk zajmował miejsce poniżej Scypiona Afrykańskiego Starszego, ale powyżej cesarza Henryka, Zygmunt III Waza sąsiadował z Judą Machabeuszem, a Brutusowie z cesarzem Ottonem. Z góryM z kalenicy, spoglądała Fortuna, która im i tylu innym dała sławę. Ale kto wchodzi} do kamieniczki, mógł zapomnieć

o bohaterach z górnych pięter; tuż nad jego głową widniały tylko Wiara, Nadzieja i Miłość.

„Dlaczego miałbym za rodaka uważać raczej tego, kto pisał o puszcach litewskich przepastnych krainach, nawet jeśli pisał to po polsku, a nie tego, kto pisał o tramwajach mknących przez Targ Drzewny do Dworca Głównego, nawet jeśli pisał to po niemiecku?” - pomyślał.

Spakował książki, założył plecak. Przeszedł przez Zieloną Bramę i skręcił w lewo, jak robią to o wcześniejszej porze setki turystów i jak robił to sam dziesiątki razy. Domy, sklepy, knajpki, Żuraw, spichrze po drugiej stronie rzeki, oświetlone tak, że pozwalały się obejrzeć, ale się nie narzucały, mówiły mu czasem: „Jesteś w domu, Michale”, a czasem:

„Du bist zu Hause, Michał”.

Żuraw był już zamknięty, więc poszedł Świętojańską

i Pańską, minął Wielki Młyn i dotarł na dworzec. Na szczęście kolejka jeździ teraz nawet w nocy. Ze stacji Przymorze do akademika tylko krok.

Koledzy spali, więc nie włączał światła, umył się przy umywalce i poszedł spać. Dopiero rano zauważył kartkę na stole.

A miałeś siedzieć i uczyć się do seminarium... Zadzwoń koniecznie, jak przyjdiesz. A.

I co jej powie tym razem?

Udało mu się wygłosić dość ciekawy referat, choć oczywiście pomijał to, co jego samego interesowało najbardziej. Dzielenie się najlepszymi pomysłami jest często najgorszym pomysłem. Po zajęciach zapytał tylko prowadzącego profesora:

W jednej pracy Iwnickiego był przypis o ośrodku [w Czarnej Górze pod Słupskiem. Interesuje mnie to, bo mój dziadek tam służył, i chciałem zapytać, czy pan profesor może mi coś polecić do poczytania...

- pana dziadek tam służył? - zdziwił się uczonec. ! - W Wehrmachcie.

- Aha, rozumiem...

winien był raczej powiedzieć: „Aha, wiem”. Choć jako profesor historii najnowszej doskonale znał losy Polaków wcielanych do Wehrmachtu, to jako Polak z Galicji ciągle traktował je jako egzotykę. Tak samo dla innych egzotyczna była opowieść o jego własnym dziadku, który nawet za Drugiej Rzeczypospolitej nie zdjął ze ściany portretu Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa i pilnował, aby nikt nie pojawiał się przed tym portretem w nakryciu głowy. Bo

51

w jaki sposób szacunek dla monarchy mógł zrozumieć jakiś Kongresowiak, którego dziadek nawet nie dostawał prezentów na świętego Mikołaja, żeby nie świętować imienin despoty?

- Najlepszym specjalistą jest właśnie Iwnicki. Napisał kilka książek, jeśli coś wie, to napisał; a jeśli nie wie, to nikt nie wie. Może go pan też odwiedzić w Warszawie. Pan jest z Kielc, dobrze pamiętam? To ma pan po drodze.

Ale na książki Iwnickiego, a tym bardziej konsultacje w Warszawie, nie było teraz czasu: zaczynała się sesja. A gdy udało się przez nią przebrnąć, pojechał do Kielc, potem w Beskidy i nie miał dostępu do biblioteki.

Przyszło mu tylko do głowy, że sprawdzi wiarygod-] ność słów dziadka przynajmniej w jednym szczególe. Czy 7 maja 1944 roku - pamiętał tę datę dokładnie, bo trudno jej nie zapamiętać: dokładnie jeden rok i jeden dzień przed końcem wojny - była rzeczywiście pełnia?

Nauka w klasie matematyczno-fizycznej miała i tę za letę, że jeden z kolegów Michała poszedł na astronomię.

Cześć, Przemku! Czy możesz mi sprawdzić, jaka była faza księżyca 7 maja 1944 roku?

Mich.

Już następnego dnia użytkownik Przemek <pszem(a)fuw. edu.pl>

napisał(a):

: Pełnia była 8 maja 1944 rano. 7 maja wieczorem na oko (można było powiedzieć, że jest pełnia. Jeśli masz jeszcze takie pytania, nie ma sprawy, możesz pytać; jeśli sam chcesz umieć znaleźć odpowiedź, ściągnij wersję demo z www.kymap.com. Możesz tam nawet zobaczyć, jakie niebo oglądali sobie Antoniusz z Kleopatry.

Pozdro, Pzem

I to wszystko, co Michał mógł zrobić w wakacje w sprawie (Czarnej Górki. Miał zresztą ciekawsze zajęcia. Jak co roku, jeździł w góry, wybrał się też ze znajomymi na krótką, ale nieco dalszą wyprawę, do

Pragi i Wiednia. Jak niemal co roku rozstał się z dziewczyną (co roku z inną; rozstawał się zawsze na dobre).

W październiku, gdy pojechał już do Gdańska, jeszcze nie miał zbyt dużo pracy na uczelni, już mógł korzystać z biblioteki, już nie spotykał się z Anią, a jeszcze nie znalazł nowego obiektu zainteresowań. Jednym słowem: miał dużo czasu. Przeczytał Wunderwaffen im Pommern Iwnickiego i przejrzał wszystkie potencjalnie interesujące publikacje na temat Czarnej Górki.

Nie dowiedział się zbyt wiele. Laboratorium powstało jesienią 1942 roku na miejscu służącym wcześniej do załadunku drewna na pociągi i działało do czerwca 1944. Wtedy całą fabryczkę, razem z inżynierami i żołnierzami, wywieziono na zachód. Miała zostać włączona do większego i ośrodka badawczego. Po drodze jednak pociąg został zbombardowany i choć ludziom udało się uciec, cały sprzęt uległ zniszczeniu. Badań nie wznowiono.

Tymczasem wszystkich robotników, byli to Polacy wywiezieni na roboty, na rozkaz kapitana Frelkego rozstrzelano.

Nie jest jasne, co budowano w Czarnej Górce; autorzy wspominali o „nieznanym bliżej projekcie Wunderwaffe”. i Prawdopodobnie chodziło o nowy rodzaj torped lub inne urządzenia do walki podwodnej.

Michał mógł pokazać na mapie, gdzie w przybliżeniu znajdowała się fabryczka, ale obszar kilkuset hektarów nie nadawałby się do przeszukiwania metr po metrze. Badania utkwily w martwym punkcie. Napisał do Iwnickiego. Po kilku dniach dostał odpowiedź.

Drogi Panie Michale!

W zasadzie nic nowego nie wiem o Czarnej Górce, bo od czasu napisania znanej Panu książki nie zajmowałem się tym tematem.

jest niemal pewne, że wiedział o tym ośrodku brytyjski wywiad. Te dane prawdopodobnie będą wkrótce ujawnione. Skoro tak się Pan tym interesuje, radzę zaglądać od czasu do czasu na stronę Public Record Office, gdzie znajdują się informacje o odtajnieniach, pełny katalog dokumentów, a nawet niektóre dokumenty on line.

Mam odbitki kilku prac luźno związanych z tematem. Gdyby był Pan w Warszawie, może Pan mnie odwiedzić na Krakowskim Przedmieściu. Konsultacje mam w środy i piątki 10.15-11.45.

Serdecznie pozdrawiam Igor Iwnicki

Jedynie, co Michał mógł zrobić, to posłuchać profesora.

Adres wvsspik trafił do folderu Ulubione, a

Michał zapisał się na odpowiednią listę i informacje o udostępnianiu kolejnych dokumentów dostawał

mailem.

54

5. Non quia pulchra

Na Wszystkich Świętych Michał wybierał się do Kielc, postanowił więc zatrzymać się na chwilę w stolicy. Pierwszy listopada wypadał w czwartek, więc i piątek był wolny. Trzeba było tylko zrobić sobie wolną środę i sprawdzić, czy profesor nie wpadł na podobny pomysł. Nie wpadł.

Zamiast jechać nocnym pospiesznym, jedynym w miarę tanim środkiem transportu z Gdańska do Kielc, Michał wsiadł o czwartej czterdzieści do ekspresu. Po czterech godzinach był w Warszawie. Zjadł kanapkę z tuńczykiem na Dworcu Centralnym - nie mógł sobie nigdy odmówić tej przyjemności - i poszedł na uniwersytet.

Miał chyba umysł matematyka i najłatwiej nauczyłby się Nowego Jorku z jego prostokątną siatką ponumerowanych ulic. W Warszawie ponumerowane są tylko przecznice w Aninie, nigdzie zaś siatka nie jest prostokątna, ale Michał nie przejmował się tym za bardzo. Jego stolica wyglądała tak, jak powinna. Wyobrażał sobie więc, że Marszałkowska i Nowy Świat są równoległe, a prostopadłe do nich są Świętokrzyska i Aleje. Gdyby tak było, droga przez Marszał-

kowską i Świętokrzyską byłaby równa tej przez Aleje i Nowy Świat. W rzeczywistości jest znacznie krótsza. Michał wybrał tę drugą, co zresztą nie było problemem, bo i tak nie miałyby co zrobić z najbliższą godziną.

Szedł więc Alejami i nie mógł się nadziwić, jak można było zbudować coś równie brzydkiego. Znowu zachodni intelektualiści. Marks i Corbusier. Odważne myśli, odrzucenie filisterskich przesądów, sława, powodzenie, a potem my musimy znosić praktyczne zastosowania. Teraz Nowy Świat. No, niby ładny, ale to taki skansenik, kawałek pięknego miasta w środku brzydoty. Nie można o tym zapomnieć. W Gdańsku też mamy nowe zabytki, właściwie wyłącznie nowe. I mamy paskudne bloki, nawet blisko Starówki. Ale jakoś się o tym nie pamięta. Nawet się cieszymy, jak nam jeszcze kilka całkiem nowiutkich zabytków wybudują. Można wygnać mieszkańców i spalić budynki, a miasto przeżyje. Ale można wygnać mieszkańców i spalić budynki, a miasto nie przeżyje. Dlaczego Niemcy spalili Warszawę, a Rosjanie tylko gdańskie domy? I jakie to szczęście, że nikt nie wpadł na pomysł powstania krakowskiego. I że na gruzach Festung Breslau znalazła się nowa lokalizacja dla Lwowa.

- Dzień dobry, panie profesorze, jestem Michał Dzi-wok.

Profesor nieco nieprzytomnie podniósł głowę znad notatek, którymi zaśłane było biurko. Na jego skraju wystawał spod tych papierów ekran laptopa, ale klawiatura także była

56

57

przykryta warstwą zapisków. W pokoju panował miły zapach herbaty i starych książek.

- Aha, pan się interesuje Czarną Górką? Napije się pan herbaty? No proszę się nie krępować, niemiło pić samemu. Pan może stamtąd pochodzi?

- Nie, mój dziadek tam służył. W Wehrmachcie.

- Pan może z Kaszub?

- Ze Śląska. Od strony taty.

- A, to mamy podobne historie. Mój brat służył w Kriegsmarine. Dostał Krzyż Żelazny za to, że nie umiał pływać. Ja na szczęście byłem za młody. Chociaż, kto wie, gdyby jeszcze trochę ta wojna potrwała, braliby czterolatków do Volkssturmu, a ja w 1945 roku kończyłem cztery lata...

- Ale z tym Krzyżem Żelaznym to pan profesor żartuje... To znaczy żartuje, że za to, że nie umiał pływać. Chyba jednak zasłużył się czymś więcej.

- Chyba nie podejrzewa pan, że mój brat był takim łajdakiem, żeby zostać bohaterem?! Nie umiał pływać, ale uznali, że kłamie, i wzięli go do marynarki. Kiedy stali w Kilonii, zaczęło się bombardowanie. To był rok 1944 i nikt już nie wierzył w jakiegokolwiek działania obrony przeciwlotniczej. Gdy tylko zaczęły wyć syreny, wszyscy stanęli na wyznaczonych stanowiskach przy sprzęcie przeciwpożarowym, ale kiedy bomba trafiła okręt, porzucali sikawki i wpław uciekali na brzeg. A brat nie umiał pływać. Sam jeden został na statku i nawet nie był w stanie spuścić szalupy. Więc wziął gaśnicę i zaczął walczyć z żywiołem. A że motywa-

58

cję miał dużą, jakoś mu się udało. Widocznie bomba nie była zbyt groźna albo nie uderzyła w czułe miejsce. W każdym razie gdy Anglicy odlecieli i podpłynęli strażacy, nie musieli już nic robić: pożar ugasił jeden młody marynarz. I mój brat został bohaterem. Sam jeden, narażając życie, gdy inni uciekli, uratował okręt. Ale pana przecież interesuje Schwarzenberg, a nie moje wspomnienia. Czy ma pan jakieś konkretne pytania?

- W zasadzie nie... - Michał zastanawiał się, jak zadać pytanie, nie zadając go; jak skierować rozmowę na Frelkego i jego skarb, nie mówiąc, że wie o skarbie. - Zastanawiam się, jak doszło do tej masakry. W końcu w Niemczech pracowały tysiące robotników przymusowych i większość uszła z życiem. Kim był ten Frelke, że wydał taki rozkaz? I... i kto go wykonał?

- Rozumiem pana - pokiwał głową profesor. - Może się pan nie martwić. Pana dziadek na pewno do nich nie strzelał. Robotników zabili esesmani przysłani do pomocy przy ewakuacji. Jak stwierdził angielski sąd: na rozkaz Frelkego. Żołnierzy już wtedy nie było na miejscu, stali na bocznicach w Słupsku i czekali na połączenie na zachód. Dokładniej nic nie wiem, bo akta sądu też zostały przez Anglików utajnione. Jak je wreszcie udostępnią... Być może Frelke wykonywał rozkaz wydany jeszcze wyżej. Mogło chodzić o to, że Polacy, pracując przy badaniach, poznali tajemnice wojskowe. Likwidacja była najprostszą metodą ochrony tych informacji, chociaż zdaje się, że alianci i tak już wszystko wiedzieli. Mam też drugą

hipotezę, chyba jeszcze bardziej Frelkego obciążającą.

59

- Tak?

- Polacy mogli przy okazji dowiedzieć się czegoś o innych jego sprawkach. Znam wypadek rabunku dokonanego przez Frelkego, a być może były i inne, o których nie wiem. Proszę zobaczyć tę pracę.

Michał szybko zerknął na wskazany fragment:

Mało znanym przykładem grabieży dokonywanych przez hitlerowców była „wizyta” kapitana Wilhelma Friedricha Frelkego w domu dra Ferdynanda Mokrzyskiego dnia 4 maja 1944 roku. Kapitan „skonfiskował” zbiór monet należących do tego lekarza, numizmatyka i słynnego erudyty. Wielkiej wartości zbiór, zawierający nawet takie okazy jak rzymski denar, nigdy się nie odnalazł. Frelke nie mógł być sądzony za tę grabież, jako że wcześniej już został skazany i stracony za zbrodnię większą: wydanie rozkazu wymordowania kilkudziesięciu polskich robotników przymusowych.

- Bardzo dziękuję, panie profesorze. Czy mogę to odbić?

- Proszę bardzo, przygotowałem dla pana teczuszkę. Na dole jest ksero, a oryginały proszę mi zostawić w portierni, teraz muszę już iść na wykład. Bardzo miło było pana poznać, a pan chyba dowiedział się tego, co najważniejsze.

- Tak - odparł Michał, choć myślał o czym innym niż profesor. Że robotników zabili esesmani, przeczytał już wcześniej.

Warto było przyjechać do Warszawy. Wszystko łączyło się w logiczną całość. Rabunek 4 maja, zakopanie monet trzy

60

dni później. Trudno przypuszczać, że dziadek pomylił datę, ale trafił przypadkiem w inną pełnię księżyca. I mówił, że parę dni wcześniej kapitan miał jeden dzień urlopu.

Było czego szukać. Choć Michał planował oddać skarb spadkobiercom obrabowanego doktora i nie o pieniądze mu chodziło, przed nim było sensacyjne odkrycie. Postanowił nic nikomu nie mówić, i to nie tylko dlatego, żeby ktoś go nie ubiegł, ale i dlatego, żeby nie wyjść na kretyna, jeśli się nie uda.

Do ostatniego dziennego pospiesznego, tego po dziewiętnastej, zostało dużo czasu. Dobrze więc, że umówił się z Konradem, znajomym z klubu archeologicznego, i jego żoną Kasią, doktorantką na Wydziale Matematyki. Zdążył jeszcze zjeść obiad w barze Uniwersyteckim, zwanym przez stałych bywalców Karaluszkiem, zgadnijcie, dlaczego, i poszedł do kawiarni na rogu Świętokrzyskiej i Nowego Świata. Spojrzał w kartę i wykrzywił usta w grymasie. Nie będzie nigdy miastem dwumilionowa nawet osada, w której normalnych ludzi nie stać na kawiarnię. To jest różnica pomiędzy Warszawą z jednej a Gdańskiem i Krakowem z drugiej strony. Nie Żuraw, nie Wawel, nie kolumna Zygmunta, tylko czy umawiasz się ze

znajomymi na mieście. Przecież i w czasie okupacji ludzie chodzili tutaj do kawiarni. Co się stało potem?

Gdy tylko usiadł, w drzwiach pojawił się Konrad. Pracował tuż obok i wykorzystał przerwę na lunch. Wpadł zdyszany, tłumacząc komuś przez komórkę, że właśnie jest w trasie i wraca do firmy za trzy dni. Kasia, niestety, nie mogła się urwać z zajęć, które prowadziła.

61

- I co słyhać nad morzem?

- Nad morzem? Jesienne sztormy. A u mnie? Nic szczególnego. Chodzę na zajęcia, przymierzam się do magisterki. Czasem myślę, co będę robił po studiach, ale to nie jest miły temat do rozmyślań. Znaleźć pracę po historii...

- Ja jakoś znalazłem - pocieszał go Konrad - i to po jeszcze bardziej egzotycznym kierunku.

- Ale nie w swoim zawodzie.

- A co to jest „mój zawód”? - wydaje się, że orację na ten temat Konrad wygłaszał już wiele razy wobec kolejnych osób, miał ją więc przeciwioną i mógł rzucać gromy jak najlepsi w tej sztuce: „Jak długo mi będziesz, Katylinio, wytykał ten dział marketingu? Dokąd jeszcze się twoja niegodna posunie zuchwałość?”. - „Mój zawód” to praca, którą wykonuję. Więć ex definitione każdy pracuje w „swoim” zawodzie. Chyba że nie pracuje wcale, ale wtedy, jakby powiedziała moja kobieta, wykonuje „zawód pusty”, który w danej sytuacji jest właśnie „jego” zawodem. A że nie tego uczyłem się na studiach? W końcu trudno przypuszczać, że co roku potrzeba w kraju kilkuset nowych archeologów. Nawet jeśli się buduje pięć kilometrów autostrady. Pracę mam ciekawą. Pewnie na uczelni wmawiają ci, że jedyna mądra praca to zajmowanie się nauką, a kto uważa inaczej, to albo jest za głupi, albo połał się na pieniądze. Ale oni tych pieniędzy nam po prostu zazdroszczą, więc pocieszają się, jak umieją. Niektórzy mówią: „Tyle się uczyłem i ma się zmarnować?”. Uczymy się dla przyjemności, a jak ktoś nie lubi, niech idzie kopać rowy. Studia były nie tylko ciekawe i rozwijające, ale także pomagają mi w pracy.

Trudno było coś odpowiedzieć na takie dictum. Pozostało co najwyżej zaprzeczyć przez potwierdzenie.

- Dzięki studiom jesteś mądrzejszy, więc ci pomagają. Pośrednio.

- Bezpośrednio też. Kiedy porównuję Sumerów, Hebrajczyków i nas, wiem, co jest naprawdę uniwersalne w ludzkiej naturze. A kiedy znam naturę człowieka, mogę mu łatwiej sprzedać wodę mineralną.

Drzwi się otwały i wbiegła Kasia.

- No, już jestem. Przywitała się z mężem i kolegą.

- Jak zwykle zabiegana?

- Bez przesady, nie przemęczam się na tej uczelni -stwierdziła; jeśli jednak pracowała w podobnym tempie jak mówiła, to na pewno nie była leniwa. - Chociaż ostatnio wydaje mi się, że potrafię prościej

udowodnić jeden dość ciekawy fakt, który wprawdzie ma dowód, ale dość skomplikowany. Już jestem na tym etapie, żeby powiedzieć, że wszystko jest oczywiste, tylko nie bardzo umiem tę oczywistość rozpisać na kolejne kroki rozumowania. Więc trochę mi się w głowie kotłuje. No dobrze - machnęła ręką w sensie przenośnym, bo w sensie dosłownym obie jej dłonie usiłowały znaleźć coś w torebce, naturalnie bardzo szybko.

O czym rozmawiacie?

- Właśnie przekonuję Michała do marketingu.

- Skutecznie? - zainteresowała się Kasia i wreszcie nieco zwolniła.

- Nie mam pojęcia - roześmiał się Konrad. - W każdym razie opowiadam, jak wykorzystuję wiedzę fachową.

62

63

- Pewnie, w końcu nowa reklama dla NG... Aha, to jest poufne. Ale pokaż ją.

- Nie wziąłem jej przecież ze sobą.

- Czytasz „National Geographic”?

- Czasem... - wykręcił się Michał. Nie czytał, a pewnie wypadało.

- To kup grudniowy numer. Zobaczysz piękny rysunek, jak setki niewolników uwijają się przy budowie systemu melioracji w Babilonie...

- Kochanie, mówiłem ci już, że to nie byli niewolnicy...

- Wiem, wiem... Mniejsza o to, w każdym razie jest to wspaniały rysunek w stylu starożytnym. Sens podpisu jest taki, że dla wody ludzie zrobią wszystko.

- A widzisz! - stwierdził Konrad z satysfakcją szczególnego rodzaju. Taką, którą odczuwamy, gdy uda nam się wreszcie wykazać, że coś się nam nie udało. - Nie wymyśliłem tego najlepiej, skoro nie pamiętasz hasła dosłownie.

- Ale nazwę wody zapamiętałam. Chcecie jeszcze kwasu fosforowego?

- Kwasu? - zapytał zdziwiony Michał. Konrad pewnie już wiedział, o co chodzi, w końcu to jego żona.

- Pepsi - wyjaśniła, uśmiechając się z jeszcze bardziej szczególną satysfakcją, którą odczuwamy, gdy mamy okazję uprzedzić nieświadomych ludzi o nadchodzącej wielkiej katastrofie. - Sami piszą na etykiecie, że to kwas fosforowy. Żadna tajemnica.

- I mówisz to tak spokojnie, i pijesz?

- Jeśli się coś robi, trzeba mieć odwagę nazwać to po imieniu. A co ty, Michale, robisz dzisiaj w Warszawie?

- Byłem na konsultacjach. Najlepszy specjalista od hitlerowskich badań zbrojeniowych na Pomorzu pracuje teraz na waszym uniwersytecie. Czy to nie jest śmieszne?

- Tak teraz nosi ludzi po świecie. A ty zostaniesz po studiach w Gdańsku czy wracasz do Kielc?

- Do Kielc? - zdumiał się Michał, jakby pytano o Ułan Bator. - Wracam? Nie, to nie jest moje miasto.

- Przecież tam wyrosłeś.

- Moje miasto jest tam, gdzie dorosłem, a nie gdzie wyrosłem.

- Być może. Ja cały czas mieszkam w Warszawie, więc to dla mnie bez różnicy. Nawet jak czasem wyobrażałem sobie własne życie w dawniejszych czasach, to zawsze było w Warszawie. No, u was w Gdańsku to wygląda trochę inaczej, trzeba by sobie jeszcze zmienić narodowość.

- Wy sobie wyobrażacie, że jak w Gdańsku mieszkali Niemcy, to byli tacy ze swastyką, a przynajmniej w pikiel-haubach. Tymczasem ci Niemcy, którzy przez całe wieki mieszkali w Gdańsku, to według obecnych kryteriów - Holendrzy. Przyjechali z Niderlandów, mówili takim samym dialektem. Wyobraźcie sobie naszych poprzedników jako krewnych tych miłych ludzi palących jointy w Amsterdamie, a od razu nabierzecie do nich więcej sympatii.

64

65

- Może i tak... - Konrad nie był do końca przekonany. -W każdym razie ja jestem zdeklarowanym warszawiakiem. Nie wyobrażam sobie, żeby stąd wyjechać.

Michał pokręcił głową, jakby kolega podał w wątpliwość konieczność oddychania.

- Nie rozumiem, jak sobie można nie wyobrażać. Przecież to miasto jest tak brzydkie. A w dodatku atmosfera, do której zupełnie nie pasujesz. Wychodzę dzisiaj z dworca, idę Alejami, schodzę do przejścia pod skrzyżowaniem z Marszałkowską, a właściwie zbiegam, i nagle myślę sobie: „Czemu ja biegnę? Mam mnóstwo czasu”. Chyba biegnę dlatego, że inni też biegną. Na przykład taka kobieta przede mną, pachnąca perfumami Eternity. Wiem, jak się nazywają, bo kiedyś chciałem je kupić Ani w prezencie, tylko gdy popatrzyłem na cenę, zakręciło mi się w głowie bardziej niż od ich zapachu. Biegnie, bo ma mnóstwo spraw do załatwienia. Swoją drogą, ciekawy pomysł, żeby nadać nazwę Eternity czemuś, co paruje bez śladu...

- I co z tą pachnącą kobietą? - zapytał Konrad głosem na tyle zainteresowanym, że Kasia rzuciła w niego szybkim i ostrym spojrzeniem.

- Kobieta zbiega po schodach, bo ma mnóstwo spraw do załatwienia. Ciężko pracuje, żeby sobie kupić Eternity. Ale, tak sobie wtedy pomyślałem, jak przyjdzie co do czego, to i tak nie będzie pachniała swoimi

wspaniałymi perfumami, tylko tym cholernym pośpiechem.

- Konradowi już mówili Denekowie - zaśmiała się Kasia - jak bardzo się dziwią, że taką znalazł pracę; bardziej by pasował na prowadzącego schronisko w górach.

66

- Pewnie - roześmiał się Konrad - przychodzą sobie tacy Denekowie, a tu siedzi baba Konrad na baczce, w starym swetrze, grzeje ciepłą herbatę. A potem wracają do wielkiego miasta, przeklinają je, ale mają tu znajomych, kina, teatry, kontakt ze światem. A przede wszystkim to jest ich miasto. Opowiadają, jak to zazdroszczą bacy Konradowi, ale nigdy by się z nim nie zamienili.

- A Warszawa jest twoim miastem? Taka wstrętna? Przecież pomiędzy Warszawą a samotną baczką jest kilka szczebli pośrednich. Kraków, Toruń, Sandomierz...

- Warszawa jest wstrętna? W sumie tak. Brzydota, bloki, beton, kłótnie, korki, karierowicze, nie wiem, co gorsze. To fakty. Ale jaki one mają związek z tym, że Warszawa jest moim miastem? Patriam amamus non quia pulchra est, sed quia nostra.

Następnym razem Michał był w Warszawie dopiero na początku sierpnia. Miał dwie godziny na przesiadkę, spędził je pod Pałacem Kultury, na skwerze niedawno uwolnionym od targowiska. Z ciężkim plecakiem nie chciało mu się chodzić na dalekie spacer.

Stolica tym razem nie przeszkadzała mu tak bardzo, ale to nie jej zasługa, teraz bowiem nic nie mogło zakłócić jego radosnego podniecenia. W plecaku miał kserokopie szkiców tajnej fabryki w Schwarzenbergu, informacje przekazane Brytyjczykom przez wywiad AK, część akt z procesu Frelkego.

Warto było przez trzy tygodnie zbierać na czarno czarne porzeczki za słynne szkockie wynagrodzenie, żeby przez

67

kilka dni siedzieć w Kew i zdobyć to wszystko. Nawet zwiedzanie Londynu, nawet największa tamtejsza atrakcja, czyli kamień z Rosetty, nie były tak ważne jak mapka kawałka lasu pod Słupskiem.

W Gdańsku odbierze od znajomych rower, przepakuje się z plecaka w sakwy i wsiądzie w najbliższy pociąg na północny wschód.

ó. Pomerania

Pomorze to kraina ciągnąca się od Wisły na wschodzie do wyspy Rugii na zachodzie. Dziś podzielona jest pomiędzy Polskę i Niemcy, ale w długiej historii tych ziem podział był na ogół zupełnie inny. Już w XIV wieku, gdy Krzyżacy zajęli Pomorze Gdańskie, los tej części oddzielił się od losów Pomorza Zachodniego. I ten podział trwał do roku 1945.

Ponieważ znaczna część terenów zakonu krzyżackiego obejmowała dawne ziemie plemienia Prusów, całe państwo zakonne, razem z Pomorzem Gdańskim, zaczęto nazywać Prusami. Nazwa ta przeżyła nie

tylko bałtyckich pogan, ale i Krzyżaków. Gdy państwo zakonne zostało zlikwidowane, Pomorze Wschodnie wróciło do Polski, ale już pod nazwą Prus Królewskich. Królewskich, bo należących do Królestwa Polskiego. Później, gdy w wyniku rozbiorów Polski te ziemie stały się częścią Królestwa Prus, zaczęto używać nazwy Prusy Zachodnie.

Pomorze Wschodnie było niemal zawsze związane z Polską, a w każdym razie ze słowiańskimi książętami. Półtora wieku rządów Krzyżaków i nieco ponad wiek Królestwa Prus

69

to w sumie około jednej czwartej tysiąclecia historii. Na Zachodzie było ciekawiej. Kto tu nie rządził! Królowie Polski, rozmaici udzielnicy książęta, margrabiowie Brandenburskiej, Szwedzi, Duńczycy, i to nie w tej kolejności, ale na zmianę, jak popadło.

W każdym razie porządek zapanował w 1815 roku, gdy Pomorze Zachodnie trafiło w ręce pruskie. Choć całe Pomorze należało teraz do Prus, tylko część zachodnia nazywała się Pommern. Dalej na wschód były Westpreussen. I takie znaczenie słowa Pommern przetrwało po niemiecku do dziś.

W latach trzydziestych mieliśmy niemiecką prowincję Pommern, Wolne Miasto Gdańsk i polskie województwo pomorskie. To ostatnie miało niezwykle kształt. Z regularnego placka wokół Torunia i Bydgoszczy wyrastała wąska szyja prowadząca na skrawek wybrzeża. Ta szyja, niezwykle ważna dla Polski, rozdzielała na dwie części Rzeszę Niemiecką upokorzoną po wojnie i pozbawioną terenów, które kiedyś wprawdzie do niej nie należały, ale tego nawet najstarsi Niemcy nie pamiętali. Wiadomo było, że nie może z tego wyniknąć nic dobrego.

Ludność Pomorza była, jak niemal wszędzie na świecie, mieszkanką. Słowianie, Niemcy i najrozmaitsze inne nacje po kilku pokoleniach nie dałyby się rozdzielić. Wtedy zresztą nie traktowano spraw przynależności etnicznej tak poważnie jak dziś. Co innego - wyznanie. Pomorzanie przeszli na protestantyzm i dzięki temu, gdy powstawały narody w nowoczesnym rozumieniu tego słowa, stali się Niemcami.

Tymczasem Kaszubi w Prusach Królewskich mogli pozostać katolikami, a w rezultacie - Polakami. Dlatego mamy autochtonów w Kartuzach i przesiedleńców w Słupsku.

Po wojnie do Polski trafiła znaczna część prowincji Pommern i tereny Wolnego Miasta. Dalsza część została w Niemczech i wielu Polaków pewnie nie wie, że to w ogóle jest Pomorze. Wzdłuż wybrzeża ciągnęły się teraz województwa: gdańskie i szczecińskie, wkrótce dołączyło do nich koszalińskie, a po latach również słupskie.

W ramach kolejnej reformy administracyjnej pojawiły się trzy województwa mające Pomorze w nazwie: pomorskie, kujawsko-pomorskie i zachodniopomorskie. Dla polonistów jest to okazja do ćwiczenia pisowni łącznej lub z dywizem, ale właściwszą nazwą województwa ze stolicą w Szczecinie byłoby chyba jednak „środkowopomorskie”. A jeśli nie, to po prostu „pomorskie”. Bo to Szczecin, a nie Gdańsk, był stolicą Pomorza, tak jak Wrocław, a nie Katowice, był stolicą Śląska.

„Pommern” nie oznacza więc dokładnie tego samego co „Pomorze”. A gdzie leży Pomerania?

Michał Dziwok

Autor jest studentem I roku historii na Uniwersytecie Gdańskim.

70

71

Rozdział 2

NA WSCHÓD

Od wschodu - mądrość-kłamstwa i ciemnota, Karności harap lub samotrzask z złota, Trąd, jad i brud.

jeśli wrażeń cię głód

zagna kiedyś na wschód

nie za długo tam chyba wytrzymasz

lecz na wschodzie przynajmniej

życie płynie zwyczajnie

słońce wschodzi i dzień się zaczyna

1. Metyloindol

Dzień był niewątpliwie udany. Jeszcze wczoraj Michał nie był pewien, czy pierwszego dnia znajdzie choćby stację węzłową. A tutaj, proszę, udało się wykonać plan maksimum. W tym tempie dwa-trzy dni... Może dziadek miał rację? Trzeba to uczcić.

Umył się w schronisku i przebrał, zjadł makaron z gotowym sosem, ale na deser wybrał się do pobliskich Rowów, gdzie na pewno łatwiej niż w Objeździe będzie znaleźć miłe miejsce.

W miasteczku było gwarno, ale nie bardzo ciasno, bo większość wczasowiczów wylegiwała się na plaży. Znalazł więc kawiarenkę z ogródkiem i usiadł wygodnie w fotelu. Po godzinach spędzonych na siodelku odczuwał wyraźną ulgę. Popijał cappuccino. Nagle zaskoczyło go radosne powitanie:

- W

To była dziewczyna spotkana w Słupsku. Rzeczywiście, przecież wybierała się do Rowów. Wiedział o niej tylko tyle, że jest z Niemiec. Każdemu cudzoziemcowi najpierw zadaje się to pytanie.

75

- Hi... Jak właściwie masz na imię?

- Inga - uśmiechnęła się.

- A ja Michał. Usiądziesz?

- Chętnie. A ty nic nie mówisz, że jedziesz do Rowów - wycelowwała palec, jakby przyłapała go na jakimś drobnym hultajstwie.

- Bo nie jechałem. Mieszkam w Objeździe, kilka kilometrów stąd. Ale to wiesz, na kawę przyjechałem do miasta.

- Rzeczywiście, wielkie to miasto - zaśmiała się. - Jeździsz rowerem po okolicy?

- Tak.

- To zupełnie jak ja.

- Jak długo jesteś w Polsce? - na razie Michał nie musiał używać intelektu do rozmowy, zestaw standardowych pytań jeszcze się nie wyczerpał.

- Czwarty dzień.

- I jak? - to już chyba ostatni temat standardowy, za to pozwalający na dłuższą wypowiedź niż poprzednie pytanie.

- Świetnie. Na dłużej byłoby może nudno, ale parę dni, czemu nie.

- Gdybyś miała być dłużej, to przecież nie w jednym miejscu. Byłaś kiedyś w Polsce?

- Nie, wybierałam się raczej na zachód. Zeszłego lata byłam w Irlandii.

- To chyba piękny kraj?

- Słuchaj - rozmarzyła się - w każdej wsi zamek, katedra i opactwo. W różnym stanie, oczywiście, ale nawet dobrze zachowanych zabytków mają tyle, że nie zdołaliby zatrudnić przewodników. Stoi tylko tabliczka, że to jest klasztor

76

z IX wieku i że można go sobie obejrzeć, ale nie wolno przechodzić przez mury, żeby nie straszyc pasących się krów. Wybierz się koniecznie.

- Czemu nie? W tym roku byłem niedaleko, bo w Londynie. To oczywiście zupełnie inny rodzaj podróży...

- Ale też warto. Jakbyś kiedyś jechał przez północne Niemcy, odwiedź mnie w Hamburgu.

W Słupsku widzieli się przez chwilę. Teraz Michał mimo kawiarnianego półmroku mógł się dokładniej przyjrzeć dziewczynie. Mówi się w takich sytuacjach, że wyglądała sympatycznie: nie była piękna, ale też nie brzydka, a wyraz twarzy wskazywał, że będzie z nią można miło porozmawiać. Było w niej

zdecydowanie i energia, której potrzeba na samodzielne dalekie wyjazdy. Michał zawsze lubił takie dziewczyny. Pewnie z taką byłby szczęśliwy; jego problem polegał na tym, że podziwiał je zawsze z daleka.

Patrzeć na Ingę sprawiało mu przyjemność, chyba nie tyle dlatego, że mu się podobała, ale że ją polubił. „Czy ty lubisz tylko ładne dziewczyny, czy tobie po prostu podobają się te dziewczyny, które lubisz?” - zapytała go kiedyś przyjaciółka i chyba zachodziła ta druga możliwość. Tak było i teraz. „Szkoda, że nie spotkałem cię w innych okolicznościach; moglibyśmy się lepiej poznać, a tak pewnie widzimy się pierwszy i ostatni raz. Miła jesteś i nawet ładna mimo tych kropek na buzi”.

Choć wielu znajomych uważało, że Michał jest niepoprawnym podrywaczem, w rzeczywistości jego udane kontakty z płcią przeciwną zaczęły się w wieku piętnastu lat

77

od pewnej spowiedzi, na której ksiądz zalecił mu czytanie Nowego Testamentu. Michał posłuchał. Przejął się lekturą, postanowił być dobrym i miłym dla ludzi. Tylko tak się złożyło, że w wypadku dziewcząt łatwiej mu było realizować ten szczytny zamiar.

- Coś jeszcze dla państwa?

- Może jeszcze cappuccino? - odpowiedział Michał i już chciał zapytać Ingę, czego się napije, ale dziewczyna spróbowała powtórzyć jego słowa.

- Mozhe yesh... yesh-tsh... Jak wy sobie na co dzień radzicie z takim językiem?!

- Jak byłem mały - roześmiał się Michał - to mnie dziwiło, że w Anglii już małe dzieci mówią po angielsku. Tak samo sobie radzimy, jak wy ze swoim. Ale faktycznie jest dość skomplikowany.

- Jak jest po polsku: I'm glad I've met you?

- „Cieszę się, że cię spotkałem” - odpowiedział, kręcąc w myślach głową na to pomieszenie języka z metajęzykiem.

- Sh... sh... zh... ch'...

- Ale jak ty to chcesz powiedzieć, to musisz użyć femini-num: „spotkałam”.

- Czasownik odmieniany przez rodzaje? - jęknęła Inga. - To ile macie form czasownika?

- Nie mam pojęcia. Musiałabyś zapytać polonistę. Ale myślę, że z imiesłowami odmienianymi przez przypadki, liczby i rodzaje będzie sto kilkadziesiąt.

- Już nie chcę się uczyć polskiego. Powiedz, jak pojeżdżę po Pomorzu, gdzie powinnam się wybrać?

78

- Możesz pojechać do Krakowa, to piękne miasto. Jeśli interesują cię dzikie tereny, to mamy góry.

Niektóre w sam raz na rower.

- Tu jest bardzo ładnie. Polska mnie chyba pozytywnie zaskoczyła. Ale jedną rzecz muszę ci opowiedzieć. Przejeżdżałam dzisiaj obok pięknego domu, tylko zupełnie zrujnowanego. Sprawiał wrażenie nędzy i rozpacz, a nawet jeszcze gorzej, bo to była nędza i rozpacz po wielkiej stracie. Wystarczyła odrobina wyobraźni, żeby zauważyć, że to coś w rodzaju brony, co leży na ziemi przed domem, to w rzeczywistości rzeźbiona krata. Żeby widzieć, jak po tej kracie wspina się wino, a gospodyni, stojąc na ganku, macha do swojej córki Greta odjeżdżającej pociągiem Słupskich Kolei

Powiatowych SA...

- Powinnaś pisać powieści w odcinkach w czasopiśmie dla wypędzonych. Aż boję się pomyśleć, jak rozwinęłabyś skrzydła w swoim ojczystym języku.

- A obok domu - Inga poczuła się zaproszona do przejścia na niemiecki - stało własne dzieło tych, którzy dom ten doprowadzili do ruiny. Szopa sklecona z przegniłych desek i kryta odłóżką od dachu papą...

- ...z jednej strony deski się załamały - kontynuował Michał - więc konstrukcję podparto kilkoma podkładami kolejowymi. A obok stała rozwalona szoferka ciężarówki z lat sześćdziesiątych, pokryta łajnem panoszącym się wokół kur.

- To po co ja się tyle męczyłam po angielsku? Ty też mógłbyś pisać takie powieści. Widziałeś ten dom? Wszystko się zgadza, tylko szoferki nie zauważyłam.

79

- Nie, nie widziałem. Wyobraziłem sobie typowy obrazek z tych stron. Szoferki akurat nie było, ale pewnie jeszcze i ją gdzieś zobaczysz. Albo pół wagonu kolejowego czy stary kiosk. Jak przyjechali tutaj osadnicy, to nie tylko nie mieli dobrych wzorców u siebie na wschodzie, ale też nie wiedzieli, na jak długo tutaj przyjechali. A nuż trzeba będzie... A nuż można będzie wrócić do siebie na wschód? Potem już tak zostało. Wieczna prowizorka. Kilka tysięcy osadników z Niderlandów załatwiłoby sprawę.

- Mało to patriotyczne.

- Trudno być patriotą pod Słupskiem. Ale wybierz się do Krakowa, do Kazimierza nad Wisłą. To bardzo piękne miasta i bez wątplenia polskie. Będziesz miała inne zdanie o naszym narodzie. A gdybyś widziała Kanał Augustowski! Polskie wojska inżynierskie zbudowały cudo techniki. Potężne dwustopniowe śluzy, kilometry kanałów, świetne wykorzystanie naturalnych zbiorników. W latach dwudziestych XIX wieku Polska, choć okrojona terytorialnie i powiązana unią personalną z Rosją, mogła stać się bogatym, nowoczesnym państwem. Gdyby nie paru wariatów romantyków w stopniu podchorążego...

Michał pomyślał nagle, że historia Polski w jego interpretacji może wcale nie interesować dziewczyny. Zmienił więc temat:

- A co studiujesz?

- Skąd wiesz, że studiuję?

- Żeby być już po, jesteś za młoda, a żeby w ogóle nie studiować - zbyt inteligentna.

80

- Świetne rozumowanie - roześmiała się znowu. - Jestem na biochemii w Hamburgu.

- To przyszłościowa dziedzina. Możesz zmieniać świat.

- Z pewnością. Ale mnie po prostu interesują te sprawy, a przy tym jest szansa na dobrą pracę. A ty, gdzie ty studiujesz?

- Na historii w Gdańsku.

- A więc twoje zainteresowania historią Pomorza są zawodowe?

Michał skinął głową w sposób, który mógł wyrażać „i tak, i nie”, a sam zapytał:

- A twoje rodzinne?

- Tak. Moja rodzina od strony matki stąd pochodzi. Sama nigdy tu nie byłam. Mama by się ze mną nie wybrała, bo uważa, że wizyta na Pomorzu to kwestionowanie granic państwowych. Kwestionowanie granic to postawa odwetowa, chęć powrotu do granic z 1938 roku. Chęć powrotu do granic z tamtego roku to poparcie dla ówczesnych władz. Poparcie dla tamtych władz to także poparcie dla wszystkich późniejszych ich działań, a więc także dla Holocaustu. Ergo: kto jedzie do Słupska, jest ludobójcą. Mówiąc między nami, moja stara to wariatka. Kiedyś uparła się, że mają wymazać z jej dokumentów nazwisko panieńskie, bo źle się kojarzy. Myślałby kto, że „Frelke” w ogóle się komuś kojarzy. Więc wybrałam się sama.

Michał żałował, że zdjął okulary przeciwsłoneczne, bo nad mimiką mógł panować, ale nad oczami - nie bardzo. Na szczęście Inga nie wiedziała, że powinna go w tej chwili obserwować. Przecież, gdyby wiedziała, po prostu nic by

81

nie mówiła. Kierował więc rozmowę w stronę z góry upatrzoną:

- No właśnie, nie wolałabyś z kimś? Nawet jeśli znajomi nie mają tych samych korzeni co ty, to może byłby ktoś, czyje zainteresowanie tobą byłoby przyczyną zainteresowania tym, czym się interesujesz.

Inga chwilę analizowała pytanie. W końcu się roześmiała.

- Uczyłeś się chyba języka na dziełach Hegla. Nawet wielu Niemców nie potrafiłoby zbudować tak skomplikowanego zdania. Nie prościej zapytać: „Czy skoro przyjechałaś sama, to znaczy, że nie masz faceta?”.

- Skoro już zadałeś to pytanie...

- Mam w zasadzie kilku.

- W tym wypadku zwykła arytmetyka nie działa. Kilku to gorzej niż jeden, ale na serio.

- Popatrz tutaj. Wiesz, co to jest?

Inga narysowała na serwetce sześciokąt foremny, do którego boku przylegał pięciokąt. Jeszcze kilka kresek. Wreszcie napisy „NH” i „CH₃” wyjaśniły, że chodzi o wzór chemiczny. W matfizie chemia była na nie najgorszym poziomie, więc Michał pamiętał jeszcze, że w wierzchołkach wielokąta znajdują się atomy węgla, ale dla uproszczenia nie pisze się wszystkich „C”. I pamiętał nawet, jak nazywają się związki organiczne z takim pierścieniem. Bardzo dobrze, niech dziewczyna wie, że nie jest humanistą bez pojęcia o naukach przyrodniczych.

- Jakiś związek aromatyczny.

- Świetnie! Nazywa się metyloindol. Określenie „aromatyczny” jest tu jak najbardziej na miejscu, bo gdy go

rozcieńczyć, pachnie jak fiołki. Stosuje się go nawet w produkcji perfum. A wiesz, jak pachnie, gdy jest stężony? Oczywiście, nie jak stężone fiołki. Cuchnie jak niemyty klopot.

- Bardzo oryginalna przypowieść, szkoda, że nietrafna. W każdym razie Królowna Śnieżka i ja uważamy, że dla jednego księcia warto porzucić siedmiu krasnoludków.

- No, takich autorytetów nie mogę podważać - uśmiechnęła się, choć jeszcze chwilę wcześniej wydawało się, że bardziej uśmiechać się nie można. - A ty znalazłeś już swoją królownę?

- Jak na razie wszystkie całowane żaby okazały się tylko żabami.

Zobaczyła, jak oczy Michała gasną i opuszczają się powoli, schyliła się więc tak, że oparła brodę o stół, popatrzyła z tej perspektywy w oczy chłopaka i zapytała z raczej współczującym niż rozbawionym uśmiechem:

- Oj, czy aby jedna nie była choćby nieco oślizgłym płazem? Coś się chyba zasmuciłeś. Przepraszam, że pytam, ale to nie ja zaczęłam ten temat.

Michał podniósł oczy i już bez smutku, choć i bez radości, która jeszcze przed chwilą tak promieniowała z każdego jego słowa, odpowiedział:

- Nie, żaby są żabami. Zasmuciłem się trochę, bo mi się przypomniało, że jedna najwyraźniej nie rozumiała, że nie jest już księżniczką, i całkiem niedługo będę jej musiał to jeszcze raz wyjaśnić. Ale dajmy temu spokój; nie chodziło mi wcale o twojego faceta, po prostu się zdziwiłem, że nie wyciągnęłaś na taki wyjazd znajomych.

- Przyjechałam sama, bo lubię czasem być sama.

- Więc może się narzucam?

- Przecież to ja podeszłam. Ale chcę mieć czas, żeby sama pojeździć, wyciszyć się, odpocząć.

Inga mówiła prawdę. Tylko prawdę. Ale nie całą prawdę. Michał nic nie mówił, ale wcale nie miałby ochoty umawiać się na przejażdżkę.

- Co innego wieczorem... Wtedy bardziej lubię towarzystwo.

- Więc może jutro wieczorem też się umówimy?

- W porządku. Może być tutaj i o tej samej porze.

Inga wracała do domu w wyraźnie dobrym humorze. Dobrze by się rozumiała z tym chłopcem, dla którego historia kraju jest czymś ważnym na co dzień, i to nie tylko ze względu na kierunek studiów.

„Moi wykorzeni znajomi bardzo by się dzisiaj nudzili, słuchając naszej rozmowy. Ich właściwie nawet nie interesuje, że są Niemcami, a już na pewno - co to znaczy. Szkoda, że teraz go spotkałam. Może uda się odnowić kontakt, kiedy nie będę miała tak delikatnych rzeczy do zrobienia. A swoją drogą przystojny też jest. Te brązowe oczy, lekki zarost - widać, że na wakacjach nie chce mu się golić. Ciepły głos. I dłonie. Na pierwszy rzut oka widać, że są i silne, i delikatne. A to dobrze wróży... No, rozbrykałam się.

Ale czy to takie wyjątkowe szczęście, że jest i ciekawym człowiekiem, i ładnym chłopakiem? Co by na to powiedział Engel?”.

Profesor Engel był opiekunem naukowym Ingi, a przy tym radykalnym socjobiologiem.

84

„Może jest tak, że mężczyzna po pierwsze powinien wiedzieć, czego chce. Kiedy widać po nim pewność i siłę, to wydaje się przystojny... to jest przystojny; kategoria «przystoj-ny» dotyczy tylko wrażenia, więc jak się wydaje, tak właśnie jest. Ma piękne oczy, bo coś wyrażają. W końcu mężczyzna słaby i zagubiony nie pomoże dzieciom osiągnąć sukcesu; dawniej wręcz nie pomógłby im przeżyć. Tylko kobiety, które wybierały zdecydowanych mężczyzn, miały szansę na rozpowszechnienie swoich genów, dlatego dziś żadna z nas nie lubi memłoków. Engel byłby ze mnie dumny!”.

2. Aptekarczyk

W małym pomorskim miasteczku Schönwald aptekarz Ja-kob Wolfgang Frelke wyjaśniał bardzo racjonalnie, dlaczego nie należy się spodziewać wojny. A wy się z niego nie śmieście; łatwo udawać przenikliwego, jak się z góry wie, co będzie dalej.

- Pan profesor - skłonił się ku nauczycielowi - zwrócił uwagę na wydarzenia, powiedziałbym, bieżące, jak choćby czerwcowy zamach na arcyksięcia Ferdynanda. Sytuacja stała się rzeczywiście napięta. Powiedziałbym jednak, że wczorajsza decyzja Najjaśniejszego Pana o bezwarunkowym poparciu Austrii powoduje, że naszego sojusznika nikt nie odważy się zaatakować, co ewentualnie mogłoby i nas wciągnąć w wojnę.

Ale ja popatrzylibym na to bardziej ogólnie. Przejeżdżałem parę lat temu przez Rosję, i to przez zachodnie

gubernie, te niby lepsze. Przez chwilę myślałem, że mój wagon pan Wells zamienił w wehikuł czasu. Pruska wieś tak kiedyś wyglądała, jeśli chodzi o poziom cywilizacyjny, ale to było może sto lat temu. A koleje? A potężny przemysł? A rezerwy

finansowe na wypadek wojny? Kiedy Europejczycy podbijali świat, spotykali ludy często bardzo silne - ale dzięki. Wyższa cywilizacja zawsze wygrywała z niższą. Rosjanie mogą uważać, że sam obszar zapewni im zwycięstwo, jak za Napoleona. Ale to już nie te czasy. Pociągiem można Rosję przejechać w kilka dni. Świat się skurczył, Rosja razem z nim. No, skoro przegrali nawet z Japonią...

W pokoju zapanowała na chwilę cisza, widocznie argumenty były trudne do odparcia. Tykał tylko stary zegar w wysokiej szafie. Nauczyciel jednak nie dał za wygraną:

- A Francja?

- To już przerabialiśmy czterdzieści lat temu - włączył się pastor.

- Anglia?

- Bismarck mawiał, że ich korpus ekspedycyjny kazałby aresztować.

- Wszyscy razem?

- Anglicy z Francuzami? Rosja z kimkolwiek? Paktować mogą, ale jak przyjdzie co do czego, pokłócą się szybciej, niż zaczną współpracować.

- Pan pastor stara się mnie przekonać - zaproponował nauczyciel - że skoro nieprzyjaciół nie ma szans, to nas nie zaatakują. Gdyby jednak takie rzeczy się nie zdarzały, to znacznie mniej wojen byłoby w historii. Ja liczę się z tym, że wojna może się zdarzyć. Co więcej, uznaję to nawet za prawdopodobne. Nie wiem jednak, czy należy się martwić.

- Ależ profesorze!

- To oczywiście smutne, gdy ludzie giną, ale nasz kraj może na wojnie tylko skorzystać. Zwycięstwo jest pewne,

tego chyba panowie nie kwestionują, a ono będzie się wiązało z wieloma korzyściami. Rzecz jasna, lepiej, gdyby obyło się bez wojny. Jednak w razie czego po kilku miesiącach nasi chłopcy wrócą jako zwycięzcy.

- Panowie ciągle patrzycie na sprawy bieżące - upierał się aptekarz. - A tutaj nie chodzi o to, czy wojna wybuchnie w tym roku albo dziesięcioleciu. Chodzi o to, że jej już nie będzie wcale. Zwycięstwo w świecie osiąga się dziś innymi metodami. Przemysłowcy mają dość wpływów, żeby nie dopuścić do wojny rujnującej ich fabryki, i to zarówno u nas, jak i we Francji czy w Anglii. Wiem, że socjaliści powiedzieliby inaczej, ale między nami, ludźmi wykształconymi, możemy przyjąć za oczywiste, że na obecnym stopniu rozwoju gospodarczego wojna jest po prostu niekorzystna dla wszystkich stron. A nikt dziś nie zainwestuje w coś, co nie przynosi zysku.

- Widzę, że popiera pan tezę Blocha...

- Pewnie i popieram, profesorze, ale bezwiednie.

- To warszawski bankier, który w swojej książce dowiódł niemożliwości wybuchu wojny w obecnym światowym systemie gospodarczym.

Nauczyciel nieco nadużył słów Jana Blocha, znanych mu z pewnością z drugiej ręki. Bloch stwierdził przecież, że kroniki wojennej niepodobna dziś uznać za zamkniętą ostatecznie, niebezpieczeństwo bowiem nie zostało jeszcze zupełnie usunięte. Słabe to jednak zastrzeżenie, zwłaszcza w zestawieniu z całością sześciotomowego dzieła, którego przesłanie nauczyciel odczytał chyba słusznie.

Księgi te zaczynają się od zasad balistyki, i to najbardziej elementarnych. Pierwsze zdanie brzmi po prostu: Najzwyczajniejsze, codzienne doświadczenia przekonywają nas, iż każdy przedmiot rzucony bądź pionowo, bądź pod jakimkolwiek kątem w biegu swoim zbliża się ku ziemi i w końcu na nią spada. Dopiero potem, stopniowo, poznajemy tajniki ruchu jednostajnie przyspieszonego i rzutu ukośnego. Od balistyki przechodzimy do opisu broni, różnic pomiędzy dawniejszym a najnowszym wówczas uzbrojeniem, zmian na polu walki, które to uzbrojenie może przynieść, wreszcie do zagadnień politycznych, ekonomicznych i humanitarnych.

Przejścia są płynne i logiczne. Kula opuszczająca lufę z większą prędkością nie tylko dalej dolatuje, ale także porusza się po bardziej spłaszczonej paraboli i na większej drodze znajduje się na tyle nisko, że może poczynić szkody. Okropności wojny wynikają z samej geometrii, a nie ma przecież pewniejszego dowodu.

Aż dziw, że tak wiele rzeczy Bloch przewidział trafnie już w 1900 roku. Olbrzymie straty w ludziach, wywołane nie tylko przez coraz groźniejsze rodzaje broni, ale także przez choroby i wycieńczenie. Ruinę gospodarki, inflację, braki w zaopatrzeniu, wreszcie głód. Brak jakichkolwiek korzyści ekonomicznych bądź politycznych dla kogokolwiek. Stąd tylko krok do wniosku, że wojna, która stałaby się katastrofą dla wszystkich stron, żadna strona nie zdecyduje się rozpocząć. Choć to stwierdzenie Bloch obwarował wieloma zastrzeżeniami, trudno było nie dać się przeko-

nać:

88

89

W ogóle zatem przychodzimy do wniosku, że wielka Wojna europejska nie wydaje się prawdopodobne w bliskiej Przyszłości. Główne kwestie sporne, któreby mogły wywołać zatargi wojenne, istnieją już od lat wielu i skoro uniknięto wojny wówczas, gdy sprawy te znajdowały się w większym naprężeniu niż obecnie, mniej prawdopodobnym wydaje się wywołanie wojny w przyszłości dla tych samych powodów.

~ Pan Bloch - wtrącił pastor - miał rację, że w ciągu najbliższych lat wojny nie będzie, bo też jej nie było. Ale najbliższe od tamtego czasu lata już minęły. A od grudnia cała armia postawiona jest na stopie wojennej.

- To tak jak w dowcipie, czy ważniejsze jest słońce, czy księżyc. Otóż niby księżyc, bo słońce świeci w dzień, kiedy przecież jest jasno. Trzeba by odpowiedzieć: właśnie dlatego Jest jasno, że świeci słońce. Tak samo z wojskiem. Po co stawiać armię w stan gotowości, skoro nie będzie wojny? Właśnie po to, żeby jej nie było. Si vispacem, para bellum.

Dziś możemy się śmiać z uwag pana Jakoba wygłaszanych w lipcu 1914 roku. Ale pamiętajmy, że urodzony w 1870 roku żadnej wojny nie pamiętał. Samo to pojęcie z jego punktu widzenia należało do przeszłości tak samo jak starożytna Grecja. Szanował wojsko, marzył nawet o karierze oficerskiej syna, ale traktował armię tylko jako siłę prewencyjną.

W sierpniu rozmowy schönwaldzkiej elity były oczywiście zupełnie inne.

»To zupełnie irracjonalne" - skomentował bieżące wydarzenia aptekarz. „Różne rzeczy Bóg dopuszcza" - dodał

90

służbowo pastor. „A nie mówiłem? Cóż, kilka miesięcy i będziemy pić kawę z niemieckich kolonii" - stwierdził na-

uczyciel.

W sennej atmosferze małego miasteczka niewiele się zmieniło. Nerwowi stali się tylko ci, których dzieci trafiły na front. A było takich rodzin sporo. Pierwszy cios spadł na gospodarzy, których syn zginął nad Marną. Sąsiedzi starali się pomagać wdowie. Sam pan dziedzic von Kielpen złożył kondolencje. Mówił dużo o ojczyźnie i bohaterstwie. Nieco inaczej chyba podchodził do sprawy po miesiącu, gdy jego własny syn, rzecz jasna oficer, padł na Mazurach.

Jakob Frelke nie spodziewał się wojny wcale. Kiedy jednak wybuchła, przewidywał, że potrwa kilka miesięcy. Nie był w tym przekonaniu osamotniony: korpus oficerski, sztab, sam wreszcie cesarz - wszyscy myśleli podobnie. Rok był ostateczną granicą.

Współczując więc losowi poległych ziomków, aptekarz, pastor i nauczyciel nadal mogli się spotykać na kawie i partyjce skata. Nie była to jednak kawa z niemieckich kolonii. Prawdę mówiąc, wkrótce była to kawa z żołędzi.

Choć wojna trwała, w Schönbergu trzeba było orać, siać, karmić zwierzęta. Z gospodarstw zniknęli jednak młodzi mężczyźni. Brakowało rąk do pracy. I nie tylko rąk. Nowoczesne rolnictwo, które tak sławił Jakob, wymagało nawozów i maszyn, a tych albo nie było, albo były nieoptymalnie drogie. Z braku paszy w zimie wybito znaczną część świń, licząc, że po wojnie odtworzy się hodowle. Gospodarze mogli planować, że przez kilka miesięcy ograniczą niemal do zera

91

wydatki, ale przynajmniej wyprodukują żywność dla siebie; w gorszej sytuacji byli mieszkańcy miast.

Nastąpiła jednak wiosna 1915 roku i wcale nie było widać, że wojna się kończy. Na froncie zachodnim przesunięcie

o kilkadziesiąt metrów wymagało tysięcy ofiar. Okazywało się powoli, że wytrzymać przyjdzie znacznie dłużej. Pomysł niektórych rolników, aby produkować przede wszystkim dla siebie, nie mógł więc zostać zrealizowany; trudno przez kilka lat nie dostawać pieniędzy. Gdyby jednak ktoś chciał przy nim wytrwać, i tak by nie mógł: władze konfiskowały żywność i rozdzielały ją w miastach na kartki. Głód dzielono więc niemal równo.

Ludzie chorują zawsze, a w ciężkich czasach nawet częściej, Jakob nie mógł więc narzekać na brak klientów. Problem w tym, że klienci może i chcieli zapłacić, ale tylko w naturze, tymczasem w składzie aptecznym nie przyjmowano jajek

i zboża.

- Nie martw się - uspokajał Jakob żonę jeszcze w zimie. - Trudno, sprzedamy trochę cenniejszych rzeczy, żeby mieć na zaopatrzenie, chłopci będą płacić żywnością, a za kilka miesięcy wojna się skończy.

Ale się nie kończyła. Niemal w rocznicę pamiętnej rozmowy o niemożliwości wojny Jakob wrócił ze Schlawe ze składu aptecznego, zamknął się w pokoju i przez kilka godzin nie wychodził. Kiedy wyszedł, był wyraźnie siwy, ale opanowany. Zawołał syna.

- Wilhelmie, włóż mocne buty, weź ostry nóż i duży koszyk.

- Gdzie idziecie? - żona trochę się uspokoiła po godzinach nerwowego oczekiwania.

- Ta wojna potrwa jeszcze kilka lat. Tymczasem w składzie nie ma nawet jodiny. Wszystko poszło na potrzeby wojska. A jak coś się pojawi, to za takie pieniądze...

- Co będziemy robić?

- Przez setki lat nie było składów aptecznych, a ludzie się leczyli. Idziemy z Wilhelmem zbierać zioła.

Dwa lata wcześniej nikt by nie przypuszczał, że Willi codziennie po szkole spędzać będzie kilka godzin na zbieraniu roślin. Czasem chodził sam, czasem z ojcem, który wtedy mógł pokazać synowi jakieś nowe zioło i objaśnić, do czego można je stosować. Chłopci płacili żywnością, więc Jakob powoli zapomniał, do czego służą pieniądze, choć ich brak rodzina odczuwała coraz boleśniej. W końcu we wrześniu siostra Wilhelma, osiemnastoletnia Kunegunda, oświadczyła rodzicom, że idzie do pracy.

- Jak to? Pomagasz tu matce, to jest twoja praca.

- Nie mam jej wiele. Będę dojeżdżać do fabryki w Stolp. Właśnie pokazało się ogłoszenie.

- To przecież praca dla mężczyzn!

- To była praca dla mężczyzn, ale teraz mężczyźni są na froncie i do fabryk przyjmują kobiety Nawet do hut i stoczn! A to tylko przemysł spożywczy.

- Nie pozwolę, żeby moja córka...

- A pozwoli tata, żeby jego córka chodziła w łachmanach i podartych butach? Tata z pomocą Wilhelma zdobywa

92

dla nas jedzenie, mama zajmuje się domem, a ja? Też powinnam pomóc.

Jakob powiedział jeszcze coś w rodzaju: „Nigdy nie myślałem...”. I miał rację. Nigdy o tym nie myślał.

Praca Kunegundy znacznie polepszyła sytuację rodziny. Teraz można było już kupić buty zimowe dla Williego, gdy zeszłoroczne nie pasowały, i wykupić węgiel na kartki, wydobywany przez śląskich górników, wśród których nie brakowało rodziny Dziwoków. Grom z jasnego nieba strzelił dopiero jesienią, gdy wydawało się, że nawet na zimę są jakoś przygotowani: Pan Jakob Frelke, aptekarz, Schön-wald. Proszę się stawić w dniu 15 września br. o godzinie 9.00 w komendzie wojskowej w Schlawe. Na nic się zdały zapewnienia: „Żaden ze mnie żołnierz, jestem stary aptekarz”. „Po pierwsze - niestary. Po drugie - właśnie potrzeba aptekarzy. Pan myśli, że skąd bierzemy leki dla żołnierzy? Idziemy do najbliższej apteki po środki dla dwudziestu tysięcy rannych?”

Aptekarzowa wywiesiła kartkę: „Nieczynne do odwołania” i zaczęła się zamartwiać, jak teraz wyżywi rodzinę. Nie mieli przecież gospodarstwa, a ogródek dostarczał raczej rozrywki gospodyni niż żywności rodzinie.

Kunegunda szła codziennie sześć kilometrów na stację, jechała pociągiem do Schlawe, pracowała dwanaście godzin w fabryce, potem odbywała drogę powrotną. W końcu udało się jej wspólnie z koleżankami znaleźć jakieś lokum nieco nawet tańsze od biletów na codzienne dojazdy.

W Schönwaldzie bywała w niedzielę, zostawiała rodzicom część pieniędzy, a brała prowiant. Ale sama nie utrzymałaby matki i brata.

Pewnego dnia, gdy Kunegunda była, jak zwykle, w fabryce, Willi wrócił ze szkoły i nie wiedział, co ma robić, a ich matka siedziała osowiała i gotowała to, co miało służyć za obiad, do drzwi zapukała pani Flescher. Mieszkała na skraju wsi, przy drodze do Stolpmiinde. Aptekarzowa знаła ją oczywiście doskonale, jak wszystkie schönwaldzkie gospodynie.

- Pani aptekarzowa, ja wiem, że mąż w wojsku, ale może zostały jakieś leki? Mój Hans ma taką biegunkę, że umrze, jak pani nie pomoże.

- Nic nie mogę pomóc. Nie znam się na lekach. Jak się wychodzi za aptekarza, to nie nabywa się jego wiedzy. Naprawdę, bardzo mi przykro, pani Flescher, na pewno jest jeszcze jakaś czynna apteka w Schlawe...

- Niech się pani zmiłuje...

- Mamo! - wtrącił się Willi. Choć uczone, że nie należy przeszkadzać dorosłym w rozmowie, teraz, gdy

pomagał ojcu w pracy, sam czuł się prawie dorosły. - Tata by pewnie dał carbo.

- Co by dał?

- Carbo - powtórzył Willi dumny, że mówi po łacinie, jakby sam był aptekarzem, a przy tym „carbo” brzmi znacznie poważniej niż „węgiel” kojarzący się z opalem.

- A mamy to w domu?

- Poszukam.

94

95

Po chwili wrócił.

- Niech zje to wszystko od razu.

- Jezu! To czarne jak sadza.

- Ale skuteczne. Byle wszystko na raz. I niech pije dużo wody. Ale koniecznie przegotowanej. Więcej nie mam w zapasie. Ale... wydaje mi się, pani Flescher, że rośnie u pani na podwórku lipa. Nie obcinaliście gałęzi? Nie? To niech Uli obetnie gałąź i mi przyniesie, byle szybko. Będziemy robić nowe carbo.

Gospodyni była nieco zaskoczona, ale aptekarzowa poparła syna.

- Niech go pani słuca, pani Flescher, on ojcu bardzo dużo pomagał, to się nauczył. Dziesięć lat, ale rozum ma jak stary.

- Ja nic nie obiecuję, ale zrobię, co mogę.

Tonący brzytwy się chwyta; za pół godziny w aptecce zjawił się piętnastoletni Ulrich z odrąbaną gałęzią lipy.

- Cześć, Uli. Jak tam brat?

- Fatalnie - pokręcił głową chłopak. - Powiesz mi, po co niby miałem niszczyć drzewo?

- Zrobię z niego lekarstwo dla małego - uśmiechnął się Willi dumnie.

Wyprażony z lipy węgiel drzewny chłopiec roztłukł w moździerzu i wrzucił do fachowego naczynia z pięknym złożonym napisem „Carbo”. Czuł się jak dorosły aptekarz i tak też zaczęto go traktować, gdy mały Hans cudem uniknął śmierci z odwodnienia. Zastępował więc aptekarza, a w sumie i lekarza w całej okolicy.

Apteka zaczęła funkcjonować jak dawniej. Pani Frelke modliła się tylko, żeby jej syn kogoś przypadkiem nie otruł. Ale Willi rozsądnie wybierał tylko te środki, o których ojciec mówił, że są słabe i może nie

pomogą, ale też nie zaszkodzą.

Udało się przetrwać kolejną zimę, znacznie cięższą, bo nie dość, że bez ojca na miejscu, to i bez nadziei na jego szybki powrót. Wiosną i latem 1916 roku walki się nasiliły; front zachodni nawet nie drgnął.

Nauczyciel z pastorem spotykali się teraz we dwóch na plebanii.

- Profesorze, pan uczy także rachunków, ale czy pan sobie wyobraża, co to znaczy 240 tysięcy ludzi?

- To jakby wziąć Stettin razem z okolicą. Wszystkich, od niemowląt do starców. I tyle ludzi może zginąć w parę miesięcy w jednym miejscu. A Francuzów - drugie tyle. Jakby pan chciał policzyć do 240 tysięcy, zajęłoby to... jakieś... jakieś dwa tygodnie bez spania i jedzenia. A do pół miliona - to miesiąc.

- Ewangelia naucza, że każdy z tych pięciuset tysięcy, tak samo naszych, jak Francuzów, jest dzieckiem Bożym. I jak to zrozumieć: pół miliona dzieci Bożych ginie w ciągu siedmiu miesięcy w bitwie o jedną jedyną twierdzę Verdun?

- Nasz przyjaciel Frelke może chociaż powiedzieć, że przyłożył się do pomagania tym nieszczęśnikom. A my? Co my możemy zrobić w tej sytuacji? Czy ojciec nie sądzi,

96

97

że to będzie po prostu koniec świata? To brzmi może dziwnie, ale przecież kiedyś ten koniec nadejdzie, więc dlaczego nie teraz?

Ale świat się nie kończył, wojna również. Zaczął się kolejny, tysiąc dziewięćset siedemnasty rok. W marcu w Rosji wybuchła rewolucja. Car stracił władzę na rzecz republikańskiego rządu, ale nie milkli lewicowi krzykacze. Z jednej strony można było się cieszyć z zamętu, który może pogrążyć wroga, z drugiej - bać, czy zaraza nie przeniesie się do Niemiec, gdzie nastroje po trzech latach wojny coraz dalszej od zwycięstwa były bliskie wybuchu.

Wilhelm, choć z konieczności stał się dorosły tak wcześnie, nie myślał o wielkiej polityce. Douczał się z książki, którą kupił w Schlawe na bazarze, aplikował najprostsze lekarstwa i cieszył się, że jeszcze nikogo nie zabił.

Jeden dzień z tej zimy Willi na pewno zapamiętał, ale nie mógł wiedzieć, jak wiele z niego wyniknie. Przed aptekę zajechały sanie, z których wysiadł, a raczej wyskoczył ekonom pana dziedzica von Kielpena.

- Wilhelmie, szybko, mała dziedziczka Berta ma bardzo wysoką gorączkę - krzyknął bez żadnego wstępu.

- Lepiej byłoby lekarza...

- Lekarz w drodze, ale nie wiem, czy przyjedzie na czas. No siadaj że szybko!

Willi zgarnął do torby wszystkie środki, jakie miał pod ręką, i wdrapał się na sanie. Pomknęli.

- Zanim dojechałbym saniami do Schlawe po lekarza, to nie wiadomo, co by było - ekonom starał się przekrzywić

pęd powietrza. - Więc jadę na stację. Pociągu nie ma, więc lecę do zawiadowcy. Zawiadowca do telegrafisty. Wysyłają depeszę. Żeby nie tracić czasu na szukanie po całym Schlawe naszego zaprzyjaźnionego doktora Wranckla, ściągają swojego lekarza kolejowego. Ma za pół godziny wyjechać na lokomotywie towarowej. Wyjadę po niego. Ale tymczasem trzeba coś zrobić, bo panienka nie doczeka...

Po chwili pędzili już lipową aleją w stronę dworu. Wyłonił się z zamieci w ostatniej chwili. Ze swoim solidnie murowanym parterem i piętnaście typowo pomorskiej konstrukcji szkieletowej wyglądał poważnie, ale jednak swojsko. Zajechali pod dom, zeskoczyli prosto na schody. Przez sionkę weszli do dużego holu. Pokojówka zaprowadziła Willię na piętro, do pokoju trzyletniej dziewczynki. Bardzo gorączkowała. Chłopiec otworzył ojcową torbę. Odszukał odpowiednie zawiniątko i wysypał do przyniesionej przez pokojówkę filiżanki garść małych żółtawych kwiatków o pięciu płatkach. Pokojówka popędziła do kuchni, a po kilku minutach wróciła z filiżanką naparu, z której unosiła się para i delikatny zapach miodu. Willi spróbował napoju.

- Dobrze, już nie jest za gorący. Niech się panienka napije.

Dziewczynka piła bardziej odruchowo niż świadomie.

Doktor pojawił się dopiero po czterech godzinach od przybycia Wilhelma. Był to zresztą Wranckel, którego przypadkiem znaleziono. Pociąg stał, zanim odkopano tory, a potem trzeba było jeszcze dojechać ze stacji.

98

99

- I jak czuje się chora?

- Już lepiej. Dostała jakieś zioła... To nasz aptekarczyk, Wilhelm Frelke. Ojca wzięli do wojska, on go, mimo młodego wieku, zastępuje.

- A więc domorosły medyk? - lekarz popatrzył sceptycznie. - Co jej dałeś, chłopcze?

- Kwiat wiązówki błotnej, panie doktorze.

- Fłos ulmariae - mruknął Wranckel. - No, to przynajmniej nie zaszkodzi. Posłuchajmy...

- Niestety, to zapalenie płuc - powiedział w końcu na osobności dziedzicowi, gdy matka siedziała przy łóżku córki.

- Jakie rokowania?

- Nie wiem. Zrobię, co mogę. Ale jedno panu powiem. Jeśli przeżyje, to w połowie dzięki temu młodemu

Felke... czy jak mu tam. Przynajmniej w połowie.

Jeśli nawet dziewięćdziesiąt dziewięć procent ważnych rzeczy w naszym życiu zaczyna się od błahych zdarzeń, to i tak od dziewięćdziesięciu dziewięciu procent błahych zdarzeń nie zaczyna się nic ważnego. Nigdy z góry nie wiemy, który epizod należy do tego jednego procenta, i Willi też nie wiedział.

3. „Trocki-Che-Mao” sp. z o.o.

Michał podniósł głowę, wyrzął przez okno i już wiedział, że tego dnia nic nie wyjdzie z poszukiwań. Zza ściany deszczu nie było widać nawet domów po przeciwnej stronie drogi. „Wczoraj wyrobiłem normę za dwa dni, to dzisiaj nie będę się szlajał po ulewie. Może później będzie ładnie”. Ale „później” było dopiero po południu, a wtedy na wyjazd nie było czasu.

Przez cały dzień mógł więc tylko poleżeć i poczytać. Michał zwykle nie czytywał gazet. Kiedyś, owszem, sądził, że należy wiedzieć, co się na świecie dzieje. Potem spostrzegł, że pisane w pośpiechu i przy ograniczonym dostępie do informacji artykuły skupiają się często na rzeczach mało ważnych albo takich, które zostaną wkrótce odwołane. Przerzucił się więc na tygodniki. W końcu jednak uznał, że i one nie zapewniają odpowiednio szerokiej perspektywy.

Wiadomo przecież, że na świecie jest wielu zbrodniarzy i wiele klęsk żywiołowych; zapoznanie się na bieżąco ze wszystkimi jest mało interesujące. Lepiej obserwować długotrwałe procesy, wtedy dopiero widać, co było istotne.

101

A więc na przykład Dzieje Grecji albo Zapomniany świat Sumerów, albo Dzieje wypraw krzyżowych.

Niestety, pakując cały dobytek w sakwy, zwykle nie mamy miejsca na książki. Chłopak kupił więc „Wyborczą”. Właściwie kupił ją wczoraj, ale jeszcze nie przeczytał, a po aktualną nie chciało mu się przy takiej pogodzie wychodzić.

Cóż się na świecie dzieje? Radio Maryja zagłusza rozmowy pilotów Luftwaffe, co jeszcze sześćdziesiąt lat temu byłoby tytułem do chwały, dziś jednak stanowi międzynarodowy skandal. Polskie władze nie mają tu wiele do powiedzenia, bo nadajniki znajdują się w Rosji. Widocznie tam było akurat miejsce. A będzie go jeszcze więcej, bo - jak dowiadujemy się z sąsiedniego artykułu - Rosjanie wymierają. Przeciętna Rosjanka rodzi 1,12 dziecka, co prowadzi do demograficznej katastrofy; zwłaszcza gdy jedno zginie w Czeczenii, pozostałe 0,12 nie stanowi zwykle dla matki wielkiej pociechy.

Co prawda w Polsce działa Lepper, ale na Zachodzie i tak ludzie protestują częściej niż u nas. W naszym kraju powstaje też nowa etykieta wojskowa: pułkownik przedstawia zarzuty swoim generałom na specjalnie w tym celu zwołanej konferencji prasowej.

Z braku innych rozrywek Michał przeczytał nie tylko te fascynujące nowiny, ale nawet wiadomości sportowe i ogłoszenia drobne. Próbował też przeglądać dokumentację do wyprawy, ale przecież znał ją na pamięć.

Koło południa ugotował sobie ryż, otworzył puszkę makreli w pomidorach, postawił ją na niewielkim płomyczku

i zagotował. To doskonały sposób przeciw przypalaniu garnków. Co prawda puszka zawsze się przypala, ale i tak idzie do kosza. W akademiku współspacze patrzyli z przerażeniem na te eksperymenty kulinarno-pirotechniczne, tutaj nikt nie przeszkadzał: schronisko było wyludnione.

Co kwadrans patrzył na zegarek. „Nic dziwnego, że się niecierpliwie, szkoda dnia, może dzisiaj już bym coś znalazł... A może po prostu się stęskniłem? Akurat!”.

Wreszcie nadeszła czwarta. Inga siedziała przy stoliku w ogródku kawiarnianym. Michał podjechał, oparł rower

o budynek.

- Cześć, Michale - uśmiechnęła się. Popatrzył, jak rozjaśnia stół tym uśmiechem i, co prawda, Galileusz opisałby szczegółowo, jak światło słoneczne odbija się od ściany, a potem od jej twarzy, i, co prawda, się rozprasza, ale nie traci wiele na natężeniu; jednak z tego, co wiemy o prywatnym życiu Galileusza, wynika, że w takiej sytuacji i on wolałby wierzyć, że dziewczyna świeci światłem własnym, a nie odbitym.

- Cześć, Ingo. Gdzie dzisiaj jeździłaś? - pocałował ją w policzek.

„Wolałbym w usta, ale może będziesz miała pretensje”. „Wolałbym w usta, ale pewnie się boisz, że będę miała pretensje”.

- Jeździłam? - roześmiała się zdziwiona. - Przy takiej pogodzie? Masochistką nie jestem. Wsiadłam w autobus

i pojechałam do Słupska. Póki padało, poszłam do muzeum. No, przynajmniej zamku nie spaliliście.

- My - podkreślił Michał - nie mieliśmy zwyczaju palić miast. W odróżnieniu od naszych sąsiadów z obu stron.

102

103

Choć, prawdę mówiąc, odbudowa Słupska była zbrodnią niewiele mniejszą niż jego zburzenie.

- Szczególnie mnie wzruszyło to kino na środku rynku. „A na to Gustlik: Ciś sie gupia małpo/Przeca se moga, co

chcą, robić z chałpom” - Michał przypomniał sobie nagle śląską wersję Pawła i Gawła, ale dyskutować o celowości postawienia potwornej bryły na środku słupskiego rynku byłoby albo idiotyzmem, albo dowodem kompletnego braku smaku. Miał dosyć takiej dyskusji: nam wypada z pewnym zażenowaniem mówić o wypędzeniu Niemców; oni powinni posłuchać Hrabala:

- „Trzeba było w domu na dupie siedzieć”, jak mówili Czesi Niemcom uciekającym z płonącego Drezna. W jednej czeskiej książce. Ale czy zwróciłaś uwagę, że od tej wojny minęło więcej lat, niż my oboje mamy w sumie? Czy gdybyś pojechała do Francji, wyklócałabyś się o Alzację i Lotaryngię? A poza tym chyba przeceniasz moje możliwości. Ja ci Pomorza nie oddam, choćbym naprawdę chciał. A nie chcę.

- Dobrze. Więc zwiedziłam Słupsk, spacerując w deszczu, chociaż wcześniej planowałam iść na plażę.

- Jeszcze się wybierzesz. Przecież pojechałaś nad morze.

- Mieszkam w mieście portowym, morze to dla mnie nic nadzwyczajnego. Ale zawsze miło posiedzieć.

- No tak - przyznał jej rację. - Kiedy przeniosłem się do Gdańska, było dla mnie niezwykle, że mieszkam tam, gdzie ludzie przyjeżdżają na wakacje. W czerwcu jest to nawet denerwujące: my jeszcze mamy sesję, a ci się wylegują na plaży.

- Miło mieć na co dzień to, co inni mają tylko od święta.

- No tak, ale co wtedy ma się od święta? Lubię wyjeżdżać w góry. Chodzisz po górach?

- Tak średnio - odrzekła, co mogłoby znaczyć zarówno „nigdy w życiu”, jak i „w Himalajach jeszcze nie byłam”. Znaczyło chyba to pierwsze.

- Wybierz się kiedyś koniecznie! - zdaniem Michała każdy sympatyczny człowiek powinien chodzić po górach. - Nie od razu gdzieś w ekstremalne warunki, ale żeby połączyć ze znajomymi po dzikich terenach. W liceum niewiele tam jeździłem, musiałem się przenieść w drugi koniec Polski, żeby je docenić, ale poznałem ludzi, którzy mnie zabrali na taką wycieczkę i teraz naprawdę to uwielbiam. Kilka dni wystarczy, żeby się porządnie zmęczyć i wypocząć. Nie wiem, jak u was, ale w Polsce są spore tereny zupełnie puste, można tam chodzić całymi dniami i nie spotykać nawet innych turystów.

- Tutaj chyba też ci się podoba?

- Pewnie.

- Ja też jestem zadowolona z wyjazdu - odpowiedziała, uśmiechając się, żeby podkreślić dwuznaczność tego zapewnienia.

- A czy dzisiaj znowu widziałaś dowody upadku Pomorza pod jarzmem polskim? - zapytał, choć przecież wcale nie chciał o tym rozmawiać. A przynajmniej nie chciał chcieć.

- Na każdym kroku - zaśmiała się. - Ale nie jestem szo-winistką. Jako historyk wiesz najlepiej, że zawsze tak było. Kto był silniejszy, wygrywał wojnę, zabierał ziemię...

104

105

- Z waszego punktu widzenia to oczywiście może tak wyglądać. Ale z naszego nieco inaczej. Moja mama

tłumaczyła: po wojnie Ruscy wszystkim chcieli zabrać ziemię i zabrali komu się dało. Tylko Niemcom było trudno zabrać, bo z nimi nie graniczą, wobec tego zrobili to pośrednio: zabrali Niemcom, dali Polsce, a za to Polsce zabrali jeszcze więcej. Trochę to nieścisłe, bo nie uwzględnia sprawy Królewca, ale idea jest prawidłowa.

- Nigdy bym na to tak nie popatrzyła. A więc twierdzisz, że nie byliście zwycięzcami, którzy zdobyli ziemię, ale współofiarami?

- Wyobraź sobie, że mam trzypokojowe mieszkanie, jakiś bandyta wyrzuca mnie z niego siłą, a daje mi w zamian twoje jednopokojowe, z którego z kolei wyrzuca ciebie. Możesz mnie traktować jak wroga, który cię wyrzucił z mieszkania, ale po pierwsze nie ja cię wyrzuciłem, po drugie wcale tego nie chciałem, a po trzecie sam wcale na tej zamianie nie skorzystałem. Trochę inaczej to wyglądało tam, gdzie żyli i Niemcy, i Polacy, choćby na Górnym Śląsku. Tam po pierwszej wojnie region podzielono zupełnie arbitralnie i ten absurd został zlikwidowany po drugiej. Ale naprawdę nikt nie chciał porzucić swojego domu we Lwowie, żeby wynieść się do Wrocławia.

- A więc twierdzisz, że Breslau nie jest polskim miastem? - Była już naprawdę zdumiona.

- A nie, teraz to już jest. Tak wyszło. Tam, gdzie teraz jest Berlin, też kiedyś siedzieli Słowianie.

- Ciekawe. Ja zawsze patrzyłam na to z punktu widzenia praw wojny Kto był silniejszy, wygrywał wojnę, zabie-

106

rał ziemię, łupy, branki. Kto był bogaty, mógł się wykupić. Niektórzy mówią, że teraz po wszystkich okresach przejściowych pewnie też wykupimy sobie Pomorze. Ale wy powinniście się z tego cieszyć. Popatrz. Gromada niemieckich staruszków buduje sobie w Polsce domy. Towarzystwa emerytalne przekazują im pieniądze, które oni tutaj wydają, a które pochodzą z zysków firm niemieckich zatrudniających przecież nie młodych Niemców, bo tych jest coraz mniej, ale tureckich metojsów. Potem niemieccy staruszkowie umierają, na ogół bezpotomnie, ziemia przechodzi na własność gmin, ale co oni tutaj pieniędzy zostawili, to wasze. Miła perspektywa?

- Jesteś straszną cyniczką! - pokręcił głową z takim uśmiechem, jakim zwykle wyrażamy aprobatę czegoś, co na aprobatę nie zasługuje. - Twoje proroctwa dla własnego narodu świadczą o tym jeszcze lepiej niż historyjka o mety-loindolu.

- A kim mam być? - rozłożyła ręce. - Maoistką? Neona-zistką? Po wychowaniu w mojej rodzinie nie mogłam chyba wyrosnąć na nikogo innego niż cyniczkę.

W pewnym wieku dobrze mieć w rodzinie zbrodniarza. Skoro już człowiek musi - a taka jest natura - buntować się przeciwko rodzicom, to najlepiej, gdy bunt ma solidne podstawy. W przeciwnym razie trzeba im zarzucać rzeczy nieprawdziwe. Potem człowiekowi wstyd, jak dorośnie.

Gertruda Frelke znajdowała się w komfortowej sytuacji, bo jej wuj był prawdziwym zbrodniarzem.

Stwierdził to

107

brytyjski sąd wojenny, skazując go na śmierć. Gdyby jeszcze rodzice Gertrudy potępiali swojego brata i szwagra, byłiby częściowo usprawiedliwieni. Oni jednak uparcie powtarzali, że zbrodniarzami byli ci, którzy wuja zabili, chociaż się poddał. Ale czegoż wymagać od ojca, który sam był hitlerowskim żołdakiem!

Gdy amerykańscy i francuscy rówieśnicy Gertrudy mówili „faszysta” na każdego, kto uważał, że ucziwiej jest zarabiać na życie, niż włóczyć się bez celu, kto wolał stały związek od wolnej miłości lub - o zgrozo! - twierdził, że Mao Tse-tung nie jest dobroczyńcą ludzkości, gdy więc rówieśnicy to wszystko powtarzali, Gertruda mogła mówić o rodzicach „naziści” i stał za nią autorytet prawomocnego wyroku.

W 1968 roku Gertruda miała dziewiętnaście lat, była więc w najlepszym wieku do buntu przeciwko światowemu systemowi ucisku, faszystowskiemu państwu i rodzicom, którzy każą wracać wieczorem do domu. Zaczęła jeździć z przyjaciółmi na spotkania, na których słuchano postępowej muzyki, rozmawiano dużo o rewolucji i wcielano w życie przynajmniej niektóre jej hasła, do których należała przecież wolna miłość i legalizacja narkotyków. Od czasu do czasu można było sobie porzucać kamieniami w policję.

Już na pierwszym takim wyjeździe Gertruda poznała ludzi, którzy wywarli wielki wpływ na jej życie. Wtedy na pewno powiedziałyby: największy, bo nie przyznałyby się nigdy do faktu, że pewien wpływ na życie człowieka ma

108

również jego rodzina. Byli to: Dieter Frauhofer, Ulla Glatz i Hermann Kreiss.

Dobrze im się gadało; chłopcy byli młodzi, przystojni, czuli i całym sercem zaangażowani w obalenie faszystowskiego dyktatu burżuazji. Nic dziwnego, że postanowili żyć w komunie. Nie były to jeszcze czasy, w których można po prostu wynająć sobie mieszkanie i żyć bez ślubu. Jeździli więc na różne bardziej lub mniej potajemne spotkania, gdzie po części ideologicznej pozostawał czas na intymne chwile w tej czy innej konfiguracji. Komuna była raczej weekendowa, ale chodziło przecież o szczytne zasady

Dla człowieka, który głosi, że jedynym ograniczeniem wolności jednostki jest wolność innych jednostek, szokiem musi być obserwacja, że czasem umiłowanie wolności jest tak silne, że narzuca nam coś, czego wcale nie chcemy. Do takiego właśnie wniosku doszedł Dieter. Z początku czuł się nieco zawstydzony, że jak jakiś drobnomieszczanin wolałby żyć z jedną kobietą. A jeśli z dwiema, to nie dzieląc ich z kolegą, na to jednak nadziei nie było. W końcu jednak postanowił wysondować przyjaciół.

- Trudi, kochanie, może jutro sami pójdziemy na spacer?

- Czemu nie? Ale nie obrażą się?

- Ja to załatwię.

I załatwił. Złożyło się szczęśliwie, że wszystkim czworgu odpowiadał ten sam podział na dwie zaprzyjaźnione, ale jednak odrębne pary. A przecież byłyby trzy możliwości takiego podziału, jak to po cichu stwierdził Dieter, niedoszły

109

inżynier, najpierw dokonując skomplikowanych obliczeń z silnikami i symbolami Newtona, a następnie sprawdzając rachunek na palcach.

Gdy członkowie byłej komuny odstąpili od niektórych zasad rewolucji społecznej, z tym większą gorliwością zabrali się do realizacji pozostałych.

Hermann, który jakimś cudem zdawał egzaminy i dotarł już do ostatniego roku, postanowił założyć sklepik z rewolucyjnymi gadżetami. Na porzuconej szopie w pobliżu uniwersytetu pojawił się napis „Trocki-Che-Mao”. Podobizny tych trzech mędrców, malowane według szablonu przez Ullę, zdobiły kubki, kalendarze i apaszki. Nie brakowało też fachowej literatury, od Kapitału do pisemek lokalnych anarchistów i od Bhagavadgity do Czerwonej księżeczki.

Dieter i Gertruda najpierw pracowali w sklepiku, wkrótce jednak uznali, że agitacja wśród kolegów to zbyt mało, że trzeba obudzić proletariat - prawdziwą siłę rewolucji. O robotnikach nie mieli zielonego pojęcia, ale oboje zatrudnili się na pół etatu - Dieter w fabryce obrabiarek, Gertruda w zakładzie branży odzieżowej. Byli więc prawdziwymi proletariuszami, tym lepszymi, że niewykwalifikowanymi, więc najgorzej opłacanymi. Mogli się zwrócić bezpośrednio do towarzyszy uciskanych przez kapitał.

Dieter ze zgrozą przekonał się o niskiej świadomości politycznej kolegów z zakładu, którzy radzili, żeby, skoro nie odpowiadają mu warunki pracy, zdobył wyższe kwalifikacje. Sami byli raczej zadowoleni z powoli, ale niezmiennie rosnących płac i świadczeń socjalnych. W końcu, gdy Dieter

wzywał do strajku z ważnego skądinąd powodu, którym była walka ze światowym imperializmem, koledzy pobili go dotkliwie, a związki zawodowe nie kiwnęły palcem, żeby zapobiec usunięciu go z zakładu.

Gertruda szybko nadrobiła braki w kwalifikacjach i zaczęła pracować wydajniej, aż awansowała do działu kontroli jakości. Przełożeni nie domyślali się, że to stanowisko pracownica wykorzysta do rozpoczęcia sabotażu czynnego, jak nazywała przepuszczanie braków, a później nawet celowe podcinanie guzików, tak aby urwały się po kilku dniach od włożenia koszuli.

Trzeba dodać, że były to eleganckie, drogie białe koszule do krawata, a więc ofiarami jej konspiracyjnej pracy padali ci, którzy powinni: politycy, urzędnicy, kapitaliści, a także nauczyciele - biedniejsi od tamtych, ale za to zajmujący się indoktrynacją dzieci w imieniu burżuazyjnego państwa.

Kiedy nagle wzrosła liczba reklamacji, cały dział nie dostał premii. Koleżanki szybko przypomniały sobie o Gertrudzie, która już wcześniej namawiała do sabotażu przeciwko systemowi. Wszystko się wydało, a rewolucjonistka sama musiała prosić policję, aby ta racyła ją aresztować i nie wypuszczać, dopóki towarzyszki robotnice się nie uspokoją.

Zawsze gardziła kumoterstwem; tym razem wyjątkowo nie zaprotestowała, gdy ojciec wykorzystał swoje wpływy do umorzenia sprawy. Rzecz jasna, do nieświadomych proletariuszek już nie wróciła.

Hermann tymczasem jakoś sobie radził, tym bardziej że zdołał znaleźć współwyznawców z młodszych lat. Sklepiak

110

111

zlokalizowany w zajętej na dziko szopie stawał się coraz słynniejszy. Pewnego dnia w domu Hermanna zadzwonił telefon.

- Klaus Brunner, dział marketingu centrum handlowego Alfa. Czy pan Hermann Kreiss?

- Przy telefonie.

- Chciałbym się spotkać i porozmawiać w sprawie nawiązania współpracy pomiędzy naszymi przedsiębiorstwami. Czy mogę odwiedzić pana w pana biurze, czy może woli pan przyjść do nas?

„Naszymi przedsiębiorstwami”? Kontrast pomiędzy domem handlowym a sklepiakiem w szopie był tak wielki, że trudno było uznać to sformułowanie za coś poza ironią. W biurze? Student wyobraził sobie zaplecze sklepiaka, bo tylko ono mogło ewentualnie pełnić rolę biura: ciemne, obskurne, przesycone zapachem piwa, potu, kadzidełek i marihuany. No nie, to nie jest miejsce dla specjalistów od marketingu.

Portier biurowca Alfego wziął Hermanna za przybłędę lub młodego awanturnika, który przyszedł obalać dyktando korporacji, a więc za kogoś, kogo należy natychmiast usunąć z budynku. Zanim jednak zawołał straż, chłopak zdążył się przedstawić. To wszystko zmieniło.

- Tak, pan Brunner oczekuje w pokoju 627. Bardzo proszę, windą na piąte piętro.

Student poszedł więc coraz bardziej speszony. O jego stroju, którym skądinąd się szczylił, ale który tutaj wyraźnie nie pasował, przypominały mu nie tylko lustra, ale i stalowe

drzwi windy, a nawet wypolerowana podłoga. W biurowcu wszystko lśniło i wszystko zdawało się kpić z przybysza.

Hermann raczej oczekiwałby wezwania na policję niż takiego zaproszenia. Snuł różne koncepcje. Może ktoś się za niego podawał? Może rodzice, bolejący nad zachowaniem syna, postanowili załatwić mu pracę po znajomości?

Gdy usłyszał propozycję przeniesienia swojego sklepiaka do centrum handlowego, uśmiechnął się i pokiwał głową ze zrozumieniem. Krew w nim jednak kipiała. On, bojownik, miałby zawierać pakt z wrogiem? Jego instytucja służąca obaleniu władzy kapitału miałaby się stać częścią systemu? Z drugiej strony taki koń trojański...

- Nie musi pan oczywiście odpowiadać natychmiast. Proszę, oto moja wizytówka. Będę jednak wdzięczny

za odpowiedź w ciągu dwóch tygodni, potem będziemy szukać innych najemców.

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się jego losy, gdyby administrator terenu nie sprawdził, cóż to się dzieje z pustą rzekomo szopą. „Dwa dni na opuszczenie lokalu, potem policja i kontrola skarbową!” - usłyszał Hermann.

Niektórzy podejrzewali, że to Brunner zachęcił Hermanna do szybszej decyzji. Tak czy inaczej rewolucyjny w formie sklepik stał się w treści kapitalistycznym przedsiębiorstwem. Jego właściciel był, rzecz jasna, święcie przekonany, że jest akurat na odwrót.

Sklep nazywał się już po prostu TCM. Żeby skłonić do odwiedzin także niezaangażowanych, można było obok kubków z podobizną Guevary wprowadzić do sprzedaży kubki bezideowe. Skoro dochody należało przeznaczać na rozwój

112

113

(

idei, a żadnej rewolucji pod ręką nie było, najlepsze wsparcie dla idei stanowiło otwieranie nowych sklepików. Firma TCM stała się TCM GmbH, a po kilku latach TCM AG.

Gertruda skończyła studia. Dieter tylko skończył studiować, dyplomu nie udało mu się zdobyć, aż w końcu rzucił uczelnię. Byli dumni, że choć dorośli, pozostali wierni ideałom. Rzeczywiście, stanowili wyjątek w skali historycznej. Od seteklat młodzi bardziej lub mniej buntowali się przeciwko starym, potem im jednak przechodziło i sami zostawali starymi, żeby kolejni młodzi mogli się zbuntować. Pokolenie Gertrudy zdołało zachować ideową młodość dłużej niż metrykalną.

Protestowali więc przeciw każdemu transportowi materiałów radioaktywnych, przeciw każdemu kominowi elektrowni i przeciw każdej zbrodni wobec Matki Ziemi, jaką jest spiętrzanie rzeki. Naturalnie, protest nie sięgał tak daleko, aby sami nie korzystali z energii elektrycznej. Gdyby jednak ktoś zapytał ich, skąd prąd ma się brać, odparliby natychmiast: Oni mają nam go dostarczyć. Za darmo, bo energia nie może być dostępna tylko dla bogaczy.

Głosili święte i nienaruszalne prawa kobiet, a jednocześnie równość wszystkich kultur - także tych dość licznych, w których kobiety nie mają żadnych praw. Pacyfizm nie kolidował z poparciem krwawych dyktatur - byle postugiwały się lewicową symboliką.

Pogardzali Zachodem i pod niebiosa wynosili przedstawicieli Wschodu, często jednak tych, którzy przyjęli ideologię wymyśloną przez Karola Marksa, szwagra pruskiego ministra spraw wewnętrznych. Albo tych, którzy zgodnie

114

z tradycją (zasługującą na szacunek, bo nieeuropejską) wyrzucali poza nawias społeczeństwa, skazując na

nędzę i poniżenie miliony „niedotykalnych”.

Ktoś mógłby powiedzieć, że w takich poglądach brak logiki. Ale to faszystowski argument. Jeśli wyzwolimy się z okowów eurocentryzmu, zobaczymy, jak wiele ludów od wieków radzi sobie bez wynalazku Arystotelesa. Dieter i Gertruda też sobie doskonale radzili.

Żeby obalać dyktat pieniądza, trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy. Doskonale, gdy jest się studentem na utrzymaniu rodziców. Potem nienawiść do kapitału przegrywa zwykle z koniecznością jego zdobywania. W ten sposób postępowe idee straciły wielu wyznawców, a Gertruda i Dieter - towarzyszy walki.

Im dwojgu udało się jednak wytrwać, a to dzięki państwu, które postanowiło płacić za to, że chce się je obalić. Gertruda została wykładowcą filozofii społecznej na uniwersytecie w Hamburgu i głosiła swoje poglądy studentom socjologii, w większości mniej zainteresowanym obalaniem systemu, a bardziej znalezieniem dobrej pracy w ośrodku badania opinii publicznej. Prawda, że poglądy te formułowała w tak wyrafinowanym żargonie, że niewiele dało się z nich zrozumieć. W końcu nie każdy wiedział, że gdy pani doktor mówiła o dekonstrukcji paradygmatów, to chodziło jej o palenie trawki.

Dieterowi nie poszło aż tak wspaniale. Nie skończył studiów, co było zgodne z jego wrodzonym umiłowaniem wolności, ale nieco kłopotliwe przy szukaniu pracy. Zajął się

115

więc starym hobby, w którym był niezły i w którym niekoniecznie trzeba było mieć dyplom.

Wiele czasu poświęcał na fotografowanie ubogich, gastarbeiterów, a także neonazistów, jeśli takowych gdzieś znalazł. Na zaangażowane społecznie wystawy przychodzili znawcy, zwykle zawsze ci sami, a w każdym razie ci, których przekonywać nie było trzeba.

Kilka razy udało się Dieterowi umieścić swoje prace w prestiżowych galeriach lub czasopismach, raz nawet na okładce „Spiegla”. To wszystko nie wystarczałoby jednak na życie, więc musiał dorabiać sobie zdjęciami do prospektów reklamowych firmy Hermanna, który dzięki temu mógł wierzyć, że TCM AG jest nadal w istocie tym samym, czym był sklepik w szopie koło uniwersytetu.

Hermann sfinansował nawet podróż Dietera do Ameryki Łacińskiej, z której ten przywiózł wstrząsające zdjęcia społeczne, a już tylko przy okazji - mnóstwo ślicznych obrazków do reklam spółki.

Choć w zasadzie Gertruda i Dieter byli przeciwnikami filii sterskiej moralności, ustąpili na jej rzecz w sprawie małżeństwa. Panna młoda tłumaczyła, że jest to najprostsza metoda, żeby zmienić fatalne nazwisko łączące ją z nazistowskim zbrodniarzem. Gertruda Frauoffer - to brzmi znacznie lepiej. Nie omieszkała poinformować o tym rodziców. Ale Anne-Marie mimo wszystko cieszyła się, że córka zacznie prowadzić normalne, dorosłe życie.

Trochę się przeliczyła. W życiu córki i zięcia, którzy i tak od dawna mieszkali razem, nie zaszła żadna większa zmiana.

Anne-Marie marzyła się rola babci. Cóż z tego, gdy w Niemczech małżeństwo niekoniecznie wiązano z macierzyństwem. Uwagi na ten temat Gertruda odrzucała stanowczo i niegrzecznie. A jej matka bała się, że córka zerwie i tak już sporadyczne kontakty. Gdy jednak zbliżały się trzydzieste urodziny Gertrudy, instynkt babcierzyński podpowiedział Anne-Marie podstępne, ale skuteczne rozwiązanie.

Do sklepu Czakra wchodziła ostrożnie, modląc się, żeby Bóg przebaczył jej tę wizytę w świątyni zabobonu, odbyłą przecież w dobrych intencjach, i żeby nie zobaczył jej nikt ze znajomych, którzy nie wybaczyliby jej niezależnie od intencji. Zapach kadzidełek mdlił, a w półmroku nie dało się nawet pobieżnie przejrzeć książek. Na szczęście sprzedawca natychmiast zrozumiał, o co chodzi, i wręczył Anne-Marie piękne wydanie księgi Tao narodzin. Prezent idealny

18 lipca 1980 roku urodziła się Ernestina Inga Frauoffer.

116

117

4. Cytat z Córninga

- Ernestina Inga? A więc używasz na co dzień drugiego imienia?

- Tak, Ernestina brzmi koszmarnie, nie mówiąc już o tym, skąd ten pomysł moim rodzicom do łba strzelił.

- Czyżby El Che?

- Jakżeby inaczej! I jak tu mieć normalną młodość z takimi starymi?! Powiedz, czy pokolenie twoich rodziców też to przechodziło?

- Nie, u nas jak zwykle zapóźnienie. Moi rodzice, kiedy byli młodzi, musieli walczyć w obronie tradycyjnych wartości, wyobrażasz to sobie?! Dopiero moje pokolenie zaczęło obalać światowy system korporacji. Więc zamiast chodzić do McDonalda, moi koledzy jedzą w barze wegetariańskim, w którym też używa się jednorazowych naczyń i nie sortuje śmieci. Ale na ścianach wiszą zaproszenia na kurs medytacji, dlatego można powiesić tabliczkę „Bar ekologiczny”. Moja rodzina nie stała najlepiej materialnie, więc sam tego nie przechodziłem...

- Chcesz powiedzieć, że tylko bogaci mogą sobie pozwolić na bunt przeciw rządowi pieniędzy?

- Biedniejsi mają inne zmartwienia. Przecież wszyscy lewicowi ideologowie to dzieci z bogatych rodzin. Jako robotnik pracował tylko papież.

- Może dopiero gdy ktoś nie ma osobistych kłopotów, martwi się cudzymi?

- Możliwe. Widać mamy wrodzoną potrzebę martwienia się. Czy jako biolog możesz to uzasadnić?

- Ach, jako biolog mogę uzasadnić każdą tezę! - roześmiała się Inga. - Ludzie mają wrodzoną potrzebę szukania zagrożeń. Kto jej nie miał, zasypiał spokojnie i już się nie budził, bo zjadał go lew. A kto nawet w najspokojniejszym momencie był czujny, czasami zdążył uciec i przekazać swoje geny.

- Świetnie, a jak uzasadniłabyś naukowo, że ludzie nie mają takiej wrodzonej potrzeby?

- Kto się za dużo niepotrzebnie niepokoił, tracił energię i potrzebował więcej pożywienia. Szybciej kończyły mu się zapasy i umierał z głodu, nie przekazując swoich genów. Wilson byłby ze mnie dumny, nie?

- Wilson jak Wilson, ale Popper na pewno! - roześmiał się Michał i od razu oboje poczuli ten specjalny rodzaj ciepła zarezerwowany na chwilę spotkania dziewczyny lub chłopaka, z którym oprócz tego można jeszcze pogadać.

- Coś pozostało do wyjaśnienia? - Inga pierwsza przestała się śmiać.

- Tertium non datur. Ale mniejsza o to. Ty chyba nie buntowałaś się z innego powodu: rodzice załatwili to za ciebie?

118

119

- Chodźmy się przejść, co będziemy tak siedzieć i siedzieć - powiedziała w końcu. Wyszli, ale nie zmienili tematu rozmowy.

Prawidłowość, że młodzi się buntują, a potem przestają, ma nie tylko tę zaletę, że potrzebni są dorośli do prowadzenia spraw tego świata. Jest to również szansa dla kolejnego pokolenia, żeby i ono mogło się pobuntować, kiedy przyjdzie na to czas.

Można byłoby sądzić, że Ernestina była tej możliwości pozbawiona. Gdy niektóre koleżanki trzynastoletniej dziewczynki twierdziły, że z tym pierwszym razem warto poczekać na prawdziwe uczucie, Gertruda tłumaczyła swojej córce zalety wolnej miłości. Przy okazji każdego niemal wyciągu bankowego wyjaśniała małej Ernestynce, że banki są narzędziem wyzysku człowieka przez człowieka. Gdy w szkole była mowa o drugiej wojnie światowej, Ernestynka dowiadywała się w domu, że jej dziadek - o wuju już nie wspominając - był wstrętnym hitlerowcem.

Jednak buntować się można przeciwko różnym rzeczom. Pewnego dnia 1995 roku z drzwi pokoju dziewczyny znikła dotychczasowa wizytówka z imieniem, a zamiast niej pojawiła się kartka z wielkim napisem: „Pokój Ingi Frauoffer”.

- Dlaczego podpisałaś pokój swoim drugim imieniem? - zdziwiła się matka.

- Bo nie chcę się nazywać na cześć jakiegoś latynoskiego Stalina. Opowiadacie mi ciągle o Oświęcimiu, a wiesz, ile takich Oświęcimów zrobili Rosjanie? Wasz idol, Ernesto,

120

też jeden taki Oświęcim założył. Twój wuj był bohaterem, bo walczył przeciwko tym zbrodniarzom. Gertrudę zamurowało.

- Mój wuj był, niestety, zbrodniarzem. Nie tylko dlatego, że walczył po stronie tych, którzy zbudowali Oświęcim. Wuj osobiście nakazał rozstrzelać kilkadziesiąt niewinnych i bezbronnych osób i dlatego on osobiście był zbrodniarzem.

- Wielka sprawa, że kazał ich rozstrzelać. A od czego jest wojsko, jeśli nie od zabijania? Dlaczego bombardowanie bezbronnej ludności mamy uznać za konieczność, a zabicie bezbronnych wrogów, którzy w dodatku mogli mieć dostęp do tajemnic wojskowych, za przestępstwo? Różnica jest inna: Anglicy wojnę wygrali i nikt ich za te bombardowania sądzić nie mógł. Zawsze zwycięzca jest sędzią, a zwyciężony - oskarżonym.

- Czy ty wiesz, co mówisz? - Gertruda pobladała. - Czy ty wiesz, że to są słowa Göringa?

- A gdyby Göring powiedział, że $2+2=4$, to też byś zaprzeczyła? Powinnaś się wstydić!

- To ty powinnaś... - Nie warto było kończyć, Ernestina Inga już zamknęła się w pokoju na zasuwkę. Na zasuwkę, którą założył jej własnoręcznie Dieter, gdy wyczytał w jakimś postępowym podręczniku, że nastoletnie dziecko potrzebuje prywatności.

Jednak w pokoju ozdobionym nową wizytówką kryło się to samo co dawniej. Gertruda sprawdziła to następnego dnia pod nieobecność córki. Z ulgą stwierdziła, że zdjęcia na ścianach przedstawiają wykonawców aktualnych prze-

121

bojów, a nie führera i jego świtę. Mało brakowało, a matka zostałaby w pokoju nakryta, ale na szczęście Inga szła do domu razem z kilkoma przyjaciółkami, hałas było więc słyhać już z ulicy.

- Cześć, mama, będziemy odrabiać pracę domową. Gertruda się uśmiechnęła. „Mnie takie rzeczy będziesz

wciskać? Dziecko, ja się wcale nie oburzę, jeśli mi powiesz, że będziecie plotkowały o chłopcach" - pomyślała, ale nie powiedziała nic. I słusznie, bo córka i jej przyjaciółki tego akurat dnia naprawdę zajmowały się pracą zadaną w szkole.

- Otwieram uroczyście siódme zebranie grupy projektu „Święto narodowe". Dziewczyny, odłóżcie to „Bravo", zacznijmy wreszcie, to szybciej skończymy. Musimy przygotować prezentację na piątek, bo nas Fischerowa prześwieci. Wybrałyście mnie na liderkę? To teraz słuchajcie. Chłopaki z 9 a, ci od Włoch, mają świetny projekt, my nie możemy być gorsze. To jest sprawa honoru klasy!

- Ernie, daj spokój, jakbym słyszała samą Fischerowa. W budzie jesteśmy czy co?

- W domu, bo to jest praca domowa - liderka wyraźnie wczuła się w rolę. - A ja mam na imię Inga.

- Na drugie to ja mam Salmonella. Ale o czym ty w ogóle mówisz? Projekt jest ukończony, zatwierdzony, wszystko gotowe. Fischerzyca nas wyróżniła, przyjdą nas oglądać goście z omawianego kraju, czyli Francuzi. Czego jeszcze chcesz?

- Słuchajcie, wczoraj wieczorem siedziałam sama w pokoju i wpadłam na zupełnie nowy pomysł.

- Taki świetny jak zmiana imienia?

- Jaki znowu pomysł?

- Co? Cała robota od nowa?

- Na dwa dni przed prezentacją?

- Pocięło cię?

- Ocipiałaś?

Zgodnie z zasadami pracy w grupach, które pani Fischer poznała na szkoleniach, a potem starała się przekazać swoim uczniom, liderka próbowała przerwać ten jazgot i zamienić go w konstruktywną dyskusję.

- Poczekajcie chwilę. Wiecie, że zrobiliśmy głupie przedstawienie.

- No pewnie. - Uschi pokręciła głową: jak można tracić czas na stwierdzanie rzeczy tak oczywistych. - Pewnie, że głupie. Przecież to do budy.

Wszystkie koleżanki pokiwały głowami z poparciem.

- Ale mam pomysł na coś świetnego. Opowiem wam. Jak nie będziecie chcieli, to nie. Ale pięć minut posłuchajcie. Zobaczycie, jaki zrobimy numer!

- Pięć minut... - mruknęła Andrea, włączając stoper w swoim zegarku.

Pani Fischer wprowadziła gości. Była bardzo dumna ze swoich uczennic, które, choć na co dzień niekoniecznie przykładały się do nauki, pracę długoterminową wykonały wzorowo i miały szansę wygrać miejski konkurs. Już teraz prezentacja z udziałem francuskiego konsula była zaszczytem dla szkoły.

- Oto wyróżniona w pierwszym etapie konkursu projektów „Święta narodowe państw Wspólnoty Europejskiej” prezentacja dotycząca Francji. Zapraszamy, panie konsulu...

122

123

Wychowawczynie zrzędnęła nieco mina, gdy zobaczyła, że wnętrze sali nie wygląda tak jak w zatwierdzonym planie. W szczególności nie miało być tej wielkiej gilotyny. Uspokoila ją jednak machająca z kącika Ernestina, która pokazywała ręką: „Drobne poprawki, ale wszystko będzie w porządku”. Po chwili rozpoczęła prezentację. Było po niej widać lekkie zdenerwowanie, ale trema to przecież nic niezwykłego u nastolatki nieprzywykłej do publiczności. A zwłaszcza do takiej publiczności.

- Witam w imieniu całego zespołu. Jak wiadomo, święto narodowe Republiki Francuskiej przypada 14

lipca, czyli w rocznicę zdobycia Bastylia. Ten moment jest oczywiście tylko symbolem większego wydarzenia, symbolicznym początkiem wielkiej rewolucji. Trudno byłoby w krótkiej prezentacji przedstawić ten kilkuletni okres. Postanowiliśmy więc skupić się na tym, jak rewolucjoniści traktowali lud, w którego imieniu rewolucję przeprowadzono.

- Choć rewolucję prowadzono w imieniu ludu, samego ludu nikt o zdanie nie pytał - podjęła temat Andrea stojąca pod mapą Francji z przełomu XVIII i XIX wieku. - I wkrótce okazało się, że lud wcale nie pali się na przykład do dewastowania świątyń i do ateizmu.

- Wiosną 1793 roku w Wandei - tu odpowiedni fragment mapy został oświetlony na czerwono - wybuchło powstanie chłopów, którzy zresztą wkrótce dobrowolnie zaprosili do dowodzenia szlachtę. Wszystko w obronie religii, monarchii i przeciw nowym władzom. Powstanie upadło. Jak wiemy, właśnie w czasie rewolucji francuskiej zaczęto używać określenia „prawa człowieka i obywatela”. Sami

124

rewolucjoniści rozumieli je jednak dość specyficznie. Otóż nie tylko wszystkich powstańców, ale także ich sąsiadów, rodziny, kobiety, dzieci, starców - wszystkim postanowiono wymordować. Okazało się to dość trudne, ale francuska myśl techniczna nie zna przeszkód.

- Oto model statku używanego przez zwolenników praw człowieka i obywatela - teraz występowała Uschi. Denerwowała się bardziej niż reszta zespołu, a przynajmniej bardziej to zdenerwowanie okazywała. Ale przemawiała dzielnie. I, w odróżnieniu od koleżanek, poprzestając na mowie ojczystej, mówiła całkiem niezłe po francusku! - Pakowało się na niego ludzi, tak jak ja pakuję te ludziki z lego, a potem statek zatapiało razem ze wszystkimi pasażerami.

Łódka z klocków, która do tej pory unosiła się na wodzie, obciążona została dużą stalową śrubą i poszła na dno akwarium.

- Kiedy było jasne, że nikt nie przeżył... - Amelie, na ogół spięta przy najprostszych wypowiedziach przed klasą, gdy wszystko wiedziała i gdy nie mogła się spodziewać żadnego skandalu, teraz przeskoczyła widocznie jakiś próg, za którym zaczyna się już tylko śmiech, i nie bacząc na powagę tematu, opowiadała o ludobójstwie jak o wspomnieniach z wesołego miasteczka. - Kiedy było jasne, że nikt nie przeżył, łódź można było wyciągnąć na powierzchnię, wypompować wodę i wsadzić nowy ładunek. I tak do skutku. Aż wymordowano kilkadziesiąt tysięcy bezbronnych ludzi.

- Łodzie do topienia - kontynuowała Ernestina - nie były jedynym środkiem prowadzenia zbiorowych mordów...

125

Pobladła wychowawczyni patrzyła na konsula. Ten pewnie też by pobladł, gdyby nie był zawodowym dyplomatą.

- To prawda historyczna - powiedział spokojnie do nauczycielki. - Dziwi mnie nieco, że właśnie na te

elementy naszej historii zwraca się szczególną uwagę w waszej szkole. Ale dziękuję za zaproszenie.

I wysłuchał prezentacji do końca, do ostatnich słów Ernestyny:

- My, Niemcy, mamy w historii równie wstydliwe momenty. My jednak nie uważamy ich za powód do świętowania. Serdecznie dziękuję za uwagę.

- Już wtedy doskonale znałaś się na historii - stwierdził Michał z uznaniem - skoro wyciągnęłaś Wandę.

- Nie wiedziałam z góry o powstaniu. Za to byłam pewna, że jak jest postępową rewolucja, to musi się tam kryć jakieś ludobójstwo. Wzięłam książki i poczytałam.

- Awantura musiała być straszna.

- I była. Ale nie bardzo mogli nas wprost atakować. Oficjalnie nie było cenzury, mieliśmy prawo do konsultacji, ale nie obowiązku. To przecież był konkurs dla uczniów. No i nie powiedziałyśmy nic nieprawdziwego. Na wszystko miałam podkładkę w książkach ze szkolnej biblioteki.

- Tak to już jest z historią, że ważne jest nie tylko, czy się mówi prawdę, ale i którą prawdziwą wiadomość się wybiera do opowiedzenia.

126

- Naturalnie, dzisiaj już wiem, że rewolucja francuska miała także wiele pozytywnych skutków. Choć, prawdę mówiąc, nie sądzę, żeby to specjalnie pocieszyło zamordowanych. Ale wtedy byłam jeszcze nieco młodsza, więc Fische-rowa wprawdzie zaczęła mi dokuczać, ale chyba trochę się bała, czy nie zrobię jeszcze lepszego numeru. I słusznie się bała. Zrobiłam.

- Czy są jakieś pytania dotyczące naszego muzeum? Ernestina długo czekała na ten moment. Od koleżanki,

której klasa była na wycieczce w Muzeum Holocaustu tydzień wcześniej, dowiedziała się dokładnie, jak wszystko będzie przebiegać. Mogła się więc dobrze przygotować.

- Tak, ja mam pytanie. Widzieliśmy tutaj, jak strasznych zbrodni dokonał nasz naród. Możemy się wstydzić, że jesteśmy Niemcami. I o to chyba w tej wycieczce chodziło. Więc pytanie jest takie: czy młodzi Anglicy jeżdżą do takiego muzeum, w którym mogą sobie obejrzeć zdjęcia niemieckich dzieci spalonych przez bomby ich dziadków?

Długie przygotowanie pozwoliło Indze zadać to pytanie spokojnie i rzeczowo, jakby spodziewała się, że padnie odpowiedź: „Tak, oczywiście, przy Trafalgar Square 5, na lewo od metra”.

Oczekiwany efekt - wielka awantura - jednak nie nastąpił. Przewodnicy w takim muzeum muszą być przygotowani na podobne prowokacje. Zanim przerażona nauczycielka zdążyła zareagować, zanim koledzy zaczęli się śmiać, gwizdać lub bić brawo, mężczyzna spokojnie powtórzył pytanie, zmieniając tylko akcent:

- Dziękuję, czy są jeszcze jakieś pytania dotyczące naszego muzeum?

Wydawało się już, że sprawa jest zakończona. Ernestina Inga, która miała nadzieję przerazić rodziców relacją z wycieczki, nic im nie powiedziała. Trudno się chwalić, jak się zostało zgaszonym.

Ale awantura nadeszła. Inga żałowała tylko, że nie widziała miny swojej matki, gdy dyrektor szkoły zapytał ją:

- Pewnie pani nie wie, po co panią zaprosiłem na tę rozmowę? Pewnie pani też nie wie, że pani córka ma kontakt z grupami neofaszystowskimi?

Sprawa była poufna, więc wkrótce wiedzieli o niej wszyscy koledzy Gertrudy z wydziału. W domu było piekło, co Indze bardzo odpowiadało: mogła się czuć prześladowana przez tych lewaków prawie jak ofiary gułagu.

- Ale przecież nie zostałam neonazistką?

- Może byłabym do tego wystarczająco podła, ale taką idiotką to ja nie jestem. Oczywiście, że naziści to - ex aequo z komunistami - najwięksi zbrodniarze. Ale kilku innych morderców też by się na świecie znalazło. A dla niektórych nazistą jest każdy, kto uzna, że w historii nie tylko Niemcy popełniali zbrodnie. Parę lat minęło, zanim uporządkowałam sobie świat i zostałam, jak to nazywasz, cyniczką. Ja bym powiedziała: realistką.

Wyobraź sobie, że Stalin nie dogadał się z Hitlerem i na własną rękę napadł na Polskę. Niemcy musieliby się sprzeciwić zbrojnie, choćby po to, aby nie dopuścić do odcięcia

Prus Wschodnich. Być może walczyliby ramię w ramię z Anglikami, którzy przecież udzielili Polsce gwarancji. Wtedy angielskie dzieci uczyłyby się dzisiaj w szkole, że największym ludobójstwem w dziejach ludzkości była kolektywizacja Ukrainy i gułag, a Holocaust to tylko błędy i wypaczenia w kulturalnym skądinąd kraju.

Bo porównajmy sztuczny głód na Ukrainie i Holocaust. Wymordowano? Wymordowano. Kilka milionów? Kilka milionów. Całą grupę społeczną, a nie indywidualnie dobrane ofiary? Owszem. Celowo? Celowo. Okrutnie? Okrutnie. Nie jesteśmy lepsi od Rosjan. Ale i nie gorsi.

Jestem Niemką. Wiem to w odróżnieniu od części moich znajomych, których to zupełnie nie obchodzi albo którzy czują się jakimiś ogólnie-Europejczykami. Nie jest to dla mnie powód do dumy, jak by chcieli dziadkowie. Ale też nie jest to powód do wstydu, jak by chcieli rodzice. Należę do narodu jak każdy inny. Mój akurat naród dał światu Bacha i Holocaust, a sąsiedni naród - Moneta i rzeź w Wandei. Jeszcze inny - Dostojewskiego i gułag.

Na kłótnie rodzinne też zaczęłam patrzeć z dystansem. Mój wuj wykonywał swój zawód polegający na zabijaniu, ale przecież i dzisiaj cieszący się poważaniem. Ja też będę wykonywała swój zawód, kiedy skończę studia, i nie wiem, czy moja praca posłuży do wynalezienia świetnego lekarstwa, czy środka do

mordowania, a może na przykład umożliwi homoseksualistom rodzenie dzieci, co jedni ocenią lepiej niż lekarstwo, a inni gorzej niż truciznę. Jak więc mogę potępić wuję? Angielscy lotnicy wykonywali swoją pracę polegającą na paleniu żywcem ludności cywilnej. Oni akurat wygrali,

128

129

więc nie poszli pod sąd, ale na pomniki. Gdyby wygrał wuj, byłoby odwrotnie.

Michał starał się protestować łagodnie, żeby nie zostać zakwalifikowany do tej samej bandy lewackich wariatów, do której należeli rodzice i nauczyciele.

- No, jest jeszcze problem, kto tę wojnę zaczął.

- Wiem, wiem, trzeba było w domu na dupie siedzieć. To prawda, ale przecież nazistów nie sądzono tylko za rozpoczęcie wojny, ale za konkretne zbrodnie. Za podobne zbrodnie nikt nie karał aliantów. Nie mówiąc już o radzieckich obozach koncentracyjnych, które przez cały ten czas były czynne, a o których anglosascy obrońcy praw człowieka nawet się nie zająknęli.

- Co do Rosji, to wreszcie możemy się w pełni zgodzić. Między Oświęcimiem a gułagiem nie ma różnicy. Na łągrze w Workucie był nawet napis nad bramą, że praca to sprawa honoru i chwały. Twój problem polega na tym, że Niemcom nie wypada mówić o zbrodniach innych niż niemieckie, bo budzi to podejrzenie, że chcą wybielić własny naród. Warto byłoby też pamiętać, że kiedy Niemcy się poddali, to nikt ich nie mordował... No, przesadziłem. Ale w każdym razie nie Anglicy.

Inga zręcznie wróciła do poprzedniego argumentu, słusznie licząc, że do ostatniego nie będzie okazji wrócić.

- W porządku, więc porównajmy dwie sytuacje, z których żadna nie dotyczy Niemców. Saddam jest wrogiem Stanów Zjednoczonych, więc o jego zbrodniach jest głośno. Za to z Rosją staramy się utrzymać dobre stosunki, więc o ludo-

130

bójstwie w Czeczenii nikt nie wspomina. I jak to o nas świadczy? A wszelkie rezolucje przeciwko Chinom blokowane są przez Amerykanów, którzy może lubią prawa człowieka, ale jeszcze bardziej lubią dostęp do dużych rynków zbytu. Cóż, własny holocaust zorganizowali w XIX wieku, kiedy jeszcze nikomu tak bardzo to nie przeszkadzało. Stworzyli sobie Le-bensraum na zachodzie i teraz mogą odnosić się z wielkim szacunkiem do niedobitków Indian. O, przepraszam, native Americans; ja bym została uznana za rasistkę, bo powiedziałam „Indianie”, za to ci, co ich wymordowali, są teraz światowymi specjalistami od praw człowieka. Wiesz, jaką ustawę podpisał Bush ledwo kilka dni temu?

- Wiem, czytam czasem gazety. Jeśli jacyś Amerykanie będą ścigani za zbrodnie wojenne, to prezydent ma obowiązek użyć wszelkich środków, aby ich uwolnić. Ameryka będzie brać udział w misjach pokojowych tylko pod warunkiem, że jej obywatele nie będą sądzeni w Hadze. To oczywiście nonsens.

Oni trybunałowi haskiemu nawet pomagają, bo dotąd żadnych Amerykanów przed tym sądem nie postawiono.

- No właśnie: nie postawiono. Ale na wszelki wypadek zaznaczają: o tym, kto jest zbrodniarzem, decyduje tylko Ameryka. Wracając do wojny, to ciekawe, że nawet Niemcom niektóre zbrodnie zapomina się łatwiej niż innym. Na pytanie: „Jaki naród Hitler chciał wymordować w całości?” każdy w miarę wykształcony człowiek odpowie: „Żydów”.

- A powinien powiedzieć: „Żydów i Cyganów”. To prawda, jeśli Cyganów zginęło mniej, to głównie dlatego, że w ogóle było ich mniej. Chyba nie chodzi o to, że wymordo-

131

wanie mniej licznego narodu jest mniejszą zbrodnią. Może wśród Żydów było więcej wpływowych osób, które mogły nadać sprawie rozgłos?

Dziewczyna pokręciła głową: „To zbyt naiwne wyjaśnie-

nie .

- Sądzę, że jest jeszcze gorzej. Anglosascy dżentelmeni nie współczują Cyganom, bo w duchu myślą sobie: „I dobrze im tak, brudasom”. Każdy dżentelmen potrafi wymieniść uczonych, artystów, przemysłowców żydowskiego pochodzenia. A co wiedzą o Cyganach? A czy teraz Anglicy wpuszczają czeskich Cyganów do swojego kraju? Jeśli nie mam racji, to niby dlaczego nie mówi się o holocauście Cyganów? No, jeśli...?

Inga, która wyrzucała z siebie kolejne pytania z takim zaangażowaniem, jakby sama należała do narodu ofiar, a nie katów, przerwała nagle. Popatrzyła pytająco w oczy Michała, który nie miał w tej chwili nic do powiedzenia, wypita łyk kawy i z uśmiechem, którym często pocieszamy siebie i innych, mówiąc o rzeczach bardzo smutnych, stwierdziła:

- Świat od początku zbudowany jest na zbrodni i nie ma powodu nazywać jednej „niesłychaną” czy „największą w dziejach świata”. Możesz to nazywać cynizmem, ale po prostu świat jest, jaki jest.

5. Słupskie Koleje Powiatowe SA

Na mapie kolejowej Polski, przynajmniej takiej z lat osiemdziesiątych, sprzed likwidacji większości bocznych szlaków, można bez żadnej wiedzy historycznej wykreślić granice dawnego Cesarstwa Niemiec. Gęstość kolei była tam wyraźnie większa niż w Galicji i dużo, dużo większa niż w Kongresówce. Ale to, co uważamy za gęstą sieć, to tylko nędzne resztki stanu sprzed 1945 roku.

Linia kolejowa łącząca pruskie porty Danzig i Stettin istniała od roku 1870. Podobnie jak dzisiaj przebiegała ona przez Stolp. Nie docierała jednak do wielu okolicznych miejscowości. Dlatego już pod koniec XIX wieku powołano firmę StolpetalBahn. Była to spółka akcyjna, której akcjonariuszami były samorządy poszczególnych szczebli: 41 procent należało do powiatu Stolp, 21 procent do prowincji Pommern, 34 procent do Królestwa Prus. W sierpniu 1894 roku dwie lokomotywy, trzy wagony osobowe

i dziewięć towarowych zaczęły obsługiwać pierwszą linię prowadzącą ze Stolp do Rathsdamnitz. W kolejnych latach kolej przedłużano, aż w 1906 roku dotarła do wsi Budów, osiągając długość 38 kilometrów.

133

Do pierwszej wojny Stolpetalbahn wzbogaciły się o kilkadziesiąt kilometrów kolei wąskotorowych. Zwróćmy uwagę, że koleje te obejmowały tylko obszar na południe od stolicy powiatu. Na północy działała tymczasem druga firma, Stolper Kreisbahn, również spółka samorządów.

W roku 1928 pochodzące z początku wieku lokomotywy na mokrą parę, stosowane przez obydwie firmy, były już przestarzałe i niewiele warte. Zaczęto się zastanawiać nad kupnem nowych bądź generalną przebudową istniejących. To drugie rozwiązanie okazało się trzykrotnie tańsze. Po przebudowie parowozy na przegrzaną parę miały większą moc i były znacznie ekonomiczniejsze. Szacowano, że ich życie przedłużono o dwadzieścia-trzydzieści lat.

Współpraca, a także wynikająca z inwestycji w przebudowę lokomotyw konieczność doinwestowania, skłoniła akcjonariuszy do fuzji. W 1929 roku powstały Stolper Kreisbahnen AG, czyli Słupskie Koleje Powiatowe SA.

StKB obejmowały 119 kilometrów kolei normalnotorowych, do których w 1935 roku doszło jeszcze około ośmiu kilometrów wąskotorówki. Ze Stolp można było dojechać na północ do Do-minke, stamtąd do Stolpmünde, Schmolzin lub Zezenow (ostatnie dwie linie łączyły się skrótem Silkow-Zietzen). Na południe zaś prowadziła linia do Budów.

Na kolei pracowało prawie 200 osób. Jedenaście lokomotyw, trzy wagony motorowe, 21 pasażerskich i 43 towarowe przewoziły rocznie 330 tysięcy pasażerów i 200 tysięcy ton ładunku.

W czasie wojny zarząd kolei został bardziej scentralizowany, ale pociągi jeździły jak dawniej. Zmiana nastąpiła dopiero

134

w 1945 roku. Po wkroczeniu wojsk radzieckich wszystkie urządzenia kolejowe zostały zdemontowane i wywiezione na wschód. Nie wiadomo, czy, jak i gdzie zostały wykorzystane. Niektóre lokomotywy służyły na PKP jeszcze przez dwadzieścia lat.

Po Słupskich Kolejach Powiatowych nie pozostał nawet ślad, przynajmniej ślad zauważalny dla kogoś nieprzygotowanego. Stacja węzłowa w Dominku znajduje się dziś w środku lasu. W Smołdzinie, Cecenowie, Zelkowie, Sieciu, Budowie i innych pobliskich wsiach w ogóle nie ma kolei. W okolicy została tylko linia łącząca polskie porty Gdańsk i Szczecin, przechodząca jak dawniej przez Słupsk, oraz jej jedyne w tym rejonie odgałęzienie-do Ustki.

Michał Dziwok

Autor jest studentem II roku historii na Uniwersytecie Gdańskim.

Rozdział 3

NA POŁUDNIE

A na południe - nadzieja w zwątpieniu O złości złych!

ma południu już skwar miękki puch z nieba zdał kruchy pejzaż na piasek przepalił jak upalnie, mój Boże lecz przynajmniej, być może wreszcie byśmy się tam zakochali

1. Meine neue Heimat

We czwartek pogoda była łaskawsza. Michał nie próbował jechać na skróty, tylko asfaltową, choć okrężną drogą dotarł do Czarnej Górki. Mimo pośpiechu zatrzymał się na chwilę przy tamtejszym kościółku.

Kościoty na Pomorzu bywają najróżniejsze. Kamienne, okazałe, solidne jak zamek obronny znaleźć można nawet w małych wsiach. Więcej jednak uroku mają świątynie typowo pomorskie, jasne z kratownicą ciemnych belek stanowiących jednocześnie konstrukcję budynku, jego ozdobę i przesłanie dla wiernych: niech wasze życie będzie proste, ale uporządkowane, a przetrwacie każdą burzę.

W większych miastach na nowych osiedlach pobudowano oczywiście i kościoły w stylu okolicznych bloków. We wnętrzu przypominającym dworzec, i to nie stary, pocziwy Dworzec Główny w Gdańsku, ale Dworzec Centralny w Warszawie, wierni być może powinni sobie skojarzyć przemijanie naszego życia z odjeżdżającymi w dal pociągami. Michał jednak nie spotkał nikogo, w kim betonowa konstrukcja budziłaby takie właśnie skojarzenia. Ja też.

139

Budynek w Czarnej Górcie był starym pomorskim kościołem, ale jednak najdziwniejszym, jaki Michał widział. Gdyby nie dzwonnica, wyglądałby jak duża chałupa z gankami, nie wiadomo tylko, po co tak dużymi, i nie wiadomo, po co dwoma. Taki był efekt połączenia pomorskiej konstrukcji szkieletowej ze sprawdzonym gdzie indziej pomysłem, aby świątynię zbudować na planie krzyża greckiego.

Tylko dzwonnica nie pozostawiała wątpliwości co do przeznaczenia budynku. Ale cóż to była za dzwonnica! Czegoś tak chudego i szpiczastego próżno by szukać w okolicy. Trzy razy wyższa od kościółka zwężała się równomiernie od ziemi aż do szczytu, tyle że w połowie wysokości, tam, gdzie znajdowały się okna wypuszczające głos dzwonów na cztery strony świata, z czworokątnej zmieniała się w ośmiokątną.

Michał stanął, pokręcił głową, uśmiechając się. Usiadł z powrotem na siodelku i powtórzył wtorkową trasę do stacji węzłowej. Z brytyjskiej mapki wynikało, że do fabryczki iść trzeba na azymut 200. Tylko ciężko przedzierać się na azymut przez krzaki, jednocześnie prowadząc rower.

Jakoś jednak udało się jechać wzdłuż dawnych torów. Gdy już zastanawiał się, czy nasyp nie pochodził przypadkiem z jakiejś zwykłej wiejskiej drogi, spostrzegł ceglany przepust. „Dobrze jest. Ciekawe, który to. Może już jestem na miejscu? Ale trzeba dojść do fabryczki, żeby te przepusty odliczyć”.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nasyp nie zaczął znikać. Poziom gruntu się podnosił; widocznie linia szła teraz na poziomie ziemi. Droga niczym nie różniła się więc od innych. Kolej na pewno nie skręcała pod kątem prostym, więc

140

skrzyżowanie nie stanowiło problemu. Ale gdy droga się rozwidlała, nie było już jasne, gdzie jechać.

„Nie wiem, gdzie jestem, ale na pewno nie tam, gdzie trzeba. Zgodnie z mapą kolej nie powinna przechodzić już więcej przez rzekę, a ta droga przechodzi. W dodatku widać już z daleka wieś. A nie powinno być widać”.

Trzeba było wrócić i próbować dalej. Po którejś próbie Michał całkiem zabłądził. Jeździł więc różnymi drogami, starając się zbliżyć do szukanego miejsca na wyczucie, choć coraz bardziej wydawało mu się, że wcale tego wyczucia nie ma.

Nagle zauważył, że wąwóz, którym jedzie, jakoś nie przypomina wąwozu. Gdyby został wyrzeźbiony przez rzekę, jego dno byłoby choć lekko pochyłe - rzeka zawsze płynie w dół. Ten miał dno jakby wypoziomowane od wasserwagi. Na rowerze wyczuwa się nawet bardzo małe nachylenie drogi, więc Michał nie miał co do tego wątpliwości. Co więcej, dno wąwozu było równe także w poprzek, bez widocznego koryta potoku.

Zatrzymał się i zorientował mapę zgodnie z kompasem. Kolej szła wykopem tylko na jednym odcinku. I to niedaleko fabryczki. Był więc na dobrej drodze, tyle że należało zawrócić. Jak w „Balladzie o błądzących turystach”:

/ o tych, którzy dobrym poszli szlakiem, ale w złym kierunku, I o tych, co po lesie błądzą, wołając:
„Ratunku!”.

Ale w sumie sukces. Pozostało jakieś sto metrów prostej drogi. Byle z niej nie zjechać.

141

Wykop się skończył, droga szła znowu na poziomie ziemi. Nagle ukazały się kawałki cegieł i żelazne belki. Tak. To na pewno była rampa. Choć zarośnięty zielskiem, zarys dawnej hali był wyraźny. Michał wyjął stalową taśmę i zmierzył prostokąt. Zgadzało się. Całe szczęście, że w domu przeliczył na kalkulatorze wszystkie stopy i cale na metry. Można było znowu zorientować mapę. Jakieś osiemdziesiąt kroków na południe powinny być resztki budynku mieszkalnego.

Choć z murowanego domu nie zostało niemal nic, widać było zejście do piwnic, jakieś betonowe elementy, rozrzucone połamane cegły - wszystko, czego nie warto było szabrować. „W takim razie trzeba ruszyć z powrotem i odliczać te przepusty”.

Zorientował mapę, pojechał wzdłuż torów. Pierwszy przepust był tuż za rampą. Drugi trudno byłoby zauważyć, ale że na mapie znajdował się zaraz za zakrętem, to i w terenie dało się dostrzec jego resztki. Do trzeciego było dalej, z mapy trudno było coś odczytać, ale za to kolej biegła teraz nasypem i przepust

widoczny był jak na dłoni. Warto się rozejrzeć po okolicy.

Klakson! Kontrast z ciszą, która panowała tu chwilę wcześniej, był taki, że Michał aż się wzdrygnął. Do trąbienia dołączył wrzask dzieci, a potem głos kobiety, najwyraźniej ich matki.

- Nie rozbiegać się za daleko. Idziemy na te jagody wszyscy razem. Żeby mi się nie pogubić. Tata tutaj zostanie

142

i będzie łowił ryby w gliniance. Jakby się ktoś zgubił, to do niego. Ale lepiej się nie gubić, jak już powiedziałam. A gdzie jest Mops? Gdzie znowu poleciał?

- Tutaj - mruknął Michał, zastanawiając się, jak się obronić przed psiskiem wielkości wilczura, będącym może skrzyżowaniem wyżła z jamnikiem, a może nie.

Ale pies sam stanął w bezpiecznej odległości i zaczął tylko szczekać. Po chwili pojawiła się korpulentna jejmość.

- Tu jesteś, pieseczku. O, pana znalazłeś. On panu nic nie zrobi. Pan pewnie też na jagody.

- Nie, na grzyby - odparł bezmyślnie.

- Już są? - zdumiała się kobieta.

- Nie, jeszcze nie ma.

- ???

- I dlatego już wracam.

„Rozpełzną się po lesie i tyle. Nie ma sensu teraz myszkować”.

Droga, którą przyjechał samochód, prowadziła prosto do Objazdy, co było zawsze jakimś plusem na przyszłość. „A tak było blisko... Jutro jest piątek, może tym razem nikt mi nie przeszkodzi. W weekend pewnie będzie jeszcze więcej ludzi”.

Tym razem w schronisku Michał spakował sakwy i wybrał się do Rowów z całym sprzętem. Na szczęście wziął ze sobą namiot, na wypadek gdyby trzeba było nocować w nieprzewidzianym miejscu. Rozbił się więc na campingu. Jako że nie musiał już przebyć kilku kilometrów rowerem, na umó-

143

wionę spotkanie ubrał się elegancko, co oznaczało stare i wytarte, ale niepobrudzone smarem i błotem spodnie oraz czystą, choć tragicznie pogniecioną koszulkę.

Czuł się jeszcze gorzej, niż wyglądał. Zimno ze środka nie dało się niczym usunąć, całe ciepło letniego dnia rozgrzewało skórę od wierzchu i, choć wykąpał się przed chwilą, cały czas wydawało mu się, że ta

delikatna, niewidoczna warstwa potu może i jest niewidoczna, ale nie bezwonna. Już lepiej było śmierdzić fizycznym zmęczeniem niż kłamstwem i strachem.

Ciekawe, czy ona się już czegoś domyśla? Chyba nie. On ma dużo więcej informacji, powiedziała mu o nazwisku panińskim matki, o wuju, który rozstrzelał robotników i sam został zabity. Ale przecież to wszystko jeszcze nie znaczy, że szuka skarbu Frelkego. Czemu zastrzegła sobie samotne przedpołudnia? Może po prostu lubi. Jak on.

Nie, zdecydowanie nie nadawał się na Jamesa Bonda. Lubił kobiety, ale lubił być wobec nich uczciwy. Może właśnie dlatego do tej pory nigdy mu się nie udało zdobyć którejś na dłużej? Co tam, byle przyjść, zacząć rozmowę, a zapomni o tym paskudnym uczuciu. A może dzisiaj powie, że wyjeżdża dalej i więcej się nie umówi? Akurat!

- Dziś bez roweru? - powitała go Inga w umówionym pizzerianym ogródku.

- Tak, mieszkam teraz w Rowach.

„Cóż za rycerskie podejście. Zamiast zasugerować delikatnie, że może się do mnie przeprowadzić”.

- Świetnie. U was też słuchają Cohena? - to pytanie Ingi było retoryczne: „In My Secret Life” śaczyło się właśnie z głośników, ale przecież lepiej wreszcie porozmawiać o czymś mniej poważnym.

- Tak, teraz wszyscy słuchają, chcą czy nie chcą - roześmiał się Michał i skinął głową w stronę głośników. _ ja słuchałem także dawniej, tyle że wtedy to było dobrowolne. Zresztą Cohen i tak nie kojarzy mi się z płytami czy radiem, tylko ze śpiewaniem w górach.

- Bardzo lubisz góry - pokiwała głową i zapytała, patrząc tak uważnie, że Michał zaczął się czegoś obawiać. - A jednak wybrałeś się tutaj?

- Pomorze też lubię. Póki mam długie wakacje, mogę być i tu, i tam.

- Ile ci zostało do końca studiów?

- Dwa lata.

- Mnie jeszcze trzy. A co chcesz robić potem?

- Fajnie, jakby to miało związek z historią. Ale jeszcze bardziej zależy mi, żeby byli sensowni ludzie. Nie znoszę szturstwa biurowego.

- Wiesz - zadumała się Inga. - Myślałam, że Polska znacznie bardziej różni się od Niemiec.

- Pewnie wyobrażałaś sobie, że to kraj ciemnoty, że z nikim się nie dogadasz w żadnym języku, zaraz cię napadną, bo wszyscy nienawidzą Niemców...

- Nie, nie chodzi o to, że tu miałoby być gorzej, aie że jakoś zasadniczo inaczej. A jest jak w domu.

- Więc brakuje ci egzotyki - roześmiał się Michał. - a ja pomyślałem, że bałaś się odwetu za Hitlera.

144

145

- Nie, nie brakuje. A co do wojny, to u nas ciągle się ją wspomina. W szkole wtykali nam do głowy, że mamy pamiętać, jacy byliśmy źli. Więc automatycznie sądziłam, że wy też ciągle o tym myślicie.

- Kiedy byłem mały, bawiłem się z kolegami w wojnę. Na ogół w drugą wojnę światową, w końcu ciągle jeszcze puszczały na ten temat filmy w telewizji. Dzisiaj dzieci bawią się już raczej w Batmana, ewentualnie bin Laden. Biega takie siusiumajctwo po Kielcach i krzyczy: „Allah wzywa!”. Za naszych czasów bawiliśmy się w strzelanie do szkopów, ale takich z czasów wojny. Jak ktoś wyjechał do Niemiec, to spotkanych tam ludzi zupełnie z tymi abstrakcyjnymi wrogami nie kojarzył. Jak miałem osiem lat, marzyłem, że zostanę bohaterem narodowym, ale nie myślałem o walce z Niemcami, tylko z Rosjanami.

- Więc nie byłoby dla ciebie żadnym problemem, że mój dziadek służył w Wehrmachcie?

Inga mogła oczekiwać różnych reakcji, ale nie tak spazmatycznego śmiechu.

- Co w tym śmiesznego? Powiedz: bawiliście się w strzelanie do niemieckich żołnierzy; nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby być z kobietą... To znaczy - zmieszła się strasznie - nie mówię o sobie, tylko tak hipotetycznie: z kobietą, której dziadek był właśnie niemieckim żołnierzem?

- Nie ma sprawy - odparł Michał z uprzejmym uśmiechem. - Mój dziadek też służył w Wehrmachcie.

- Kpisz sobie? - przechyliła się przez stolik Inga.

- W żadnym wypadku. Za mało znasz historię Polski. Mój ojciec pochodził ze Śląska. Jego ojciec znalazł się

146

w 1939 na terenach włączonych do Rzeszy, a że jego z kolei rodzice byli poddanymi pruskimi, prawie automatycznie dostał obywatelstwo...

- Przymusowo? - zdziwiła się Inga; widocznie aż tak dużo o tej wojnie jej nie mówiono.

- Ależ nie, mógł wybrać Oświęcim.

- Był Żydem? - zdziwiła się znowu; widocznie mówiono jej dużo, ale w kółko to samo. Michał zrozumiał, że musi nastawić się na dłuższe wyjaśnienia:

- Jakby był Żydem, toby trafił do obozu bez pytania. Ale nie był, więc mógł przeżyć, byle uznano go za Niemca. Bo Polaków w Oświęcimiu też mordowano, choć na świecie nikt już o tym nie pamięta. W każdym razie, jak już został uznany za Niemca, wysłali go na front, w końcu po to była ta szopka z obywatelstwem. Jego krewni zostali w części kraju podbitej przez Rosjan i ostatecznie trafili do wojska po przeciwnej stronie. A widzisz, tegoście przynajmniej w Niemczech nie przerabiali: krewni po dwóch stronach frontu. A u nas to rodzinne. Dla odmiany od strony matki jeden pradziadek trafił w 1914 do

armii rosyjskiej, a jego kuzyn do austro--węgierskiej. Mieszkali kilkanaście kilometrów od siebie.

Wolisz coś z nowszej historii? Jednego kuzyna mojego ojca chcieli postać, żeby strzelał do strajkujących stoczniovców, wśród których był z kolei jego szwagier. Pech chciał, że w dowodzie miał meldunek... jakby ci to wytłumaczyć... Mniejsza o to, w każdym razie z powodów formalnych uznali go za mieszkańca Krosna i chcieli wysłać, żeby strzelał do gdańszczan. Ale się okazało, że jest gdańszczaninem, to mu darowali. Bo, rozumiesz, komuniści byli ludzkimi

147

panami i jak już wysyłali Polaków, żeby strzelali do Polaków, to przynajmniej do takich z innego miasta.

- Też jesteś cyniczny - stwierdziła Inga, zadowolona, że jest w dobrym towarzystwie. - Ale będziesz świetnym historykiem. Rozumiesz swój kraj.

- Mam być historykiem, więc chciałbym być raczej dobrym niż złym. Ale do tego potrzeba różnych rzeczy, na przykład pracowitości większej niż moja. I świetnej pamięci.

Na to już dziewczyna pokręciła głową. Z pewnością Michał ma i świetną pamięć, i wiele jeszcze ważniejszych zalet. Nie spotyka się z nim codziennie dlatego, że ma ładne oczy i dłonie, ciemne włosy, jest wysoki i ślicznie nieogolony. Z nikim tak dobrze się jej nie rozmawiało. Że też trzeba było pojechać do Polski, żeby spotkać kogoś, kto rozumie, że można być Niemcem. Tylko jedno się nie zgadzało.

- To jak to było, bawiłeś się w strzelanie do niemieckich żołnierzy, a twój dziadek właśnie do nich należał?

- Na Śląsku się tak nie bawiliśmy. Ale ja wychowywałem się w Kielcach. Dziadkowie moich kolegów, jeśli walczyli, to po polskiej stronie, więc wnuki mogły się spokojnie bawić w drugą wojnę. A ja wraz z nimi, bo co miałem im powiedzieć, że mój dziadek był w Wehrmachcie? Zostałbym „szkopem” do końca życia. A jakbym im powiedział, że podpisał Volksli-stę... W Generalnej Guberni, czyli centralnej Polsce, podpisywali ci, co chcieli, jednym słowem - zdrajcy. Niemcy w zasadzie nikogo nie zmuszali. Jak było na Śląsku, już ci mówiłem.

- A w czym chcesz się specjalizować na studiach? - zmieniła temat dziewczyna.

- W historii regionu.

- To znaczy którego regionu: Śląska? Polski centralnej?

- Pomorza. To moja nowa mała ojczyzna.

Inga popatrzyła ze zdumieniem: taki mądry chłopak, a takie głupoty opowiada.

- Nie pieprz. Nie ma czegoś takiego jak „nowa ojczyzna”. Ojczyznę się ma jedną albo wcale.

- No więc ja tej ojczyzny nie miałem wcale. Ani ze mnie Ślązak, ani Kongresowiak. Teraz chcę mieć jedną - to chyba niewiele. Myślisz, że współcześni rzymianie mają więcej przodków wśród Rzymian starożytnych

czy wśród barbarzyńców? Założyłbym się, że wśród barbarzyńców. Ale na każdym koszu na śmieci piszą S.P.Q.R. Jak już nie wiem, skąd pochodzę, to chyba mogę sobie wybrać.

- Czyli narodowość jest sprawą wyboru? To ja chcę być Eskimoską. Lubię jeść foki i chodzić w kożusku.

- Moja rodzina ze strony ojca mieszkała w Polsce, wcześniej w Prusach, jeszcze wcześniej w Austrii. Chociaż ciągle w tym samym miejscu. Ze strony matki - w samym środku Polski, tyle że matka była z domu Antoniewicz... Jej kuzynki nazywają się Antonowycz i są rodowitymi Ukrainkami w mieście Lwów. A ona jest Polką ze Lwowa. Zresztą, czy ty myślisz, że nie znalazłabyś kaszubskich przodków? Ludzie się mieszała. W pewnym stopniu, oczywiście, o osadnictwie eskimoskim na Pomorzu na razie nie słyszałem.

- Przekonałeś mnie. Nie będę jeść fok.

Inga się roześmiała. Michał pochlebiał sobie, nie całkiem zgodnie z prawdą, że od razu zauważył, jaka jest ładna. Taka miła buzia; kilka ślicznych kropeczek tylko dodaje uroku.

148

149

Umiała się ubrać ładnie, choć bardzo prosto i na luzie. W sakwach nie ma w końcu miejsca na kreację. Dzisiaj zawiązała sobie warkoczyki, w których wyglądała dziewczynkowato, ale chyba dobrze się czuła. Używała perfum czy dezodorantu o zapachu, który Michał już znał, choć nie wiedział, jak się nazywa. Był dobrze dobrany do obrazu dzielnej dziewczynki na wakacjach: świeży, trochę owocowy, trochę egzotyczny. Taki jasnopomarańczowy. Więc wachał i opowiadał dalej.

- Pamiętam, jak pierwszy raz zastanawiałem się nad swoją tożsamością. Miałem jakieś osiem lat.

- Przekludził żeś się sam?* - zapytał Michała Janek, nowo poznany kolega z podwórka dziadków. Michał pierwszy raz przyjechał tam na cały tydzień. Ale wpadał w odwiedziny nieraz, więc wszystko rozumiał. Ba, nie miał problemów, gdy kolega poprosił go: „Dej się karność na kole”**.

- Nie, jestem tylko na tydzień u babci.

- A co ty, gorol żeś je, po śląsku niy godosz?***.

Jako że słowo „gorol”, oznaczające Polaka spoza Śląska, jest raczej obraźliwe, w mieszanej rodzinie nikt go nie używał. Michał zrozumiał je więc zgodnie z etymologią: góral.

- Nie, mieszkam w Kielcach.

- W Kielcach? To żeś gorol. Babka mosz tukej?****.

* Przekludził żeś się sam? (śl.) - Przeprowadziłeś się tutaj? ** Dej się karność na kole. (śl.) - Daj się przejechać na rowerze. *** A co ty, gorol żeś je, po śląsku niy godosz? (śl.) - A co ty, nie jesteś Ślązakiem, nie mówisz po śląsku?

**** Babka mosz tukej? (śl.) - Masz tutaj babcię?

„Aha, chodzi mu o to, że Kielce leżą w górach, w Górach Świętokrzyskich. Ma rację” - pomyślał chłopak i odpowiedział na pytanie kolegi:

- Tak, bo mój tata jest ze Śląska.

- A to niy gorol, ino krojcek - orzekł Janek, a na pytający wzrok Michała odpowiedział: - Poł Ślązok, poł gorol.

Choć słowo „krojcek” nawet na Śląsku jest - mimo rosnącej liczby desygnatów - mało znane, Michał zapamiętał je na długo. Używał go jako odpowiedzi na pytanie, skąd jest - ku zdumieniu rozmówców. Kiedy trafił na studia, był chyba właśnie na tym etapie, żeby znaleźć sobie jakąś małą ojczyznę. Pomorze nadawało się do tego znakomicie.

- Będziesz się pewnie ze mnie śmiał - powiedziała Inga.

- Ale ja też się czuję Pomorzanką.

- Chociaż nigdy tu nie byłaś?

- Chociaż nie byłam - przytaknęła. - Ale jakąś małą ojczyznę mieć trzeba, sam to mówisz. Do Hamburga nie jestem przywiązana. Rodzice nie pokazali mi, jak można się przywiązać do kawałka ziemi; dziadków znałam tylko jednych. A oni byli z Pomorza.

- Myślałaś, żeby się tu przeprowadzić? - zapytał naturalnie i wbrew pozorom bez ukrytych oczekiwań.

- Żartujesz? - zdziwiła się, jakby chodziło o Ułan Bator.

- Moja ojczyzna to okolice pięknego miasta Stolp, a nie po-pegeerowskie wsie wokół Słupska. Tej ojczyzny już nie ma. Zostało tylko www.stolp.de. A, prawdę mówiąc, obawiam się, że okolic pięknego miasta Stolp, o których opowiadała babcia, nie było nigdy. Ona je tak tylko pamięta.

150

2. Vietato scilare

- Przejdziemy się? Może na spacerze damy spokój tym poważnym tematom. Michał pokiwał głową.

Był wieczór i Rowy stały się już czymś w rodzaju ożywionego centrum miasta. Z jednej knajpki dochodziła muzyka i Inga czuła, że z ojcowskiego zamiłowania do Ameryki Łacińskiej odziedziczyła przynajmniej słabość do latynoskiej muzyki. Michał łatwo zauważył, jak jego znajoma - przyjaciółka? - przechodzi w taneczny krok. - Wejdziemy?

Był tłok, ale udało się przepchnąć na nieco luźniejsze miejsce.

„W tańcu można się tak zupełnie bezkarnie przytulać i nikt nie uzna, że to coś szczególnego. Szkoda, że nigdy nie nauczyłem się dobrze tańczyć. Ale może nie będziesz mi miała tego za złe”.

„Świetnie tańczysz. Może porozmawiamy w końcu szczerze? Eee, nie powinnam dać się skusić”.

Żeby sensownie pogadać, trzeba się trochę znać; żeby sensownie milczeć, trzeba się znać jeszcze lepiej. Inga i Michał chyba się już na tyle znali, bo szli wzdłuż plaży w zupełnej ciszy. Po tańcu i muzyce było tę ciszę słycać znacznie mocniej.

W miarę jak oddalali się od miasteczka, słabły światła latarni i domów, a zapalały się gwiazdy. Było bardzo ciemno; księżyc był w nowiu. „Dokładnie na odwrót niż wtedy w czterdziestym czwartym” - pomyślał Michał. Inga co chwilę podnosiła głowę i zerkąła w niebo, w końcu stanęła i zapytała:

- Znasz się na gwiazdach?

- Troszeczkę.

Nie był astronomem, ale podstawowe gwiazdozbiory znać musiał. Każdy mężczyzna powinien być przygotowany na nocny spacer, na którym będzie mógł powiedzieć: „A to jest Orion. Te trzy gwiazdy to jego pas. Popatrz wzdłuż mojej ręki”. Żeby spojrzeć wzdłuż ręki, trzeba się do niej przytulić. A wtedy warto znać jeszcze trochę gwiazd do pokazania.

Michał nie umiał określać typów widmowych gwiazd, ale za to barwnie opowiadał historie uwiecznione w konstelacjach. Teraz na przykład kilka jasnych gwiazd po północnej stronie nieba układało się w postać dumnej królowej Kasjopei. Było dość ciemno, aby dostrzec nawet jej biust trzeciej wielkości gwiazdowej. W pobliżu królowa Andromeda, przywiązana do skały, wołała o ratunek przed morskim potworem. Na szczęście Perseusz właśnie ją dostrzegł,

152

153

zakochał się od pierwszego spojrzenia na nagie związane ciało i pospieszył z pomocą.

Inga wtulała się miękko. W jej włosach wśród zapachów tego wieczoru: perfum, pieprzu i oregano, dymu świec i papierosów, wody morskiej i wieczornego chłodu Michał z przyjemnością odszukiwał zapach Ingi. Mimo mroku było widać ją dość wyraźnie, żeby zobaczyć, jaka jest piękna. Piękna jak noc.

Może gdyby wiedział na pewno, że i ona go oszukuje, nie czułby wyrzutów sumienia i już nic nie psułoby szczęścia.

- Chyba będę szła. Nie wyjeżdżasz jeszcze? Zobaczymy się jutro? Odprowadzisz mnie?

- Do zobaczenia, śpij słodko - Michał odwrócił się, zarzucił plecak na ramię. Przez niedomknięty zamek wysunął się fragment zwiniętej w rulon mapy. Napis „Do stacji węzłowej Schwarzenberg” było widać zupełnie wyraźnie.

Szedł szybkim krokiem przez miasteczko.

„A więc wiem już, gdzie jest trzeci przepust. Jutro tam będę. Jak najlepiej zacząć poszukiwania? Jak to wyglądało? Przepust ma jakieś trzy metry długości, a naokoło... Tak, o Afrodycie też pamiętam. Była piękna jak ty. Urodziła się z piany morskiej, stąd pochodzi jej imię, bo po grecku piana to afrón. Jaki byłem zachwycony, kiedy przeczytałem napis afrón na puszcze pianki do golenia; byłem dumny, że coś rozumiem po grecku. Albo napis na ciężarówce do prze-prowadzek: Metaforein. Mniejsza o to, Afrodyta powstała

154

z piany i niektórzy twierdzą, że była to piana, która powstała po wielkim chlup, które zrobiły genitalia Uranosa wrzucone do wody przez Kronosa... Ale zaraz, po co ja się przygotowuję do opowiadania Indze o Afrodycie, najpierw mam się przygotować do poszukiwań. Wokół przepustu jest normalny las sosnowy, dość rzadki, nie ma krzaków, więc dojscie jest wśród wróbli, które zawsze towarzyszą Afrodycie, kiedy leci w powietrzu. Bez problemu można więc dojść w każde miejsce z detektorem. Frelke to jest jej wujek, prawda? Wujek dziadeczny? Znaczy: dziadek wujeczny? Więc pewnie szuka skarbu, bo jakoś się o nim dowiedziała. A swoją drogą, czemu tak łatwo ten wujek dziadowski dał się Anglikom zabić? Gorsci od niego dostali tylko wyroki więzienia".

Wrócił na camping. Położył się, jak stał, i miał nadzieję, że smacznie zaśnie. Zasnął rzeczywiście od razu, ale na smaczny sen był zbyt zmęczony. Jedyne, co we śnie zobaczył, to czerwony słupek na czarnym tle. Słupek rósł i rósł, a Michał wiedział, że gdy urośnie zbyt duży, stanie się coś złego. Tym gorszego, że nie wiadomo co. Wystarczyło pomyśleć „ciach" i słupek zmniejszał się o połowę. Ale potem znowu rósł. „Ciach" i rósł, „ciach" i rósł, „ciach" i rósł. Rósł coraz szybciej, aż chłopak nie mógł nadążyć. Obudził się jeszcze bardziej niewyspany.

Wstał więc, nasypał neski do kubka, zaniósł go do łazienki i zalał ciepłą kranówką. Ten barbarzyński sposób stosował, gdy już zupełnie nie miał siły skręcać palnika, zapalać ognia, czekać na wrzątek... Cuchnąca chlorem kawa dodała mu sił. Umył się i przebrał. Już by wrzucił koszulkę do worka

155

z brudnymi rzeczami, ale zauważył, że pachnie Ingą. Z pewnością bardziej pachniała nim samym, ale że własnego zapachu zwykle nie czujemy, podłożył ją sobie pod głowę i zasnął.

Przyśniła mu się Inga. Nie był to jednak sen, którego można się było spodziewać; sen kończący się błyskiem radości, a w dalszej perspektywie - praniem śpiwora.

Stał na drodze prowadzącej przez wysokie góry, chyba Alpy. Nagle usłyszał, że ktoś wzywa pomocy. Rozejrzał się, ale nikogo nie było. Dopiero po chwili zrozumiał, że głos dochodzi z tunelu. Pobiegł tam; biegł długo, długo, długo. To musiał być tunel Św. Gotarda. Gdzieś nad nim zaczynały swój bieg Ren i Rodan, ale Michał miał przed sobą tylko szesnaście kilometrów asfaltowej drogi. Gdy całkiem opadał z sił, zobaczył światełko.

Wybiegł. Był w Ticino. To najlepsze miejsce w Europie: włoska fantazja i szwajcarski porządek. I te góry... Ich widok zaparł mu dech w piersiach. Gdy jednak popatrzył kawałek dalej, przestał się interesować

krajobrazem. Do skały przykuta była Inga. Naga. Michał chciał podbiec i uwolnić ją, ale zapaliło się czerwone światło. W Szwajcarii nie można łamać przepisów, krzyknął więc:

- Poczekaj chwilę!

Zanim światło się zmieniło, do dziewczyny podleciał wielki sęp.

- Czy ty jesteś Andromeda? - zapytał.

- Nie! - krzyknęła przerażona.

- Tak myślałem - pokiwał dziobem zadowolony z udanego podstępu. - Więc jesteś Prometeusz.

156

- Bzdura! - roześmiała się dziewczyna. - Prometeusz był mężczyzną.

Ptak usiadł wygodnie na skale, szykując się na dłuższą rozmowę.

- To seksistowskie podejście - wyjaśnił uprzejmie. - A teraz obowiązuje poprawność polityczna. Dostałem następujące polecenie: „Znaleźć istotę ludzką imieniem Prometeusz i wyrwać jemu/jej wątrobę. Czynność powtarzać wiecznie”.

- Nie jestem Prometeusz. Jestem Inga.

- To twoje drugie imię.

- Dobrze, jestem Ernestina Inga.

- Ernestina... Nosisz imię Prometeusza, który chciał ukraść ogień bogatym i dać biednym. Nie uniknął śmierci, ale uniknął wiecznej kary. Tyją poniesiesz za niego.

- Ja noszę tylko jego imię!

- „Tylko"! „Tylko"! - skrzeczał ptak. - Wy dzisiaj nic nie rozumiecie. Imię to nie jest naklejka, którą można przylepić i odlepić. Twoje imię to ty sama. Dość gadania. Czas na wątróbkę.

Z krakaniem „hepar, hepár" sęp poderwał się ze skały. We śnie i ptak, i Inga mówili po starogrecku; śniący wszystko rozumiał, choć nie znał tego języka na jawie.

Michał wyjął z kabury pistolet, bo, jak właśnie się zorientował, miał na sobie mundur kapitana Wehrmachtu, i zastrzelił ptaka. Kolejnymi kulami rozbił okowy ukochanej i uwolnił ją z łańcuchów. Zdjął kurtkę i okrył nią dziewczynę. Gdy tylko to zrobił, oboje byli już ubrani w granatowe polary.

- Musimy uciekać, bo tutaj nie wolno strzelać - powiedziała, wskazując wielki napis nad wejściem do tunelu. Michał wcześniej go nie zauważył. Rzeczywiście, czarne litery

157

na żółtym tle informowały: VIETATO SCILARE. „I to jest najlepszy dowód, że wszystko mi się śni - pomyślał chłopak - bo wprawdzie nie wiem, jak jest po włosku strzelać, ale z pewnością nie pochodzi to od śląskiego szczyłać'.

Pobiegli do sklepu na stacji benzynowej, ale okazało się, że w sklepie znajduje się aula pełna ludzi czekających na wykład Ingi.

Wbiegła więc na katedrę, Michał usiadł tuż obok.

- Serdecznie Państwa witam - zaczęła. - Dzisiaj, zgodnie z zapowiedzią, kolejny wykład z cyklu „Nauczyciele Adolfa”.

Chwila pauzy na łyk wody i wyrównanie oddechu. Po tej chwili prelegentka zaczęła właściwy wykład.

- 27 maja 1915 roku Turcy postanowili wygnać Ormian z Anatolii. Gdyby po prostu zrealizowano ten plan, nie byłoby jeszcze najgorzej. Jednak spośród trzech milionów ludzi przeznaczonych do wysiedlenia przeżyło tylko około miliona. Drugie tyle zmarło lub zginęło podczas transportu. Wreszcie pozostały milion Turcy po prostu zabili na miejscu. To ludobójstwo spotkało się z taktownym milczeniem Zachodu, z wyjątkiem aprobaty jednego przedstawiciela mojego narodu. Chodzi oczywiście o Adolfa Hitlera. Przytaczał on przykład zagłady Ormian jako dowód nie tylko na to, że ludobójstwo uchodzi na sucho, ale i na to, że już wkrótce nikt o nim nie pamięta. Co ciekawe, o ile w Niemczech karalne jest kłamstwo oświęcimskie, o tyle w Turcji do dziś można pójść siedzieć za to, że wspomni się o tej zbrodni.

Michał spojrział na salę. Słuchacze siedzieli jak na tureckim kazaniu. W tym szczególnym wypadku oznaczało to jednak, że wszystko rozumieli. Byli to bowiem Turcy.

Rozumieli, ale chyba się nie zgadzali. Prawdę mówiąc, byli coraz bardziej wściekli. W końcu jeden po drugim zaczęli wstawać i z gniewem w oczach, a nożami w rękach zbliżać się do katedry. Inga i Michał rzucili się do ucieczki. Wbiegli do tunelu św. Gotarda; zaraz za nimi zapaliło się czerwone światło, więc Turcy musieli się zatrzymać.

Przebiegli tunel i wsiedli w pociąg z Mediolanu do Łęborka. Zanim ktokolwiek ich dogonił, ekspres ruszył.

„Wyjeżdżamy, a może ja, jako kielczanin, mam tutaj wygłosić wykład z cyklu „Uczniowie Adolfa”? Coś mi się zdaje, że podpisałem nawet umowę...”. Wyjął dokument, ale okazało się, że to tylko podanie o wpisanie na Volksliste.

Rozmyślenia chłopaka przerwała Inga:

- Nie musisz już szukać skarbu mojego wuja - powiedziała miękko, spokojnym, niebieskim głosem. - Znalazłam go wczoraj. Kupimy sobie za to dom. Popatrz!

Michał spojrział przez okno. Na górskiej hali stał zamek w Bytowie - a raczej zamek z Bytowa, bo samego miasteczka wokół nie było.

- Stać nas?

- Pewnie. Jak nie będą chcieli sprzedać, to niedaleko Kartuz budują podobny. A w sypialni - uśmiechnęła się - możemy zamontować skałę, do której będziesz mnie przykuwał, kiedy tylko zechcesz.

- Służba - dodał Michał - będzie nam podawać smakołyki, dzięki temu trochę utyjesz i będziesz jeszcze bardziej sexy. I udali się do wagonu z napisem „Kochalnia”.

158

3. Schwarzenberg

- Kapitan Wilhelm Frie...

- Siadajcie - przerwał mu pułkownik. Wciąż nie mógł się nadziwić, że młody oficer zawsze melduje się tak regulaminowo, podczas gdy wszyscy od dawna mówią: „Jestem, panie pułkowniku” albo „Wołał mnie pan, pułkowniku?”

Dowódca nie był służbistą i zamiast tracić czas na formalności, wołał przejść do rzeczy. Przecież było o czym rozmawiać. Powstawała tu w ekspresowym tempie linia umocnień porównywalna tylko z Wielkim Murem Chińskim. Tak, z tego porównania pułkownik był dumny. Podobno Wielki Mur widać z Księżycą. Pewnego dnia niemieccy uczeni zbudują pojazd kosmiczny, ktoś tam doleci i zobaczy nad głową Ziemię, a na niej morza, lądy, Wielki Mur Chiński i Wał Atlantycki.

Umocnienia budowały cywilne przedsiębiorstwa, tym bardziej więc potrzebni byli fachowi oficerowie, aby cywile nie zrobili jakichś głupstw. Teraz, zdaje się, straci jednego z lepszych. Ale cóż było robić.

- Minister Speer sobie o panu przypomniał.

160

- O Boże! - wyrwało się kapitanowi zupełnie nieregulaminowe westchnienie.

Raz, tylko raz spóźnił się na odprawę. Było to na samym początku. Chodził po plaży i zaznaczał na mapie kolejne ważne szczegóły. Mógł odłożyć tę pracę na później, ale a nuż

o czymś zapomni? A każdy drobiazg mógł być sprawą życia

i śmierci dla obrońców wybrzeża. Notował więc, notował, aż spóźnił się trzy minuty. Pech chciał, że właśnie wtedy odwiedził ich minister uzbrojenia Rzeszy, Albert Speer.

- Nie denerwujcie się - roześmiał się pułkownik. - Speer to nie tylko cywil, ale także artysta. Nie pamięta spóźnienia, ale pana szkice. Zadzwonił do generała, a generał mu obiecał, że pana przydzielili do jakiegoś nowego zadania. Gratuluję. Niech się pan szybko spakuje, pociąg odchodzi z Lille za dwie godziny. Proszę, oto rozkaz wyjazdu. Jest tutaj też adres, pod którym zgłosi się pan w Berlinie.

- Powodzenia - pułkownik wstał i podał rękę swojemu podwładnemu.

- Do widzenia, panie pułkowniku.

O nowym zadaniu Frelke jeszcze nic nie wiedział, więc z niepokojem, ale i nadzieją jechał do stolicy. Tam jakiś urzędnik kazał mu się zgłosić za dwa dni, potem znowu za dwa dni, aż w końcu kapitan trafił do dużego pokoju, w którym czekał już ów urzędnik razem z dwoma mężczyznami.

- Kapitan Frelke, doktor Adler, chemik, doktor inżynier Weyhoffen - przedstawił przybyłych. Panowie doktorzy będą prowadzić ważne dla Rzeszy badania naukowe. Trzeba im do tego zapewnić warunki, a konkretnie zorganizować

161

laboratorium. To będzie pana zadaniem, kapitanie. Dostanie pan do tego odpowiednie środki i uprawnienia.

Brzmiało to fascynująco, choć po dokładniejszym przejrzeniu papierów, po kilku rozmowach z naukowcami Frelke żałował, że musiał porzucić spacery wzdłuż oceanu i to właśnie teraz, gdy jego znaczki na mapach miały się zmieniać w stal i beton. Zajmie się ustalaniem wart i załatwianiem przydziału węgla na zimę.

W dodatku bał się, że będzie musiał mizernymi środkami zbudować fabrykę na nieuzbrojonym terenie. Szczęśliwie okazało się, że miał do dyspozycji starą bocznicę kolejową prowadzącą w las, a na jej końcu rampę, zadaszoną halę i murowany piętrowy domek. Wszystko to służyło niegdyś właścicielowi tartaku do wywozu drewna, ale tartak zbankrutował w czasie wielkiego kryzysu i od tego czasu budynki stały puste. Przez dziesięć lat nieco się zniszczyły, ale nie było najgorzej.

Kilkunastu żołnierzy wojsk lądowych przydzielonych do ochrony obiektu nie przedstawiało większej wartości bojowej. Byli to ludzie wycofani z różnych przyczyn z frontu. Tu jednak robili raczej za stróżów niż wojskowych, a starali się, jak mogli, wiedząc, że zawsze mogą zostać odesłani do walki. Tylko zastępcę miał Frelke dobrego, młodego porucznika saperów o nazwisku Sander. Generał uznał chyba, że oficerowie sami będący inżynierami lepiej będą współpracować z wynalazcami.

Żołnierze, najpierw zakwaterowani w namiotach, sami budowali sobie barak, zwłaszcza że robotników Frelke dopiero poszukiwał. Przed wojną wystarczyłaby odpowiednia

kwota, aby znaleźć chętnych w okolicy. Teraz jednak praca była towarem reglamentowanym. W ministerstwie zamiast nakazać przeniesienie pracowników z innego zakładu, poradzili mu po przyjacielsku:

- SS organizuje wyjazdy Polaków do pracy. Wprawdzie głównie do własnych zakładów, ale ostatnio szef rozmawiał z Himmlerem i dostał kilka tysięcy do dyspozycji. Spróbujemy coś z nich panu odpalić.

Co prawda na przydział trzeba by czekać, ale rozmowa podsunęła kapitanowi prostszy sposób. Kolega jeszcze z Schönwaldu, wyrzucony niegdyś ze szkoły za brak postępów w nauce, został teraz oficerem SS w Generalnej Guberni i z przyjemnością dostarczył żywego towaru odpowiedniej jakości. Po prostu zamiast ulicznej łapanki wyciągał majstrów z ich warsztatów. „A jednak SS też się na coś przydaje” - stwierdził z zadowoleniem Frelke.

W oczach Polaków kapitan chciał się pokazać jako ten dobry, który uchronił ich od obozu, wysyłając do nie najlepszej pracy. Trudno powiedzieć, że byli mu za to wdzięczni, ale wiedzieli, że za obijanie się spotka ich los znacznie gorszy, więc pracowali solidnie.

Najpierw zbudowali baraczek dla siebie, potem remontowali dom i halę pod okiem żołnierzy, którzy wreszcie nie musieli zajmować się pracą fizyczną. Zgodnie z planem zbudowano stalowy pomost prowadzący z hali ponad łąką prosto do jeziora. Równocześnie sprawdzono i naprawiono tory prowadzące do najbliższej stacji węzłowej. Polacy pracowali po kilkanaście godzin dziennie, ale i kapitan tył.

162

163

pracował - sprawdzał osobiście każdy szczegół i każdy etap pracy.

Najważniejsze z punktu widzenia badań prace: remont hali, instalacja urządzeń, budowa pomostu nie kosztowały Frelkego tyle wysiłku, co urządzenie inżynierom i sobie samemu w miarę przyjemnego miejsca do mieszkania. Jeździł po okolicznych sklepach i targach, wypytywał ludzi, czy nie mają do sprzedania szafy, stołu, biurka... W trudnych czasach wielu Niemców musiało dość tanio sprzedać wiele ze swojego dobytku, więc jakoś skompletował wyposażenie. Może stolik nie był w tym samym stylu co biblioteczka, ale w końcu to wojsko, nie salon.

W połowie października 1942 roku naukowcy byli już na miejscu, a wraz z nimi cenny sprzęt. Można było zacząć badania.

Frelke odetchnął z ulgą: teraz będzie z górki. Może nawet znajdzie czas, żeby wybrać się do rodziny? Ośrodek mieścił się bowiem na Pomorzu, koło miasteczka Schwarzenberg w powiecie Stolp. Linia kolejowa prowadziła bezpośrednio z miasteczka do Schlawe, gdzie mieszkała teraz matka kapitana i jego bratowa, Anne-Marie. Samego brata nie ujrzy pewnie do końca wojny: też trafił do wojska, tyle że z poboru.

Może uda się być trochę mniej samotnym?

Udając aptekarza, Willi dorósł po prostu z konieczności. Potem w gimnazjum miał kolegów, którzy bądź stosunkowo

164

lekką znieśli wojnę i byli jeszcze zwykłymi chłopcami, bądź takich, co niejedno przeżyli, ale też mniej przykładali się do nauki.

Gdyby nie wojna, na pewno trafiłby do gimnazjum. Ojciec jednak z wojny nie wrócił i edukacja syna stanęła pod znakiem zapytania. Wtedy pojawił się pan dziedzic von Kielpen. - To i tak tylko część długu wdzięczności - odpowiedział na podziękowania.

Po maturze chłopak zgłosił się na podchorążego pułku piechoty. Uczył się podstaw życia wojskowego z ochotą większą niż temat na to zasługiwał. Po roku trafił na roczny kurs do Drezna, jak wszyscy kandydaci na oficerów Reichswehry.

Było tu jeszcze mniej przyjemnie niż w pułku. Prym wiedli synowie szlacheccy. Trzymali się razem, mniej przejmowali się nauką. Traktując służbę jako dziedziczny niemal przywilej, na resztę patrzyli z góry. I ta kanalia von Käfer... Oskarżył Frelkego o kradzież. Choć Wilhelm został uniewinniony, niektórzy do końca patrzyli na niego podejrzliwie.

Potem, na kolejnych szkoleniach, związanych już bezpośrednio z inżynierią, atmosfera była lepsza. Szlachta nie stanowiła tak przytłaczającej większości, a przede wszystkim nie wywyższała się ponad resztę kolegów. W technice, gdzie zdolności i osiągnięcia są bardziej wymierne, mniej wypada chwalić się nieuzasadnioną przewagą, a ludzie są zwykle po prostu mądrzejsi niż przeciętni junkrzy.

Dla Wilhelma było już za późno - zamknął się w sobie i koncentrował na pracy. Jedynym zainteresowaniem poza

165

nią było kolekcjonowanie starych monet, ale i to stopniowo zarzucił. Nigdy się nie ożenił.

Od września 1939 roku pracy było sporo. Za zasługi przy zakładaniu prowizorycznego mostu, w dodatku pod polskim ostrzałem, został mianowany kapitanem. Trzy lata później trafił do elitarnej grupy projektującej jeden z odcinków Wału Atlantyckiego. Tam wykorzystał wszystkie swoje zdolności: spostrzegawczość, skupienie i umiejętność pracy po osiemnaście godzin na dobę. Nagrodzony został stanowiskiem, na którym pewnie żadna z tych zdolności nie zostanie wykorzystana.

Pierwszego wieczora trzech najważniejsi ludzie w fabryczce zebrali się w pokoju Frelkego. Sander jeszcze sprawdzał coś w terenie.

- Witam w domu - zaczął kapitan. - To będzie panów dom przez najbliższe miesiące, a może i lata. Moim obowiązkiem jest zapewnić panom jak najlepsze warunki do pracy. Proszę zwracać się do mnie z każdym problemem, a w razie mojej nieobecności - co na pewno nie będzie częste - do porucznika Sandera.

- Dziękujemy. No to - za dobrą współpracę! Wychylili kieliszki. Kupione jeszcze w Paryżu wino zachęcało do dalszych toastów.

- Za panów badania!

- Za kawitację! - rzucił Adler.

- Kawitacja to ten tajny wynalazek, jak rozumiem? - zaciekał się kapitan. Bardzo go interesowało, w czym właściwie pomaga.

166

- Nie całkiem - wyjaśnił chemik. - To zjawisko, które chcemy w nim wykorzystać.

- Domyślam się, że chcecie panowie zbudować nową broń dla marynarki. Rodzaj torpedy? Ale dlaczego w takim razie nie testujemy jej nad morzem, tylko w jakimś bajorku?

- Bo to jest jeszcze bardzo wstępny etap. Jeśli uda się tutaj, to pewnie potem przeniesiemy się nad morze. Niestety, nie traktują nas zbyt poważnie. Tak mało ludzi, mało sprzętu. Gdybyśmy mieli dziesięć procent tego, co w Pee... - przerwał, bo chyba nawet dowódcy nie wolno było mówić, gdzie mianowicie jest tak dobrze - ...w pewnym lepiej wyposażonym ośrodku, byłoby inaczej. Ale do rzeczy. Wie pan na pewno, dlaczego okręty nie mogą rozwijać zbyt dużej prędkości.

- Lepkość wody jest duża, a siła potrzebna do jej przewyciężenia rośnie z kwadratem prędkości. Tak mnie uczyli na fizyce.

- Właśnie tak - ucieszył się inżynier. - A przy przepływie turbulentnym nawet z szczęścianem. Takie są prawa przyrody, których nie da się złamać. Ale od lat myślałem, jak je ominąć. Kiedyś obserwowałem pająka siedzącego pod wodą w bąbelku powietrza, który sam sobie tam schował. Ołśniło mnie: pająk jest pod wodą, ale nie w wodzie. Naokoło niego jest powietrze.

- Chodzi o to, żeby torpeda poruszała się pod wodą, ale w powietrzu? Wtedy opór będzie o kilka rzędów wielkości mniejszy?

167

- Doskonale! Tylko nasuwa się bardzo dużo problemów. Przede wszystkim pająk sobie spokojnie siedzi, a torpeda natychmiast wyleciałaby z tego bąbelka. Powinna więc sobie stwarzać nowy.

- Co jest trudne, zwłaszcza przed dziobem.

- Darujmy sobie fragment przed dziobem. Jeśli tylko dziewięćdziesiąt pięć procent powierzchni torpedy będzie w bąbelku, to już i tak zysk jest ogromny. Skąd powietrze? To nie musi być powietrze, ale na przykład para wodna. I tutaj pomocne okazuje się zjawisko, które w innych wypadkach strasznie przeszkadza inżynierom. W 1894 roku Brytyjczycy zbudowali torpedowiec „Daring”. Miał rozwijać zawrotną prędkość dzięki swoim potężnym maszynom. I rzeczywiście, gdy płynął dwadzieścia siedem węzłów, ciągle miał zapas mocy. Ale gdy kapitan chciał jeszcze przyspieszyć, okręt w ogóle stracił moc. Dajemy całą naprzód, a statek zwalnia! Maszyny pracują, śruby się kręcą, a statek staje. Śruby powodują bardzo szybki przepływ wody... - inżynier wziął kawałek papieru i zgiął go wpół.

Frelke tylko się uśmiechnął:

- Znam to doświadczenie. Jak dmuchniemy między listki, nie tylko się nie rozsuna, ale nawet zewrą. Większa prędkość to mniejsze ciśnienie.

- Właśnie, a mniejsze ciśnienie to niższa temperatura wrzenia wody. Jeśli więc woda płynie zbyt szybko, zaczyna wrzeć, nawet gdy jest chłodna. Śruby nadawały wodzie taką prędkość, że zaczynała wrzeć w temperaturze panującej w morzu. Gdy wrzała, śruby traciły kontakt z wodą, mieszały tylko parę. Co jednak przeszkadza okrętowi, mogłoby

pomóc torpedzie. Wokół dzioba woda przyspiesza, więc gdyby przyspieszała do odpowiedniej prędkości, może woda naokoło torpedy zaczęłaby wrzeć. Wtedy torpeda poruszałaby się w gazie, a więc prawie bez oporu...

- Ale co by ją napędzało? - zapytał przytomnie kapitan. - Śruba musi być przecież zanurzona w wodzie.

- I na tym polega następny pomysł: wykorzystajmy silnik rakietowy. Taką podwodną rakieta można by było nie tylko zatapiać okręty nieprzyjaciela, ale także chronić nasze, rozbijając zawczasu torpedy i bomby głębinowe.

- I nikt na to wcześniej nie wpadł? - zdziwił się Frelke.

- Może i wpadł. Tylko że sama zasada działania to dopiero początek. Każdy drobiazg sprawia tutaj wielkie problemy techniczne. Sterowanie czy choćby stabilizacja toru, napęd, wreszcie materiały. Ten czubek, który jednak trze o wodę, musi być potwornie wytrzymały. Gdyby Rzesza przywiązywała do tego wynalazku odpowiednią wagę... Gdybyśmy mieli choćby kilkunastu merytorycznych współpracowników. Ale Speer stwierdził, że są potrzebni „gdzie indziej”. Czyli w Pee... - Adler urwał pod piorunującym wzrokiem swojego współpracownika.

- Musimy sobie dać radę w tak małej grupie - wtrącił Weyhoffen. - Może po pierwszych sukcesach uzyskamy większe środki.

Naukowcy pracowali od świtu do nocy, to w swoich pokojach, to w hali, pilnując rzemieślników. Pewne postępy chyba poczynili. Co jakiś czas po pomocy przetaczano do jeziora dziwną konstrukcję, zwykle zupełnie nieprzypominającą

168

169

torpedy. Wtedy Frelke razem z badaczami stał na pomoście i patrzył na płonący pod wodą ogień. Nie bardzo wiedział, co miało z eksperymentu wyjść, więc tylko po minach inżynierów oceniał powodzenie.

Kiedyś do ośrodka wtoczył się pociąg, jeśli tak szumnie nazwiemy lokomotywkę z jednym wagonem. Po rozmontowaniu ścian wagonu okazało się, że zawiera on gigantyczne akwarium. Dźwig, którym dysponowali, nie wystarczał, żeby akwarium podnieść, więc wagon został na końcu bocznic. Weyhoffen był zachwycony.

- A nie mówiłem, że się uda? Teraz zamiast patrzeć z mostu, będziemy mogli oglądać wszystko z boku.

Znowu przydały się kwalifikacje polskich rzemieślników. Już po dwóch dniach na poziom górnego brzegu akwarium prowadziła rampa, na którą można się było dostać po długiej pochylni. Ale stała tylko dwa dni, aż do pierwszego eksperymentu, po którym z akwarium została kupa nadtopionych kawałków szkła i kilku ciężko poparzonych robotników.

Od tej pory eksperymenty wróciły do jeziora. Co kwartał Frelke, Adler i Weyhoffen siadali przy piwie i

pisali raport „dla Speera”. Z pewnością Albert Speer osobiście go nie czytał, ale też ani on, ani jego urzędnicy w Berlinie nie wiedzieli, czy dotychczasowe sukcesy są istotne. Rozumieli natomiast doskonale, że cel nie został jeszcze osiągnięty. Nacisk na szybsze prace rósł.

W grudniu 1943 roku śnieg zasypał jedyną drogę dojazdową, a Frelke nie chciał oddelegować do jej odśnieżania robotników, bo opóźniłoby to badania. Pozostała kolej. Do

tej pory co jakiś czas trafiał do nich zaplombowany wagon z Berlina z odczynnikami i materiałami do badań lub też - raz w roku, jesienią - wagon węgla do ogrzewania i gotowania. Teraz okazało się, że trzeba utrzymywać regularną komunikację.

- Dwa pociągi dziennie? Panie kapitanie, moi ludzie dwoją się i troją, żeby zapewnić kursy w okolicy - tłumaczył zawiadowca stacji węzłowej. - Pracownicy albo na froncie, albo na strategicznych liniach. Gdyby tak mi pan któregoś wyreklamował z wojska, to bardzo proszę. Ci, co zostali, jeżdżą od świtu do nocy, już śpią na stacji, bo nie warto wracać do domu. Tylko patrzeć, jak mi któryś zaśnie na parowozie. Mogę panu zapewnić jeden kurs na dwa dni. A nie ma pan przypadkiem kolejarzy wśród tych Polaków?

- Na pewno nie. Takich trzymają na Ostbahnie.

- A wśród żołnierzy?

- Nie sądzę... - zawahał się oficer. - Ale nie sprawdzałem.

- Mam propozycję. Daje mi pan maszynistę, a ja panu dwa pociągi codziennie. Obsługiwać je będzie ten maszynista, poza tym znajdę dla niego pracę i tutaj.

- Jeśli jakiegoś mam, to bardzo chętnie - zgodził się Frelke. Żołnierze w ośrodku właściwie nie mieli wiele do roboty, a transport był sprawą podstawową.

Zimę przetrwali. Poza brakiem węgla i zimnem - dokuczającym najbardziej Polakom, potem żołnierzom, a w ostatniej kolejności badaczom i dowódcy - problem stanowiła konieczność ciągłego rozbijania lodu na jeziorze. Weyhoffen

170

171

przebąkiwał coś o nowym, lepszym akwarium, ale tym razem nawet Adler nie ustąpił.

Gdy się już wydawało, że badania zmierzają do szczęśliwego zakończenia (choć, prawdę mówiąc, wydawało się tak już wielokrotnie), Frelke przyszedł do inżynierów i odczytał im rozkaz z Berlina. Adler był wściekły.

- Zaraz zadzwonię do generała. A może pan zadzwoni?

- Ja? - zdziwił się Frelke. - Mam żądać od przełożonego, żeby się tłumaczył z rozkazu? I to jeszcze w

sprawie ściśle tajnej? Zapewniam pana, że mieli ważne powody.

- Może chociaż tydzień? - upierał się chemik. - Akurat kończymy silnik, nad którym pracowaliśmy od trzech miesięcy. Nie da się tego spakować tak, żeby nic nie zepsuć.

- Ze mną proszę na ten temat nie rozmawiać. Dostałem rozkaz spakować cały ośrodek w ciągu dwudziestu czterech godzin. Dla mnie to naprawdę żadna frajda. Jeśli rozkaz się zmieni, będę zachwycony.

- To może ja porozmawiam z generałem.

- Proszę bardzo. Pan jest cywilem.

Robotnicy i żołnierze już godzinę wcześniej zabrali się do pakowania. Układu doświadczalnego mieli jeszcze nie składać. Tymczasem szeregowy Jorg Dziwok przygotowywał parowozik do jazdy. Nieco stremowany pojechał pierwszy raz aż do Stolp, do dużego węzła, gdzie dostał trzy wagony bydłące. Wściekły Frelke znowu musiał dzwonić do Berlina.

- Fabrykę mogę spakować do dwóch wagonów, żołnierze pojedą drugim, od Stolp podczepią nas do zbiorczego

172

pociągu i pewnie będzie miejsce dla kadry i oficerów. Ale gdzie ja mam spakować tych wszystkich robotników?

W stolicy mieli jednak przekonujące argumenty. Kapitan mruknął tylko:

- No dobrze, poradzimy sobie jakoś.

- Generał jest nieuchwytny. Przez całą noc odpowiadali, że nieuchwytny. - Doktor chodził tam i z powrotem po gabinecie dowódcy. - Co on ma teraz takiego na głowie?

Zaczynał się nowy dzień, 6 czerwca 1944 roku.

- Niech pan da spokój, doktorze. Pewnie to miejsce jest niebezpieczne. Wie pan doskonale, że jesteśmy w zasięgu samolotów nieprzyjaciela. Jeśli nasz wywiad doniósł, że ich wywiad o nas wie...

- Kapitanie, powinien pan w tej sytuacji wydać rozkazy na wypadek bombardowania - powiedział bardzo poważnie Adler.

- A co mam rozkazać? - zdumiał się kapitan. - Niech każdy ucieka, jak umie.

Taki rozkaz każdy sam sobie mógł wydać, ale potrzebne to było dopiero na stacji, na której stali pod semaforem. Na szczęście to nie Drezno. Wystarczyło, słysząc ryk syren i huk silników, uciec z wagonu i ze stacji. Strat w ludziach nie było. Pociągjednakspłonął doszczętnie, zwłaszcza że na torzeobok stała cysterna paliwa. Adler błady patrzył na zniszczenia.

- Wszystko - mamrotał - nie tylko sprzęt, ale papiery, obliczenia...

- Niech pan będzie mężczyzną, Adler. Przecież to odtworzymy.

173

Ale nie mieli już okazji. Speer uznał, że jeśli nawet brak konkretnych postępów przez dwa lata nie byłby wystarczającym powodem do zamknięcia działającego laboratorium, to na pewno wystarczy, aby nie budować wszystkiego od nowa. Podobno - takie plotki doszły do inżynierów dość okrężnymi drogami - po przeczytaniu raportu ze Schwarzenbergu minister stwierdził, że raz tylko spotkał się z większym absurdem: gdy Góring zaproponował mu budowanie lokomotyw z betonu.

- Lokomotywy z betonu - oburzył się Weyhoffen. - Co za porównanie. A swoją drogą, cóż się dziwić, że przegrywamy wojnę, jeśli ktoś taki jest marszałkiem.

Adler trafił do ośrodka badań rakietowych w Rabce koło Łeby, ale na nic się tam nie przydał, bo ciągle myślał o ka-witacyjnych pociskach. Dowódca chyba umiał postawić się sam w jego sytuacji i tolerował ten stan rzeczy. Doktor, przemęczony pracą w Czarnej Górcie i załamany zniszczeniem ośrodka, pił ponad miarę. Napisano potem, że zmarł na serce, ale lepiej byłoby powiedzieć, że się zapił.

Weyhoffen stwierdził, że skoro jego laboratorium już nie ma, to on gdzie indziej pracować nie będzie. Wobec tego został zwolniony ze służby przy projektowaniu uzbrojenia, a wkrótce powołany do zwykłego wojska. Trafił do radzieckiej niewoli, z której już nie wrócił.

Frelke dostał się - ku swojemu zadowoleniu - do niewoli brytyjskiej. Wkrótce doścignął go polski akt oskarżenia o wydanie rozkazu rozstrzelania wszystkich robotników. Sędzia wojskowy uznał jednak, że nie ma podstaw do

174

ekstradycji, bo choć ofiarami byli Polacy, to przestępstwo popełniono w Niemczech. Nieco rozsierdziło to polskich prokuratorów, ale Anglicy sami chcieli wydać wyrok. Taki sam, jaki z pewnością zapadłby w Polsce: kara śmierci.

W roku 2000 na Morzu Barentsa zatonął radziecki okręt podwodny „Kursk”. Jedną z hipotez wysuwanych przez zagranicznych ekspertów było uszkodzenie łodzi przez przypadkowy wybuch testowanej właśnie torpedy „Szkwał”, poruszającej się prawdopodobnie na zasadzie kawitacji.

4. Pan majster

- Niektórym to się, panie majster, w tę wojnę nieźle powodzi. Ja już pomijam fakt, że mają pieniądze, żeby naprawiać zamek od starej cukiernicy, ale skąd oni biorą cukier?!

Oleś zręcznie szlifował kawałek stali i nie przestawał trajać-kotać jak „cukiernica”, z której w rzeczywistości pochodził ten detal.

- Ty się za dużo nie zastanawiaj - mruknął majster. - Mówiłem, że cukiernica, to cukiernica, a ty siedź i

szlifuj.

Pan majster miał na imię Jan, podobnie jak najświetniejszy warszawski rzemieślnik, Kiliński. Jak on walczył za ojczyznę. Walczył z pilnikiem w rękę; pilnikiem, którym naturalnie nie dźgał Niemców osobiście, ale naprawiał broń znacznie od pilnika skuteczniejszą. Tak samo jednak jak żołnierze pierwszej linii narażał życie: gestapo nie dałoby sobie wmówić, że fachowiec nie odróżnia zamka cukiernicy od zamka pistoletu automatycznego. A i Oleś nie skończyłby lepiej.

Nic więc dziwnego, że gdy tylko usłyszeli kroki przed warsztatem, natychmiast wymienili trzymane w rękach

176

przedmioty na inne, neutralne. I słusznie, bo w drzwiach stanął esesman.

- Uszanowanie panu - ukłonił się majster. Mrok spowijający pokój, rozświetlany tylko małymi lampkami skierowanymi na stoły, pomagał ukryć drżenie rąk. Może nie do końca. I dobrze; Polak, który nie drży na widok hitlerowców, jest podwójnie podejrzany.

Niemiec wszedł powoli, rozejrzał się po warsztacie. Za nim wszedł jakiś cywil. Esesman wyjął z kieszeni munduru pogniecioną kartkę papieru i wręczył ją ślusarzowi.

- Zrobić na jutro rano. Zrozumiano? - powiedział po niemiecku.

- Pan sturmbahnfuhrer prosi, żeby pan majster zrobił to na jutro rano - przetłumaczył na polski cywil.

Majster wziął do ręki kartkę. Był na niej rysunek techniczny. Z jakiego urządzenia mógł pochodzić ten element, nie miał pojęcia. Gdyby się jednak miał zakładać, obstawiałby, że żadnego. Mogłaby to być najwyżej praca, którą wyjątkowo złośliwy majster zadaje swojemu czeladnikowi, żeby pokazać mu, jak mało jeszcze się nauczył. Tyle nazbierano trudności w jednym miejscu.

- Postaram się - odpowiedział niepewnie majster. - Ale czy na rano zdążę, to nie wiem, bo godzina policyjna jest teraz znowu wcześniej i nie mogę zostać do wieczora w warsztacie. Zapraszałbym szanownych panów w południe.

Cywil nie konsultował się już z Niemcem, tylko sam odpowiedział:

- Przyjdziemy o dziesiątej. Proszę tylko wykonać pracę bardzo sumiennie. Pan sturmbahnfuhrer zapłaci godziwie,

177

a może będzie pan miał i inne zlecenia. Natomiast brako-róbstwo karane będzie jak sabotaż.

Klienci wyszli, zamek od „cukiernicy” poszedł w ką, podobnie jak zwyklesze przedmioty napraw, a na drzwiach pojawił się napis „Zamknięte do jutra”.

- Panie majster, co ja mam robić?

- Idź do domu i wróć pojutrze. Jeśli będziesz miał dokąd. Chory jesteś i dałem ci dwa dni wolnego. A potem przyślij tu kogoś, niby jako klienta, żeby sprawdził, czy możesz wrócić. Może się zobaczymy, może to przypadek...

Jan nie chciał narażać niepotrzebnie chłopaka. Sam też by się nie narażał, ale w tej chwili ucieczka oznaczałaby przyznanie się do winy. Zresztą, gdzie miałby wyjechać? Z całą rodziną? Kto raz zacznie uciekać, będzie uciekać aż do końca wojny.

Próbował więc zająć się tylko dziwaczną i bardzo trudną robotą. Trochę czasu poświęcił na zniszczenie zamka, który wcześniej naprawiał z takim zapałem. Do domu wrócił tuż przed godziną policyjną.

Naturalny skądinąd fakt, że większość filmów o drugiej wojnie światowej nakręcono stosunkowo niedługo po jej zakończeniu, a nie wtedy, kiedy mało kogo już obchodziła, ma całkiem przypadkiem ciekawe konsekwencje.

Te filmy są czarno-białe. Czarno-białe, a właściwie nawet czarnobiałe, czyli szare. I wszyscy, którzy wojny nie mogą pamiętać, właśnie taki jej obraz mają przed oczami. Byłoby wręcz bluźnierstwem, obrazą pamięci narodowej i pamięci tych, którzy wtedy zginęli, wyobrażać sobie okupację

178

w kolorach. Szare domy w szarym dymie, szare płaszcze konspiratorów strzelających z szarych pistoletów do szarych gestapowców. Oczywiście w ramach działalności Szarych Szeregów.

Jeśli nawet ktoś z ogólnej wiedzy biologicznej wysnuje wniosek, że wiosną 1943 roku rosła trawa, kwitły kwiaty, śpiewały ptaki i działo się tyle tandetnych i niestosownych rzeczy, wysłuchamy go z uśmiechem zażenowania. A już zupełnie nie wiadomo, jak to się stało, że po czerwcu 1940 roku ciągle jeszcze rodziły się dzieci, skoro wszyscy po nocach myśleli tylko o ojczyźnie.

Natomiast głęboko niestosowna - jak jarmark na pogrzebie - działalność kawiarni po dokładniejszym zbadaniu mogła zostać zrehabilitowana, gdyż niektóre z nich służyły konspiratorom do tajnych spotkań, zaś inne, oznaczone „Nur für Deutsche”, do wrzucania granatów.

Gdy pan majster wyszedł z warsztatu, był wieczór i wszystko naprawdę wyglądało tak szaro, jak przystało na lata okupacji. Zamknął żaluzje w domu, biorąc udział w ochronie miasta przed bombami zrzuconymi co prawda przez sojuszników, w tym jednak wypadku niepożądanymi.

Po prawie dwudziestu latach małżeństwa żona po pierwszym spojrzeniu orientowała się, że coś jest nie tak. Szykując kolację - jeśli użyjemy tej szumnej nazwy - zaczęła wypytywać.

- Co się stało, że dopiero teraz wróciłeś?

- Szkopy dali mi robotę.

- Jaką robotę? - zapytała przerażona.

- Żeby sam wiedział... Kazali jakiś element od maszyny dorobić, to siedziałem i dorabiałem. Nic specjalnego, ale kazali na jutro rano.

- A godzina policyjna?

- Wróciłem za pięć.

- Przecież widzę, że coś się stało - drążyła.

- Widzisz - zaczął się tłumaczyć majster - nie chciałem cię denerwować, ale miałem od pewnego czasu kilka robótek od naszych chłopców...

- ???

- Z organizacji. Kilka drobiazgów dorobić, co im do sprzętu brakowało.

- Do broni? - upewniła się.

- No, taka tam broń - machnął ręką lekceważąco - tylko

kilka automatów.

- Czemuś mi o tym nie powiedział? Nie ufasz mi? Myślałeś, że rozgadam?

- Daj spokój - przytulił ją delikatnie - przecież mówię, że cię po prostu nie chciałem denerwować. Gdybym zamierzał sam wstąpić do wojska, gdybym sam chodził zabijać Niemców, to oczywiście byś o tym wiedziała. A tu taki drobiazg, kilka metalowych detali, o czym tu w ogóle było mówić...

- Ale teraz się denerwujesz?

- Nie, tylko tak trochę się zaniepokoiłem, jak przyszli do warsztatu. Ale skoro przyszli jako klienci, to wszystko

jest w porządku.

- Może powinniśmy się ukryć?

- Gdzie? Wszyscy? Jak się ukryjemy, to zaczną nas szukać, a tak niczego nie podejrzewają.

Anna już od dłuższego czasu wiedziała, że mąż coś przed nią ukrywa. Bała się, czy nie chodzi o inną kobietę. Nie pomyślałaby, że taki tchórz mógłby zająć się konspiracją. Wstyd jej teraz było. Dobrze, że nic mu nie powiedziała, nie zaczęła go sondować. Ale jeśli go złapią? Cała rodzina zginie. Ona nieważna, ale dzieci? Siedemnaście, piętnaście i czternaście lat to najlepszy wiek na podziemiu. Gestapo weźmie ich na przesłuchanie, a to nie może się skończyć inaczej niż torturami i śmiercią. Jeśli są niewinni, to jeszcze gorzej: Niemcy uznają, że tacy twardzi i dopiero ich skatują.

Z wielkim podziwem dla męża, który naraża życie dla ojczyzny, i z wściekłością na męża, który naraża życie, położyła się spać. Czy też raczej: położyła się. I leżała aż do rana, nie mogąc zasnąć. Miała więc jeszcze okazję usłyszeć rozmowę męża z młodym sąsiadem, Filipem Jankowskim.

To jedyny żołnierz, z którym Jan miał kontakt. Co prawda Filip wspominał czasem o bliżej nieokreślonym poruczniku, ale tak naprawdę tylko zaufanie do chłopaka pozwalało ślusarzowi przypuszczać, że ma kontakt z komórką Armii Krajowej, a nie z prywatną inicjatywą Filipa.

- Czego chcieli? - zapytał krótko chłopak. Widocznie nie tylko Niemcy stale obserwowali warsztat.

- Cholera wie. Wydaje mi się, że coś węższą. Dali mi jakieś idiotyczne zlecenie. Pewnie, żeby mieć pretekst do odwiedzin. Lepiej trzymajcie się z daleka.

- Jakie zlecenie? - zainteresował się Filip.

- Dali rysunek techniczny i kazali zrobić element według rysunku. Ale co to jest i od czego - cholera wie. Wydaje

180

181

mi się, że do niczego to nie służy, ale jest bardzo trudne, żeby się narobił.

- Co było na rysunku?

Majster wziął nóż, wytarł resztkę sera w chleb i rozciął podszewkę marynarki.

- Odrysowałem - powiedział, wręczając chłopakowi

kartkę.

- Dziękuję. To może być coś ważnego. A co z naszym

zamkiem?

- Zniszczyłem - wzruszył ramionami.

- Bardzo dobrze. Porucznik powiedział, że przez najbliższe tygodnie nie będziemy mieć żadnych zleceń. Zobaczymy, jak się sprawa rozwinie. Miejmy nadzieję, że po prostu się coś szwabowi zepsuło-

- Mam spalić lokal?

- Moglibyśmy na jutro wieczór załatwić panu i rodzinie lewe papiery i lokal gdzieś poza Warszawą. Ale wtedy pewnie dopiero zaczną szukać. Jeśli to fałszywy alarm, lepiej siedzieć spokojnie.

- Ktoś mógł mnie sygnąć? - zapytał majster z niepokojem.

- Była wpadka w oddziale... Ale on pana nie znał.

- Więc może nie warto ryzykować?

- Też tak sędzę. W końcu Niemcy też czasem potrzebują coś zreperować.

- Do zobaczenia. Jeśli się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy.

Kopia rysunku została szybko zapakowana w kopertę z kilkoma niemieckimi pieczętkami, z których wyróżniał się

182

czerwony napis „Dienstlich”. Filip z fantazją zaadresował kopertę do „Wyższego Inspektoratu Wojskowych Służb Sanitarnych - przedstawicielstwo oddziału radomskiego w Warszawie” i przez łączniczkę wyprawił w świat wraz z zakodowanym listem. Niedawno poczta AK wpadła na genialny w swojej prostocie pomysł, aby kurierki przebrane były za kurierki, a poczta udawała pocztę. Ponieważ zaś uliczni żandarmi nie orientowali się już w gąszczu okupacyjnej biurokracji, listy kursowały sprawniej niż wcześniej, gdy było je trzeba pakować między podwójne dna toreb.

W budynku szkoły technicznej, do niedawna politechniki, dwóch inżynierów po dłuższej naradzie orzekło, że najprawdopodobniej taki element do niczego nie służy poza zajęciem majstra na jakiś czas, znalezieniem pretekstu do odwiedzin i - być może - sprawdzeniem kwalifikacji przed inną, poważniejszą robotą.

Gdy list przyszedł, za pośrednictwem odpowiednich komórek, do owego porucznika - przełożonego Filipa - ten zaklął cicho nad powolnością takiej łączności. „Inną, poważniejszą robotą” - owszem, właśnie taką robotę znaleziono gdzieś w Niemczech.

- I co, Rysiu - zwrócił się do Filipa. - Teraz sami to wiemy. Czy ktoś widział, gdzie go zawieźli?

- Na Dworzec Gdański.

- Pięknie! Ale gdzie dalej?

- Cały sprzęt zabrany z warsztatu zapakowali na wagon towarowy, majstra razem z dwoma żołnierzami też tam do-pakowali. I w świat!

- Nie było tam żadnego polskiego kolejarza?!

183

- Byli, ale szkopy już nie takie głupie. Listów przewozowych na wagonach nie wieszają. Wagon podłączyli do składu idącego na Kutno, ale kto wie, co było dalej.

- Ja wiem - wypalił nagle trzeci z obecnych konspiratorów, znany Filipowi pod pseudonimem Kuna.

- Gdzie?

- Schwarzenberg, to gdzieś niedaleko Gdańska, ale już w przedwojennych Niemczech. Esesman listu przewozowego wprowadzie nam nie zostawił, za to z dworca dzwonił zameldować o przesyłce. A w centrali są Polacy...

- To trzeba przekazać dalej. Zajmę się tym - zdecydował porucznik.

I już po dwóch tygodniach przesyłania listów po Warszawie i kraju, kodowania, nadawania, odbioru, potwierdzeń i dekodowania nazwa Schwarzenberg dotarła do Londynu.

Gdy ślusarz wszedł do samochodu, sądził, że trafi na Pawiak czy aleję Szucha. Pojechał jednak na stację kolejową. „Pewnie od razu Oświęcim. Ale czy tam biorą ludzi z całymi warsztatami? Może mają teraz taki zwyczaj. Przecież w obozie ludzi się zamyka, ileż to zamków tam potrzeba! Jak będę je naprawiać, może przeżyję”.

Na jednej ze stacji usłyszał nazwę „Graudenz”, potem „Danzig” więc znał kierunek, ale niewiele mu to mówiło o dalszych losach. Z żołnierzami wołał nie rozmawiać, zresztą niemieckiego nie znał. Oni zaś siedzieli znudzeni i szwargotali coś między sobą.

Niedługo wszystko było jasne. Znalazł się w baraku, w którym mieszkało już około trzydziestu Polaków.

184

- Gdzie ja trafiłem?

- Na roboty, a gdzie myślałeś? Ciesz się, że nie do obozu. Przynajmniej jeść dają. No i pilnują nas żołnierze, a nie SS - zaśmiał się sympatycznie wyglądający mężczyzna. - Tu jest wolna prycza. Kładź się spać, bo już noc, a o piątej nas zbudzą.

Ale ślusarz nie mógł zasnąć. „Nie przestuchiwali? Może wzięli mnie tutaj zupełnie przypadkiem? I nie wiedzą, że pracowałem dla AK? A ten element dali na próbę? Nie byłoby najgorzej”. Udało mu się w końcu zdrzemnąć, ale nie na długo. „Pięta! Wstawać!” - rozległo się w baraku. Przecierając oczy, poszli do sali, w której dostali coś do jedzenia: jakiś chleb z odrobiną tłuszczu i coś ciepłego do picia, co miało chyba imitować herbatę. O wpół do szóstej wszyscy stali już przy swoich warsztatach i maszynach. W większości kończyli to, co zaczęli poprzedniego dnia, więc nie musieli dostawać nowych wskazówek.

Ślusarz snuł się po sali beczynnym. Zorientował się, że jeden z pracowników jest tu chyba majstrem, bo doglądał pracy innych i coś im tłumaczył.

- Jestem Jan Frelek - przedstawił się. - Nowy tutaj. Ślusarz. No, czemu pan tak patrzy?

- Bo ma pan prawie to samo nazwisko, co nasz szwabski komendant. Tylko on jest Frelke.

- Może to volksdeutsch, że ma polskie nazwisko? - obruszył się majster. - Ja jestem Polak od pokoleń. Ojciec mieszkał w zaborze niemieckim, gdzieś nad morzem, ale jak Polska nastała, przeprowadził się do niej. I ja się już wychowałem w Warszawie. Podobno ktoś w dalszej rodzinie

185

się już dawno zniemczył, ale my jesteśmy Polacy z dziada pradziada. Przywieźli mnie wczoraj. Co ja mam tu robić?

- Przyjdzie inżynier, to powie. Powinien już być.

- Pan tu jest majstrem?

- Niby tak. Maciej Kowal - podał rękę Janowi. - Kowal, ale elektryk. Mówię po niemiecku, to mnie zrobili majstrem, bo się ze mną inżynier może dogadać. O, właśnie idzie inżynier.

- To jest ten nowy ślusarz, panie inżynierze.

- A, świetnie. Trzeba mu tu urządzić warsztat. Znajdźcie jakieś wolne miejsce, weźcie kilku ludzi, rozpakujcie wagon i ustawcie wszystko. Do południa powinno być gotowe, mam już dla niego robotę.

- Tak jest, panie inżynierze.

- Cieszcie się - zwrócił się Weyhoffen do ślusarza; potem Kowal przetłumaczył mu to na polski - że trafiliście do nas, a nie do obozu. Przeżyjecie nie gorzej niż w swoim mieście.

„A ciekawe, jak w moim mieście przeżyje rodzina...” - pomyślał majster. Ale cóż było robić. Zabrał się z nowymi kolegami do rozpakowywania wagonu.

W jednym z kątów hali byłego tartaku niemal dokładnie zrekonstruowano warszawski warsztat Jana Frelka. Zaraz zabrał się do roboty. Miał dorobić kilkanaście elementów zupełnie wprawdzie różnych od tego, który dostał na próbę w Warszawie, ale tak samo trudnych. Przez cały dzień dorobił cztery sztuki. Bardzo zmęczony poszedł do baraku.

- Nowy, skąd jesteś? - szepnął sąsiad z pryczy.

- Z Warszawy.

186

- Ale skąd z Warszawy?

- Z Woli.

- Ja z Powiśla. Kiedy cię zabrali?

- Wczoraj rano. A ciebie?

- Jak wszystkich poza tobą. Jesienią zeszłego roku. Co się dzieje na świecie od tego czasu? Szkopy ciągle idą naprzód?

Do ślusarza dopiero teraz dotarło, że robotnicy nie mieli tu żadnych informacji od czasu, gdy Niemcy zwyciężyły na wszystkich frontach. Jeśli nawet głoszące te słowa plakaty Polacy poprawiali, zmieniając się na leigt, rację miała propaganda. Ale tymczasem sporo się zmieniło. To już nie była jesień 1942, to

była wiosna 1943.

- Więc tak. Warszawa wygląda tak samo szaro i smutno. Szkopy się panoszą wszędzie. Ale już im miny trochę zred-ły. Armia sowiecka nie tylko przestała uciekać, ale przeciwnie, atakuje teraz i ściga Niemców. Do Anglii się Szwabom wejść nie udało. Anglicy i Amerykanie wprawdzie też do Francji wejść nie mogą, ale za to bombardują co się da. Co noc tysiące szkopów, fabryki, miasta, koleje - wszystko idzie z dymem. A ostatnio słyszałem, że Anglicy ich pobili gdzieś w Afryce. Ale gdzie dokładnie, to nie wiem. Kto tam się zna na tych dzikich krajach.

- To co, przegrają tę wojnę?

- Przegrać to pewnie i przegrają, ale ilu w Polsce tego dożyje?

Następnego dnia, i we wszystkie następne dni przez ponad rok, majster pracował od wpół do szóstej rano do ósmej wieczorem, z półgodzinną przerwą na posiłek zwany

187

szumnie obiadem. Weyhoffen przychodził czasami z rysunkami technicznymi albo starymi wersjami urządzeń, pokazywał coś i wyjaśniał. Kował robił za tłumacza, co było coraz mniej potrzebne. Jan łatwo się uczył, a niemiecki okazał się zadziwiająco podobny do polskiego. W końcu łatwo zrozumieć, że Schraube to śruba, Stahl - stal, Gewinde - gwint, a Mutter - muterka.

Zaczęło się lato. Łatwiej było wstawać o piątej, gdy słońce już świeciło. W warsztacie nie marży już ręce. Majster wyrabiał kolejne elementy. Poprosiłby o pomocnika, ale bał się, że zamiast wyznaczyć kogoś z kolegów, porwą znowu Bogu ducha winnego człowieka. A poza tym - chyba nie należy

lepiej pracować?

„Oni tu pewnie konstruuja jakąś nową broń, którą będą zabijać Polaków, a ja im w tym pomagam. To co, mam się raczej sam dać zabić? Mogę pracować trochę wolniej i trochę gorzej, ale jak zacznę całkiem partaczyć, to mnie rozwalą i złapią kogoś nowego”. Starał się więc czasem coś wykrzywić, czasem zmienić rozmiar. Ale wtedy przychodził wściekły Weyhoffen:

- To jest źle! Nie po to was tutaj ściągnałem i uratowałem od obozu, żebyście mi partaczyli!

Doskonale rozumiał, że Weyhoffen sam kazał go wywieźć i od obozu go nie uratował. Ale jeszcze lepiej rozumiał, że słowo „obóz” nie padało przypadkowo: jeśli nie będzie dobrze pracował, może tam łatwo trafić.

Mógł się zorientować, co robi, bo uczestniczył w osta-tecznym montażu torped. Mimo że sam pracował już

188

solidnie, ciągle coś w nich nie grało. Wybuchaly tuż po starcie albo wcale nie startowały. „Zdązycie tę wojnę przegrać, zanim coś zbudujecie” - pocieszał się ślusarz.

Z pewnością doktor i inżynier przeżywali każdy nowy pomysł i każde nowe doświadczenie; dla Polaków każdy dzień był podobny do poprzednich. Robili jakieś dziwne torpedy, zawozili je nad jeziorko i odpalali, po czym doktor i inżynier spisywali wyniki pomiarów, a Polacy wracali do hali i wykonywali nadal tę samą pracę.

Od rytmu badań znacznie ważniejszy był rytm pór roku. Gdy nadeszła zima, znowu trzeba było i wstawać, i kłaść się spać po ciemku. Żelazne kozy ustawione w kątach baraku dawały sporo ciepła, które jednak łatwo uciekało przez nieszczelne ściany, drzwi i okna. Gdy dwóch robotników zmarło na zapalenie płuc, pozostali dostali cieplejsze koce.

Potem znowu wiosna, znowu było lżej. Czasem po cichu spekulowali o sytuacji na świecie. Ale nie mieli właściwie żadnych informacji. Ktoś podsłuchał urywek rozmowy dwóch Niemców, którzy mieli dostęp co najwyżej do niemieckich gazet; co prawda niewiele zrozumiał, ale... Ktoś widział jakiś strzępek gazety sprzed dwóch miesięcy użyty przez niefrasobliwego jak zwykle Weyhoffena do zapakowania elementu torpedy, więc wieczorem pokazał go znającemu niemiecki koledze.

- Kilometrebilanz der Sudfront. Znaczy: Bilans kilometrów frontu południowego.

- Co to jest front południowy? Afryka?

- Poczekaj, czytamy dalej.

189

- Amerykańska 5. armia ruszyła 5 grudnia 1943, brytyjska 8. armia 28 listopada do ataku. Celem ataku było zdobycie Rzymu najpóźniej na Boże Narodzenie 1943.

- Rzymu? To oni są we Włoszech!

- Dalej coś piszą, że się cofnęli Amerykanie o 4,5 km, a Anglicy o 17 km.

- No dobrze, ale gdzie oni są?

- Tego nie piszą. Ale popatrz, tu jest mapka. Oni są 150 kilometrów od Rzymu!

- O Jezu! Zdobyli kawał Włoch! A co tu jest z drugiej

strony?

- Nie całkiem rozumiem. Ale chodzi o to, że Niemcy zwyciężają Rosjan pod jakimś Shitomir - robotnik przeczytał to po polsku, s-h-itomir. - Gdzie to może być?

- Shitomir? Nie mam pojęcia? Gdzieś na Syberii? Jan podszedł do kolegów.

- Ostatnio byli pod Stalingradem, nad Wołgą. A jak się nazywa to, co mówisz?

- Shitomir.

- Oni to pewnie czytają Żitomir - zastanowił się cieśla Stasiuk, po czym aż klasnął dłońmi w kolana. - Ech, to chyba jest po szwabsku Żytomierz. Ukraina. Tuż nad polską granicą. Dawniej to w ogóle była Polska.

- To jak oni idą naprzód, skoro tyle się już wycofali?!

- Szkopy zawsze kłamią. Jak się przesunęli cztery kilometry naprzód, to o tym trąbią, a że się wcześniej cofnęli

pięćset, nie napiszą.

- Mamy szansę. Przeczekajmy jeszcze parę miesięcy, przyjdą bolszewicy i szkopów przegonią.

190

Wiadomości szeptane z pryczy na pryczę zrobiły z tego wieczoru prawdziwe święto. Redaktorzy czołowego nazistowskiego tygodnika „Das Reich” nigdy by nie zgadli, jak bardzo ich propaganda mogła dodać ducha - ale nie Niemcom, lecz ich wrogom.

Potem znowu każdy dzień był podobny do poprzedniego i nic nie wskazywało, aby akurat 5 czerwca 1944 roku miał być wyjątkiem. Coś dziwnego zaczęło się dziać dopiero po południu. Kapitan Frelke, komendant, chodził po hali i patrzył, jak przebiegają prace. Nagle wbiegł porucznik Sander, jego zastępca, i pokazał mu jakąś kartkę. Obaj szybkim krokiem wyszli do murowanego domku, w którym mieszkali i pracowali. Tymczasem na bocznicę zaczął manewrować parowóz i pod samą halę przyjechał pusty wagon.

- Wszyscy zbiórka! - rozkazał Sander, gdy tylko wszedł do hali. Bardzo rzadko odrywał robotników od pracy; z tym większym pośpiechem wstali i ustawili się w dwuszeregu.

- Nasza jednostka zostanie przeniesiona w inne miejsce. Należy spakować cały sprzęt do dwóch wagonów. Na razie nie rozbierać zmontowanego układu, zrobimy to na końcu. Ale wszystko pozostałe musi się zmieścić. Odpowiedzialny jest Kowal. Do północy ma to być zrobione.

I było. Robotnicy wrócili więc do baraku zmęczeni jeszcze bardziej niż zwykle. Ale trudno było im zasnąć.

- Gdzie nas teraz wywożą?

- Pewnie jeszcze dalej.

191

- Może tu już Sowieci mają wkroczyć?

- A może się zorientowali, że nic im nie wychodzi, i zamykają ten interes?

- Wtedy nas puszczą wolno?

- Chyba prosto do nieba...

W oknach budynku Niemców przez całą noc paliło się światło.

Rano wstali jak zwykle o piątej. Zjedli tak zwane śniadanie, po czym spakowali do wagonów układ doświadczalny, który już wolno było rozmontować. Wynieśli także najważniejsze rzeczy z domu komendanta. Około dziesiątej dwa wagony były pełne. W jednostce pozostawał nieźle umeblowany dom i barak pełen prycz. Polną drogą od strony Stolp przyjechała ciężarówka. Z szoferki wysiadł oficer SS, spod plandeki wysypało się kilkunastu niższej rangi esesmanów. Hauptsturmführer i kapitan przywitani się, zamienili kilka zdań, po czym esesman podpisał jakiś dokument. Kilkunastu żołnierzy Wehrmachtu, którzy do tej pory pełnili służbę wartowniczą w jednostce, wsiadło do wagonu. Razem z nimi Frelke, Sander, Weyhoffen i Adler. Lokomotywa zagwizdała raczej na zasadzie Ordnung muß sein, bo nie było w pobliżu nikogo, kogo obchodziłby ten sygnał. Pociąg wytoczył się powoli i pojechał w stronę stacji węzłowej Schwarzenberg.

- Kto tu mówi po niemiecku? - zapytał tymczasem Hauptsturmführer robotników stojących ciągle w dwuszeregu, tak jak stanęli na rozkaz Frelkego.

192

- Ja - zgłosił się Kowal, na którego i tak wszyscy popatrzyli.

- Przetłumaczcie. Zostaliście tutaj, żeby dokończyć likwidacji jednostki. Biercie łopaty i wykopcie dół, w którym potem zakopiecie niepotrzebne przedmioty.

Ta przemowa była naprawdę niepotrzebna. Wszyscy wiedzieli, po co kopią.

5. Sieć

Ktoś niezorientowany, szukając noclegu w północnych Niemczech, mógłby, klikając link w wyszukiwarce, trafić na stronę: [bttD://www.stolp.de/Info-Archiv/info-archiv.html](http://www.stolp.de/Info-Archiv/info-archiv.html). Tam dowiedziałby się, że w mieście Stolp do wyboru ma Hotel de Prusse na Lange Str. 62, hotel Munds przy Rynku, hotel Bismarcks przy dworcu kolejowym i siedem innych hoteli, tudzież dwadzieścia siedem zajazdów. Jest się także gdzie posilić - samych restauracji trzynaście, a do tego dochodzą inne lokale. Winiarnie, piwiarnie, szynki idąw dziesiątki.

Dopiero informacja, że z dworca kolejowego do hotelu najlepiej dojechać omnibusem, pozwala się zorientować, że strona opisuje nie stan obecny, ale rok 1880. Gdy wejdziemy wyżej, możemy zapoznać się z historią miasta i dowiedzieć, że obecnie nazywa się ono Słupsk i należy do Polski. Najnowszą historię reprezentują dwa zdjęcia. Pierwsze to budynek Telekomunikacji, nowoczesny, przeszklony, ale jakoś nawiązujący do tradycji brązowymi ścianami i pochyłym dachem. Drugie to dWoi/tic kolejowy.

Z pewnością najbardziej charakterystyczne dla całego okresu powojennego byłyby szare betonowe bloki, ale chyba nie tylko z powodu wrażliwości estetycznej webmajstra nie znalazły się one na tej stronie. Autorzy wiedzieli, że historia miasta Stolp nie zatrzymała się ani na 1945, ani na 1989 roku.

Ale na stronie miasta Stolp nie ma linku do strony miasta Słupska.

Strona www.slupsk.pl to duża powierzchnia pokryta dziesięcio-punktowym pismem, którego każde dwa-trzy słowa to łącze w głąb. Urzędy państwowe i samorządowe, służba zdrowia, edukacja, kultura, zamówienia publiczne, informacja turystyczna. Także hotele i restauracje - choć wybór jest skromniejszy niż w 1880 roku.

Miasto Słupsk ma i swoją historię. Składa się ona z dwóch części. Pierwsza z nich obejmuje okres od ósmego wieku do końca drugiej wojny światowej, druga - dalsze dzieje. Ani poddanie miasta królowi duńskiemu, ani przynależność do Hanzy, ani wojna siedmioletnia, ani czasy napoleońskie - nic nie stanowi granicy tak ważnej jak rok 1945.

Na stronie miasta Słupska nie ma linku do strony miasta Stolp.

Michał Dziwok

Autor jest studentem III roku historii na Uniwersytecie Gdańskim.

194

Rozdział 4

NA ZACHÓD

Na zachód - kłamstwo-wiedzy i błyskotność, Formalizm prawdy - wewnętrzna bez-istotność, A pycha pych!

na zachodzie już noc

wciągasz głowę pod koc

raz zasypiasz i sprawa jest czysta

dłonie zapleć i złóż

nie obudzisz się już

lecz przynajmniej raz możesz się wyspać

1. Trzeci przepust

W piątek Michał obudził się z bólem głowy. Chyba nie po tych dwóch małych piwach. „Diabli nadali tę dziewczynę. A ja mogłem... Właściwie nic nie mogłem, sama przyszła, miałem uciec?”. Starał się nie myśleć o Indze, więc w miarę szybko wybrał się na dalsze poszukiwania.

Dzięki drodze wskazanej przez Mopsa i jego panią tym razem szybko dotarł do trzeciego przepustu.

Rower stanął oparty o drzewo, w sakwie czekał wykrywacz metalu kupiony przed kilku laty od Rosjan na targu przez jego młodszego brata. Była to właściwie zabawka „Mały saper”, ale jakości zupełnie przyzwoitej. Lepsze to niż nic - gdyby nie poskutkowało, można próbować znaleźć coś lepszego i przyjechać we wrześniu. Ten skarb czekał prawie sześćdziesiąt lat, poczeka jeszcze trochę. A pewnie i tak

go nie ma.

Zamiast od razu zacząć systematyczne poszukiwania, Michał postanowił najpierw sprawdzić miejsca, które hitlerowiec mógł uznać za szczególnie charakterystyczne. Może

199

pod drzewem? Informacja, że coś jest zakopane w lesie pod drzewem, jest dość mało szczegółowa. Ale przecież wtedy nie było tutaj lasu. Trzeba więc wziąć pod uwagę drzewa mające co najmniej siedemdziesiąt lat - pod jakąś sadzonką przecież by nie kopał.

Michał wyjął z sakwy pogniecioną kserówkę z tabelą podpisaną „Przeciętne pierśnice drzew liściastych w zależności od wieku”. Pierśnica to obwód drzewa na wysokości 130 centymetrów, czyli na wysokości piersi gajowego. Choć od czasu wprowadzenia tego pojęcia wzrost przeciętnego gajowego nieco się zwiększył, nazwa została.

Zwykle pierśnice mierzy się po to, aby wyznaczyć objętość drzewa, a więc i drewna, które można z niego uzyskać. Zależność nie jest prosta: objętość nie jest proporcjonalna ani do kwadratu, ani do sześciangu pierśnicy, ale do jakiejś pośredniej ułamkowej potęgi „drugiej z hakiem”. Referat na ten temat wygłaszał kiedyś wybitny matematyk Hugo Steinhaus przed wrocławskimi uczonymi, a za jego przykładem, pół wieku później, koleżanka Michała, Kasia, przed klasą, na lekcji o logarytmach.

Michał nie zamierzał pozyskiwać drewna, pierśnica służyła mu do oszacowania wieku drzew. Znalazł kilku kandydatów, ale część z nich musiała wyrosnąć już po wojnie, tyle że przed zalesieniem terenu sosnami. Zostało pięć przedwojennych drzew. W ich otoczeniu było sporo metalowych przedmiotów wykrywanych przez „Małego sapera”, ale wszystko to były śmieci.

„Może siedem kroków na północ, pięć na wschód? Albo siedem na zachód, pięć na południe? Takich możliwości

200

będzie w sumie... cztery razy dwa - osiem. Razy pięć drzew - to już czterdzieści. A zamiast daty zakopania mógł wziąć datę urodzenia swoją albo żony... nie, żony nie miał. Tak czy inaczej, równie dobrze można przeszukiwać cały teren. Zobaczmy najpierw te dwa kamienie...”.

Ale i głazy nie kryły - przynajmniej w bezpośrednim otoczeniu - oczekiwanego skarbu. „Spróbujmy tą samą metodą z drugiej strony, a jak się nie uda, to trzeba będzie metr po metrze”.

Chłopak schował sprzęt do sakwy. Przymierzył się z rowerem do niewielkiego światła przepustu, stwierdził, że łatwiej przejść górą, wciągnął rower na nasyp i zsunął się wraz z nim z drugiej strony. Tu zupełnie nieoczekiwanie usłyszał:

- Cześć.

- Cześć, Ingo - dodał najpierw radośnie, ale patrząc w oczy dziewczyny, nie umiał udawać, że wszystko

jest w porządku. Zwłaszcza, gdy zobaczył, co trzyma w ręku.

- Widzę, że masz ciekawą mapę - stwierdził ironicznie.

- Taką samą, jaką ty miałeś wczoraj ze sobą. Przykro mi, że oszukiwałeś mnie przez te cztery dni. Po prostu bardzo mi przykro.

- Mnie też. Ale ty oszukiwałaś mnie w ten sam sposób.

- Jest subtelna różnica - Inga oparła się o drzewo, bo wyraźnie nie miała co zrobić z rękoma, które wrywały się, żeby pobić tego sukinsyna. - Wybrałeś się tu, żeby zrabować nasze rodzinne pamiątki. A ja jestem jedynym spadkobiercą wuja Wilhelma i chcę je po prostu odnaleźć.

201

„A może naprawdę nie wiedziała, że ten skarb był zrabowany?” - przemknęło mu przez głowę. Starał się więc mówić spokojnie.

- Dobrze, wyjaśnijmy wszystko po kolei. Twoim wujem, tym zabitym przez aliantów, był kapitan Wilhelm Friedrich Frelke, komendant fabryki, na której terenie się znajdujemy. Kapitan coś tutaj ukrył, żeby po wojnie odzyskać. Ty teraz też chcesz to odzyskać.

- Tak. A teraz powiedz, skąd to wiesz - Inga chyba też chciała i umiała porozmawiać.

- Może twój wuj nie był odpowiednio ostrożny? Ktoś mógł podpatrzeć.

- Kto? - zapytała wściekła, że słyszy pytania zamiast wyjaśnień. - Przecież robotników kazał rozstrzelać.

- Nie zapominaj, że mój dziadek też był żołnierzem Wehrmachtu.

- OK. Dowiedziałeś się od dziadka i przyszedłeś wykopać skarb. Mogłeś sądzić, że nikt się nim nie interesuje. Ale kiedy mnie spotkałeś, powinieneś być zaofiarować pomoc w odzyskaniu naszych rodzinnych pamiątek.

- To może ustalmy, co zakopał twój wuj.

- No, mówię, że rodzinne pamiątki. Kiedy moja babcia w 1944 roku wyjechała do Berlina, musiała pożyczyć pieniądze. Wuj zostawił jej swoją kolekcję starych monet, żeby oddała je w zastaw. Nie były chyba bardzo cenne, nie znam się na tym, ale widać wystarczającą wartość miały. Wuj potem wykupił monety, ale że nie miał jak ich bezpiecznie przewieźć, ukrył je tutaj i przekazał tylko dziadkowi wiadomość.

202

- A ja wiem co innego. 4 maja 1944 roku kapitan Frelke pojechał na jeden dzień do Gdyni. Odwiedził tam doktora Mokrzyckiego, lekarza, a z zamiłowania historyka i numizmatyka. Znał Mokrzyckiego sprzed wojny i nawet chciał od niego kupić kilka starych monet. Chodziło między innymi o rzymskiego denara.

W 1944 roku już nie musiał kupować. Przyszedł i - nazwijmy to - zarekwirował.

- To nieprawda.

- Dlaczego? Jak mówiłaś, zawsze w czasie wojny zdobywało się łupy. W prokuraturze są akta sprawy, która została umorzona z powodu śmierci podejrzanego. Niepodważalnych dowodów rzeczywiście nie było, ale zeznania świadków - i owszem. Sprawdziłem, wuj zakopywał pudełko trzy dni po domniemanej wizycie w Gdyni.

- Odpieprz się. Odpieprz się ode mnie, od mojej rodziny i od mojego Pomorza.

Minęły trzy bardzo długie sekundy.

- Michał! Gdzie idziesz? Możemy się chyba dogadać.

- Tak sądzisz?

- Ten doktor zostawił chyba listę zrabowanych monet.

- Oczywiście. Wszystko jest w aktach.

- My też gdzieś pewnie mamy spis, wuj był skrupulatny.

,- Jest takie powiedzenie po polsku: dzielić skórę na niedźwiedziu - powiedział Michał, uśmiechając się przez łzy. - Pewnie i tak nic nie znajdziemy.

203

Na dwa wykrywacze praca szła sprawniej. Centymetr za centymetrem przeszukiwali teren.

- Popatrz - emocjonowała się Inga. - Tu coś jest! Zaraz

pod ziemią.

Michał sięgnął po małą łopatkę, niewiele większą od tych, którymi dzieci bawią się w piasku. Skoro skarb jest płytko, nie trzeba saperki. Metal zachrzęścił o metal. Serca zażyły mocniej. Po chwili niecierpliwym oczom ukazała się duża stalowa śruba.

- Koło torów będzie tego badziewia od cholery - mruknął Michał po polsku, bo mimo doskonałej znajomości niemieckiego nie wiedział, jak jest „badziewie” i „od cholery”. - Przy torach będzie tego dużo - przetłumaczył dziewczynie.

Szukali dalej. Następnym znaleziskiem była aluminiowa puszka po konserwach. Michał wykopał też odpustowy pierścioneł, a Inga dwa guziki. Gdyby mieli po osiem lat, pewnie byłiby dumni z takich znalezisk.

- Przypomniałeś sobie coś śmiesznego? - zapytała Inga, widząc uśmiezek na twarzy chłopaka.

- Tak, jak w wieku ośmiu lat szukałem złota.

- Gdzie? - zainteresowała się dziewczyna. Nie zdziwiła się, w końcu to zupełnie normalne, żeby w wieku ośmiu lat szukać złota. Na pewno bardziej normalne niż szukanie skarbów w wieku lat dwudziestu pięciu. Ale zainteresowała się naprawdę.

- Pod ławką na moim osiedlu - odpowiedział Michał takim tonem, jakby była to rzecz najbardziej naturalna na

204

świecie. I w pewnym sensie była: gdzie niby ośmiolatek z betonowego miasta miałby tego złota szukać?

- I znalazłeś?

- A skąd!

Szkoła podstawowa, do której chodził Michał, ozdobiona była wielkim odlewem smętnej twarzy patrona i równie smętnym napisem „Szkoła im. Marcelego Nowotki”. Chłopak zastanawiał się kiedyś, do kogo odnosi się użyty w tym napisie zaimek, ale szybko doszedł do wniosku, że „im” oznacza tutaj „uczniom”, bo to przecież szkoła jest dla uczniów. Po drugiej stronie ulicy Bukowej stały - i stoją nadal - dwa identyczne bloki. Na podwórku między nimi, pod nieco połamaną ławką, dwaj koledzy Michała, Lucek i Marcin, ryli w ziemi, czym się dało: ostrymi kamieniami, kawałkami szkła i - przede wszystkim - własnymi dłońmi. Ziemia była strasznie twarda, a oni nie mieli nawet łopatek do piasku.

Michał podszedł zainteresowany. Z pewnością pracowali z własnej inicjatywy, bo tak surowej kary nikt by nie wymyślił. Nawet pani Bzunia, relikw dawnych czasów, bijąca uczniów linijką, nie posunęłaby się do podobnego okrucieństwa.

- Co robicie?

- Pod tą ławką jest złoto - odpowiedział rzeczowo Lucek - właśnie je wykopujemy.

- Mogę kopać z wami? - z nadzieją w głosie zapytał Michał.

- Dobrze - zgodził się uprzejmie Lucek. - Ale dostaniesz mniejszą część, bo my już kopimy od godziny. Jeśli na

205

przykład będą trzy złote bryły różnej wielkości, to ja wezmę największą, bo po pierwsze to ja wiedziałem, że złoto tutaj jest, a po drugie kopię najdłużej. Marcin dostanie średnią, a ty najmniejszą, bo dołączyłeś jako ostatni.

Mówiąc to, pokazał w powietrzu trzy kule. Pierwsza miała wielkość piłki do koszykówki, druga i trzecia

były coraz mniejsze. Michał naturalnie jeszcze nie wiedział, że dwukrotnie mniejsza średnica oznacza ośmiokrotnie mniejszą masę. A gdyby nawet wiedział, to przecież kula złota kilkunastocentymetrowej średnicy i tak była atrakcyjną nagrodą za godzinę czy dwie wysiłku.

Włączył się do pracy. Po kilkunastu minutach i jego bolały ręce, paznokcie się łamały. O ich umyciu lepiej było nawet nie myśleć i, rzeczywiście, nie myślał, bo nie jest to rzecz, o której myśli ośmioletni chłopiec. Tymczasem dziura w ziemi powiększyła się tylko nieznacznie. Marcin coś mówił o rezygnacji, ale Lucek szybko ucinął defetyzm:

- Pomyślcie, jaka by to była szkoda, gdybyśmy tyle pracowali i zrezygnowali, a złoto było tylko centymetr głębiej...

Pomyśleli i kopali dalej. Lucek miał duży autorytet. Jego dziadek był maszynistą, a przy tym mężczyzną tak silnym, że własnoręcznie przenosił parowozy przez uszkodzone w czasie wojny tory. Michał wspomniał mu kiedyś, że jego dziadek też był maszynistą, ale nie rozwijał tego tematu.

- W końcu musieliśmy zrezygnować, żeby nie mieć awantury w domu. Byłem przecież mały, nie mogłem się-

dzieć do późnej nocy.

- Miałeś dobre kontakty z kolegami?

- Wtedy jeszcze tak. Przyjaźniłem się z najgorszymi łobuzami w klasie. Może dlatego, że strasznie nudziło mi się w tej szkole, w której miałem udawać, że przez trzy lata uczyć się pisać i czytać. A może dlatego, żeby nie czuć się innym niż koledzy.

- A czułeś się inny?

- Potem już tak. Kiedy miałem czternaście-piętnaście lat, wiedziałem, że interesuję się zupełnie czym innym niż większość chłopców, że myślę inaczej. Ja, kiedy kogoś poznawałem, po pierwsze chciałem się dowiedzieć, czym on się interesuje. A dla wielu kolegów pierwszą ważną informacją było, kogo on pobije. To chyba normalne u zwierząt, prawda? Trzeba ustalić hierarchię w grupie na podstawie siły fizycznej.

Przyrodniczka tylko pokiwała głową.

- Nie jest to może politycznie poprawne, ale przynajmniej pod tym względem różniłem się od nich bardziej niż oni od innych kręgowców.

Inga roześmiała się.

- Moi rodzice nazwaliby cię za coś takiego faszystą, nazistą i biskupem.

- Dlaczego biskupem?

- Po pierwsze trzy określenia brzmią lepiej niż dwa. Po drugie w pierwszych dwóch nie została wyrażona

pogarda dla religii. Ale przecież nie twierdzisz, że ludzie są bardziej lub mniej zwierzęcy z powodu narodowości, koloru skóry albo wyznania.

206

207

- Tylko z powodu zwierzęcych zachowań. W każdym razie w liceum miałem już towarzystwo, w którym hierarchii nie ustalało się przez rytualne walki samców. Nawet o samice rywalizowaliśmy w bardziej wyszukany sposób.

- Ja dobre towarzystwo znalazłam dopiero na studiach i aż się dziwię, że to nie było za późno. Przez całą szkołę zadawałam się z dziewczyskami na poziomie samicy pawia, która ocenia partnera tylko po ogonie... to znaczy - spłoszyła się - chodzi mi o „ogon”, symbol zewnętrznego wyglądu.

„Rozmawiamy o dzieciństwie” - zauważył dopiero teraz Michał. A więc stało się, nawiązali kontakt intymny. Seks oczywiście jest okazaniem miłości, owszem, tak, ale przecież przyjemnie przespać się także z kimś, kogo się tylko lubi. Natomiast rozmowy o dzieciństwie to co innego, nie opowiada się o tym przygodnym znajomym.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko szelest deptanych roślin, czasem pisk detektora, potem chrzęst łopatk i wreszcie głuchy stukot wyrzucanej śruby czy puszki.

- Harujemy tu już dwie godziny... - jęknęła Inga.

- I jeszcze poharujemy. Ty pewnie nigdy nie byłaś na wykopaliskach, to nie wiesz, jaka to jest żmudna robota.

- A ty byłeś?

- Tak, w liceum należałem do klubu... poczekaj... znowu pewnie jakieś śmieci.

Od niechcenia wziął saperkę i rozgarnął ziemię. Sygnał był dość mocny. Po kilku ruchach łopatk uderzyła

w większy kawałek metalu. W pośpiechu Michał wygrzebał spory przedmiot.

- Pudełko metalowe o wymiarach dłoń na dłoń na kilka centymetrów... - wyszeptał. - Chyba to jest to. Jeszcze można odczytać napis: Pralinen.

Z boku pudełka biegł napis wykaligrafowany ślicznie różowiułtkimi literkami, otoczony różyczkami, a każdy pła-teczek każdej różyczki był maleńkim dziełkiem sztuczki. Napis głosił:

Zu lieben und geliebt zu werden Ist das grösste Glück auf Erden.

Na drugim boku również umieszczono napis w girlandzie róż; nieco dłuższy, bo też był to dłuższy bok pudełka:

Ich wünsche, was mein Herz laut spricht: Leb glücklich und verzage nicht.

Na trzecim boku...

- Daj - Inga wyszarpnęła znalezisko. - Potem sobie obejrzysz pudełko.

- Uwważaj! Nie wysypuj. Trzeba delikatnie. W tym piasku coś pewnie jest.

Dmuchając i strącając piasek opuszkami palców, Michał usuwał go z pudełka. Nagle oczy mu rozbłysły.

- Popatrz: tam jest moneta. Delikatnie, to może być zabytek!

Ujął pieniążek między dwa palce, żeby dotykać tylko brzegu i nie zanieczyszczać swoim kwaśnym potem awersu

208

209

ani rewersu. Tak go uczyli na praktykach w muzeum. I zaklął siarczyście po polsku.

- Co jest krzywe? - nie zrozumiała Inga.

- Nic, nic. To jeden złoty. Rzeczpospolita Polska, 1949. Takie monety bili nawet po zmianie nazwy państwa na Polska Rzeczpospolita Ludowa w 1952 roku. Propaganda ustępowała wobec manii tajności. Bo gdyby bili z nową datą i nowym napisem, szpiedzy CIA mogliby metodami rachunku prawdopodobo... - przerwał nagle, zgromiony wściekłym spojrzeniem osoby całkowicie niezainteresowanej historią numizmatyki lat stalinowskich. - Chciałem tylko wyjaśnić, dlaczego ta moneta jest tak pospolita i niewiele warta. A w całym pudełku nic więcej nie ma. Najwyraźniej nie byliśmy pierwsi. Jak widać, ktoś sobie poradził bez angielskiej mapy.

- Chyba że miał do niej dostęp wcześniej.

- Ale skąd miałby wiedzieć, czego szukać?

- Może wydobyli to od wuja na torturach.

- No nie, Anglicy raczej nie torturowali jeńców. Uwierz mi, między stronami tej wojny były pewne różnice. Ale może wydobyli podstępem. Wyobrażam sobie, że wuj przekupuje Anglika, ofiarowując mapę do skarbu za wolność. Ten łapówkę przyjmuje, ale na wszelki wypadek nie pomaga. Już w latach siedemdziesiątych taki Anglik mógł tu przyjechać legalnie i, nie budząc podejrzeń, wywieźć skarb twojego wuja do domu. Teraz, przyjmując nobliwych gości, pokazuje denary, którymi rzymscy wodzowie płacili trybut jego przodkowi, królowi Brytów.

Jeszcze żadne niepowodzenie nie dało Michałowi tyle radości, co kłapa rocznych poszukiwań skarbu.

Inga chyba myślała podobnie. Na chwilę zapadła cisza. Przerwała ją dziewczyna, bo Michał, wbrew powszechnej opinii, naprawdę był trochę nieśmiały. I choć wszystko wydawało się jasne, musiała zapytać

pokrętnie:

- A więc przyjechaliśmy tu zupełnie niepotrzebnie?

- Jeśli tak uważasz, to tak zapewne jest. Uśmiechnęła się niepewnie. „Trzeba się zdeklarować?

A niech tam, przecież nie mam wątpliwości. No, wreszcie mnie przytuliłeś. Spociałeś się przy tym kopaniu. Ale lubię twój zapach”.

- Chyba tak nie uważam - szepnęła.

„No, powiedz coś, dlaczego ja mam ciągle być pierw-sza.

- Cieszę się, że cię poznałem.

- Już nie jesteśmy przeciwnikami, prawda, Michale?

- Nie jesteśmy, Ingo. „No, powiedz coś jeszcze”.

- A jednak znalazłem skarb.

Dziewczyna była miękka i pachniała ciepłą Ingą.

To miejsce nie widziało takiego piękna od sześćdziesięciu lat, odkąd ostatni raz pędził tędy parowóz StKB 43. Był to hohenzollern z 1906 roku. Przeżył obie wojny, od 1945 nazywał się Tki 100-15 i służył na PKP aż do połowy 1969 roku.

Lokomotywa szła równo, napędzana sprężoną do kilkunastu atmosfer parą. Ta para miała by dość energii, żeby

210

211

zamienić pociąg w kupę stygnącego żelastwa. Ale przepuszczona przez przegrzewacz i skrzynie suwakowe do cylindrów poruszała składem płynnie i delikatnie. Tłok przesuwiał się do końca cylindra - ale ani milimetr dalej od wyznaczonej pozycji, bo w odpowiednim momencie zawór przełączał się i para naciskała tłok z przeciwnej strony. Korbowody popychały koła, które kręciły się równo, stukając na złączeniach szyn.

Kto stałby z boku i patrzył, rozumiałby, że piękno jest nie w delikatnej słabości i nie w ślepej sile, ale tam, gdzie potężna siła działa pewnie i delikatnie. Jak w tej maszynie, która dzięki energii ognia i sprężonej pary zamieniała w harmonijną pracę wszystkich elementów. Od potężnych wiąza-rów do kulki najmniejszego łożyska wszystko poruszało się w tym samym rytmie.

Lokomotywa zadudniła na przepuszczce i pognęła dalej, aż do stacji, którą przywitała radosnym sygnałem z całej siły gwizdka, gdzie spuściła nadmiar pary i, sycząc cicho, odpoczywała po jeździe.

- Mmmm... Nie będę ci prawić za dużo komplementów, żebyś się nie rozpuścił. Ale było mi bardzo dobrze. Jak widać, można się obyć bez czerwonego wina, seksownej bielizny i nawet bez długiej gry wstępnej, kiedy się jest z takim mężczyzną.

- Oj, moja dziewczynko... - Michał pogładził ją po nosku. Wygrzewała się i przeciągała jak zadowolona pantera. Pachniała zapachem, który jest bardziej nagi od nagiego

212

213

2. Zaraz wracam

Romantyzm Ingi („Zostańmy tu pod gołym niebem całą noc”) rozbił się o trzeźwe podejście Michała („A czy ty kiedykolwiek spędziłaś noc pod gołym niebem na pięćdziesiątym równoleżniku bez ciepłego ubrania? Czy wiesz, co to znaczy, że nad ranem jest zimno?”). Naturalnie Michał mógł zwinąć namiot i wprowadzić się do dziewczyny.

Obudził się pierwszy - długo właściwie tej nocy nie spał. Pogładził Ingę po nosku, tak jak wczoraj.

- Moja mała Inżunia, pantera mglista.

Inga uśmiechnęła się przez sen. „Jak ja bym to jej przetłumaczył? Mein kleines Incheri Ingcheri*. Mogę sprawdzić, jak się nazywa Neofelis nebulosa, ale czy ona zrozumie, że ten okrutny drapieznik w danym wypadku oznacza przytulne zwierzątko? Gdyby nie powaga Kamasutry, ciężko by mi było uwierzyć, że skóra gładka jak trąba młodego słonia to komplement. Czy ja będę umiał być dla niej taki czuły w jej języku?” Przytulił się i znowu zasnął.

Śniło mu się teraz, że Inga przyniosła mu egzemplarz napisanej przez nich wspólnie książki Znakowanie teryto-

rium u ssaków, wydanej przez PWN w serii „Etologia porównawcza kręgowców”. Na okładce widniały dwa zdjęcia: jedno bardzo znane, przedstawiające żołnierzy polskich stawiających słupy graniczne na Odrze, na drugim zaś, wykonanym specjalnie na tę okazję, widniał kot obsikujący ścianę.

Kiedy Inga się obudziła, Michał był właśnie w łazience. „Ciekawe, jak mnie przywita. Przytuli się? Coś powie? Będzie chciał się jeszcze kochać? Poszedł się kąpać... Może wolałabym, żeby poszedł dopiero potem?”.

Michał wrócił i na powitanie zapytał tonem bardzo rzeczowym:

- Czy zastanawiałaś się, kochanie, nad rolą przypadku albo przeznaczenia? Jak to się stało, że przyjechaliśmy do Czarnej Góry w tym samym czasie?

- To nie jest tak niewiarygodny zbieg okoliczności, jak mogłoby się wydawać. Ani ty, ani ja nic byśmy nie zrobili bez tej mapy. A ona została odtajniona w styczniu. Oboje studiujemy, więc na wyjazd wybraliśmy lato. Jest wreszcie początek sierpnia, a więc też moment, który łatwo zaplanować na coś nowego.

Wreszcie ty lepiej umiesz pracować w terenie z mapą, ale ja mam GPS, więc tempo mieliśmy równe.

- Prozaiczne podejście przyrodniczki - skrzywił się chłopak.

- Ale można się zastanowić nad bardziej zdumiewającymi rzeczami. Jak to się stało, że w ogóle dane nam było się spotkać. Przecież spośród sześciu miliardów ludzi spotykasz tak małą część.

214

215

- Więc jednak mamy wielkie szczęście. I nie zawdzięczamy go Public Record Office.

- Dobra, teraz ja się idę myć.

- Ale najpierw się przytul. Uwielbiam twój zapach.

- Ja też lubię... Oj, kotku, może najpierw coś zjedzmy...

Michał był głodny, ale nie na śniadanie. Objął dziewczynę od tyłu, a potem delikatnie opuszkami palców rysował na jej nagich plecach proste i okrągłe linie; proste i okręgi, najdoskonalsze linie Platona. Kiedy jeszcze zajmował się dla przyjemności matematyką, najbardziej lubił geometrię. W arytmetyce wystarczy trzymać się schematu obliczeń; ale jaka to przyjemność mieć coś, co mogą mieć wszyscy. W geometrii za każdym razem trzeba sztuki, nowych pomysłów, nigdy nie ma pewności, czy się uda.

Zadanie to wspinała zagadka; piękna, ale jej piękno jest zimne; budzi zachwyt, ale i tworzy dystans. Rysując delikatnie kolejne linie i punkty, rozgrzewał ją, oswajał. Sam, początkowo onieśmiałony wobec niedostępnego piękna, stawał się większy, silniejszy, pewniejszy, jego świadomość wyostrzała się, aż widział, że umie poznać rozwiązanie tej zagadki, a ona wiedziała, że chce być rozwiązana. Próbował jej na wiele sposobów, za każdym razem myśląc, że ten już jest najlepszy, że pozwoli osiągnąć cel; potem zmieniał go na inny; inaczej, z innego miejsca, z innej strony; aż nadchodził błysk oświecający wszystko, co było do tej pory; wszystkie chwile, które do niego prowadziły, przeżywał na nowo w jednej chwili; w głowie się kręciło, ale wyostrowiona świadomość obejmowała naraz całe rozwiązanie.

216

A potem, już spokojnie, mógł narysować odpowiednie linie i punkty, aby dokończyć, co zaczął.

Pierwsze słowa Ingi, jeśli mrużenia nie uznamy za słowa, brzmiały:

- Ależ jestem teraz głodna!

- Zdaje się, że nic nie mamy do jedzenia. Pójdę do sklepu.

Ubrał się, wziął pieniądze i plecak. W sklepie była spora kolejka, bo w sobotę dwa inne w okolicy są zamknięte. Choć w sklepie zmieściłoby się więcej osób, znaczna część kobiet stała na zewnątrz i, jak mówią na Śląsku, robiła Reichstag.

Jak to często bywa, ważna sprawa zaczęła się od zupełnego drobiazgu. Tym razem jednak od razu było widać, że to jest ten drobiazg.

- Twój to jeszcze nic! Mój to kiedyś wygrał w totolotka, ale nie chciało mu się pójść po wygraną - z wielkim przejęciem tłumaczyła jedna baba drugiej babie.

Wydawało się, że doskonale czują się w kolejce i muszą wspominać z rozrzewnieniem czasu, gdy sklepów było mniej, kolejki dłuższe, a więc i więcej czasu na życie towarzyskie. Druga baba nie popuściła. To jej mąż miał być najbardziej leniwym chłopem w gminie.

- To jeszcze nic. Pamiętasz, jak w siedemdziesiątym czwartym żołnierze mieli manewry i wysadzili taki mostek, co po nim za Niemca szła kolej? Teraz tam idzie droga na Czarną Górkę. Huk był taki, że nam szyby wyleciały z okien. I mój tego do dzisiaj nie naprawił.

217

„Wszystko jasne. To nie był trzeci przepust. To był czwarty. Ale który wysadzili? Trzeci czy któryś z wcześniejszych? Popatrzmy na mapę”. Michał ciągle jeszcze miał ją w kieszeni. „Wysadzili drugi, więc trzeci to ten, który wydawał się drugim. Musimy tam pojechać. Musimy? Może zrobię Indze niespodziankę? Me zrobię niespodzianki, tylko wyciągnę te monety i oleję dziewczynę. Dlaczego? Podzielę się, ale przynajmniej ja będę górą. Ale ze mnie sukinsyn’.

Po drodze do domu Michał ćwiczył powitanie.

„Cześć, kotku, znajdziemy jednak ten skarb. Dowiedziałem się czegoś w sklepie. Kotku, wybaczone, ale będę musiał zniknąć na kilka godzin. Jest taka sprawa.”.

Wreszcie dotarł i miał okazję wypróbować jedno z powitań.

- Już jestem. Wiesz, jest taka sprawa. Pamiętasz, mówiłem ci, że mam przed sobą jeszcze przykrą rozmowę. To miało być dzisiaj. Wolałbym to mieć z głowy, lepiej będę się czuł. Wytrzymasz beze mnie parę godzin? Muszę wyrwać się do Słupska. Nie chcę tego przekładać. Będzie mi lepiej.

Inga, która otworzyła drzwi, stała jeszcze w pobliżu, podparła się pod boki. „O, zrobiłam to odruchowo. Co to miało znaczyć? Popatrz, jakie mam szerokie biodra; jestem zdrową samicą i mogę ci urodzić dużo zdrowych dzieci, więc traktuj mnie poważnie. No nie, Engel przesadza, wyraźnie przesadza”. Ale położyła dłonie na brzegu stołu, oparła się na nich i odpowiedziała z lekko ukrywanym zniecierpliwieniem:

wieniem:

218

- Jedź, jak musisz. Nawet wolę, żebyś wyraźnie zakończył tego typu historie. Dostyc całowania żabek!

- Pewnie, po co mi żabki, ty od razu wyglądałaś na królową. Ale na razie nie rozmawialiśmy tak poważnie.

- A że kochaliśmy się, to nie było poważnie?

- Ja bym tak sądził, ale skoro na samym wstępie poinformowałeś mnie o kilku swoich facetach, to nie wiem, czy mogę liczyć na coś więcej niż miejsce w tym haremie.

- Z kilkoma facetami to takie gadanie. W każdym razie ty dla mnie nie jesteś wakacyjnym romansem. Wakacyjnych romansów zwykle nie zaczyna się od rozmów na takie tematy.

„Różnie bywało” - pomyślał Michał, ale nie był już tak głupi, żeby to powiedzieć. Stwierdził tylko:

- Chyba po prostu bardzo dobrze się rozumiemy

- No pewnie - uśmiechnęła się Inga. - W końcu oboje jesteśmy Pomorzanami. Jak chcesz jechać, to jedź. Ja sobie pójdę na plażę.

- Jadę. A jutro pokażę ci Szymwałd. Aż się dziwię, że się tam jeszcze nie wybrałaś.

Po śniadaniu wyszedł pędem, żeby zdążyć na autobus 10:50 do Słupska.

„No to na plażę - pomyślała Inga. - W zasadzie nie lubię tak leżeć bez sensu. Wiem! Zbuduję zamek z piasku. Michał poza saperką miał taką małą łopatkę. Gdzie ona jest? Tak, wszystkie narzędzia zostały w sakwach”.

Zeszła do sionki, gdzie stały rowery.

219

- Pojechałeś rozstawać się z poprzednią dziewczyną? - wyszeptła wściekle. - A saperkę to wzięłeś na wypadek, gdyby się nie chciała odczepić?

Autobus rzeczywiście jechał do Słupska. Przecinał jednak byłą linię kolejową niecałe dwa kilometry od stacji Schwarzenberg. Nie miał tam przystanku, kierowca nie chciał się zatrzymać na prośbę pasażera; przeważył dopiero autorytet Mieszka I. Kwadrans szybkiego marszu wystarczył, żeby dojść do drugiego przepustu, który niegdyś był trzecim.

Robota była równie żmudna jak poprzednio. Ale teraz był sam. A nawet gorzej. Był sam ze swoimi wyrzutami sumienia. „Przyjechałem tu przecież po to, żeby to znaleźć. To mogłem się nie zajmować Ingą. Sama chciała. Chyba nie tego, żebym ją oszukiwał. Może wrócę do Rowów? Teraz?...”.

Wyobraził sobie Ingę bawiącą się beztrąsko na plaży, zakochaną, szczęśliwą i zupełnie nieświadomą podłości swojego wybranka. Jak u Cummingsa:

maggie i milly i molly i may

raz poszły na plażę (wesole że hej)

i maggie znalazła tam muszlę, a w muszli śpiew taki, że wszelkie złe myśli z niej uszły

Kopał z wściekłością, przecież nie spodziewał się delikatnych zabytków archeologicznych. Klął mocniej na każdą kolejną puszkę po piwie, śrubę czy starą łyżkę, deptał je, wgniatał w ziemię i znowu klął, płakał i denerwował się.

„To żadna przyjemność być taką świnią. To żadna przyjemność być takim mięczakiem. Powiniennem wziąć się w garść, wykopać monety i ewentualnie pokazać Indze, co znalazłem”.

Sygnał był silniejszy. Kilka ruchów i saperka uderzyła w metal. Zupełnie jak wczoraj. Michał pospiesznie roz-grzebywał ziemię. W dołku ukazało się pudełko. Deja vu: Pralinen. A to niespodzianka! Chyba te pralinki były bardzo popularne.

- Dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłeś - zabrzmiał nagle znajomy i kochany, ale teraz potwornie wściekły głos: - Zostaw to pudełko.

220

3. Piękny Las

To nie była pierwsza podróż Bogdana Antoniewicza ze Lwowa na Pomorze. Poprzednio jednak jechał kilkanaście godzin, a nie kilkanaście dni, a przy tym pociągiem pasażerskim, a nie towarowym. Teraz razem ze swoim skromnym kawalerskim dobytkiem, złożonym głównie z kufrów książek, dowlóktł się furmanką na dworzec, oblężony już przez tłum, jakiego nigdy tu nie widziano.

Dlaczego nie do Wrocławia? Może się komuś coś pomyliło. A może ktoś komuś zapłacił. Kto by dzisiaj to wyjaśnił. Zresztą nie miało to wielkiego znaczenia.

Nazywali ich „repatriantami”. Filologa klasycznego oburzało użycie niewłaściwego prefiksu. Ludzi wysiedlonych z ziemi ojców i przewożonych do kraju dalekiego, obcego i nieznanego, należałoby raczej nazwać „ekspatriantami”. Jednak kilkanaście dni w wagonach bydłych skutecznie wybiło mu z głowy rozważania nad łacińskimi derywatami.

Zmordowany, głodny i brudny wysiadł w końcu na stacji w Słupsku. Po kilku godzinach, w czasie których usiłował

się dowiedzieć, co ma dalej robić, skierowano go w końcu do kompetentnego urzędnika.

- A więc jesteście nauczycielem? To dobrze, potrzebujemy tutaj nauczycieli. Skierujemy was do... do... - pogrzebał w papierach - do miasteczka, które się nazywało Schönwald, polskiej nazwy się jeszcze nie dorobiło. To właściwie wieś. Mamy tam już trochę osadników, z dziećmi, potrzebują polskiej szkoły. Już prawie rok po wojnie, od maja do marca, a oni jak się nie uczyli, tak się nie uczą. Jakie macie pochodzenie?

- Mój ojciec był lekarzem.

- Aha... no cóż, nie proletariackie. Ale zgadzacie się z ustrojem Polski Ludowej? - zapytał, jakby liczył na szczerą odpowiedź; jakby za szczerą odpowiedź nie groziła kara śmierci lub ciężkiego więzienia.

- Będę wspierał rząd ludowy w dążeniu do odbudowy kraju - odparł dyplomatycznie Bogdan.

- To dobrze. Będziecie tam w tym momencie jedynym przedstawicielem państwa, musicie nie tylko uczyć dzieci, co jest trudne po latach przerwy w nauce, ale też dokształcać dorosłych, likwidować analfabetyzm i - co równie ważne - poprawiać ich świadomość klasową. Mamy tutaj, nie kryję, osadników, którzy nie wykazują należytej wdzięczności wobec władzy ludowej, choć przecież dała im ona gospodarstwa - i to za darmo.

- W razie jakichś poważnych kłopotów możecie liczyć na pomoc władz bezpieczeństwa - kontynuował urzędnik. - Pensję będziecie dostawać od nas, ale nie liczcie na środki na wyposażenie szkoły. Musicie zmobilizować ludność do pracy społecznej.

222

223

- Rozumiem, jest ciężko. Jakoś sobie poradzimy. Wojskowy willis zawiózł nauczyciela do wsi. W budynku szkoły było też mieszkanie opuszczone przez jego poprzednika, który uciekł przed zbliżającym się wojskiem radzieckim. Rozpakował najważniejsze przedmioty, zjadł kupiony w Słupsku kawałek chleba. Próbował włączyć światło - w izbie była i lampa elektryczna, i przełącznik - ale po ciemnościach w pozostałych domach zorientował się wkrótce, że prąd do wsi nie dochodzi. Położył się spać.

Rano przeszedł się po obejściu. W komórce było jeszcze trochę porąbanego drewna, więc szybko rozpałił w piecu. Przyniósł wody ze studni, z której zresztą kiedyś wyciągała ją elektryczna pompa. Nastawił wodę na herbatę (tak, miał jeszcze trochę głęboko schowanego proszku). Gdy się umył, woda już się gotowała i Bogdan wypił niemal wrzący napój. Ale do jedzenia nie miał nic. Poszedł więc do najbliższego gospodarstwa.

- Pochwalony - przywitał się.

Gospodarz tylko się odwrócił. Zanim jednak zamknął drzwi, nauczyciel się poprawił:

- Grüß Gott!

Gospodarz odpowiedział tym samym. Sprzedał chleb i mleko bardzo niechętnie, raczej z litości nad przybyszem, a może bardziej ze strachu niż z potrzeby posiadania pieniędzy, za które i tak trudno było coś kupić.

Po śniadaniu Bogdan odwiedził wszystkie piętnaście polskich gospodarstw i poinformował, że od następnego dnia wszystkie dzieci powinny się zjawić w szkole. Niezależnie, ile kto klas skończył i ile ma lat, każdy ma przyjść.

224

Chłopi nie byli zachwyceni.

- Mój syn ma dziesięć lat i w żadnej szkole nie był. To już chyba za późno, panie nauczycielu, prawda?
- O Boże, do szkoły? A kto nam będzie pomagał w gospodarstwie?
- Córka trzy klasy przed wojną skończyła, to po co miałyby teraz iść? Na ten jeden rok to nawet nie warto.

Bogdan pracował, owszem, w szkole, ale było to liceum humanistyczne, a on uczył klasycznej greki. Rozmowa o pożytkach z umiejętności czytania i pisania była więc takim zaskoczeniem, że nie bardzo umiał znaleźć przykład takich pożytków. Bo co oni właściwie będą czytali? Książki? Gazety? Dokumenty? Będą się dalej kształcić i zostaną nauczycielami? Urzędnikami? Księżmi? Najskuteczniejszy okazał się argument najprostszy:

- Przed wojną wszyscy musieli się uczyć w szkole, to i teraz też trzeba.

Gospodarzom pozostało pokiwać głową.

W szkole brakowało wszystkiego. Przede wszystkim ławek. Trzeci z kolei pytany o to sąsiad powiedział w końcu, że są na plebanii. Nauczyciel wybrał się więc odzyskiwać mienie polniemieckie.

- Szczęść Boże. Przyszedłem się przedstawić. Nazywam się Bogdan Antoniewicz, zostałem tutaj przysłany na nauczyciela polskich dzieci.
- Proszę usiąść - stary pastor powitał go nadzwyczaj jak na Niemca uprzejmie. - Napije się pan kawy z żółędzi? Już drugą wojnę przeżyliśmy na tym napoju. Miło mi gość-

225

cić przedstawiciela radzieckich władz okupacyjnych, który tak doskonale mówi po niemiecku. Gdzie się pan tego nauczył?

- Nie jestem przedstawicielem Rosjan - Bogdan był zbyt zaskoczony, aby być zły. - Jestem Polakiem. Rosjanie wygnali mnie z mojego miasta, Lwowa, które zajęli siłą, i wysłali mnie tutaj. Będę uczył dzieci, a nie sprawował władzę. A co do niemieckiego, to przez pierwsze dwadzieścia trzy lata mojego życia byłem poddanym cesarza Austrii. Z tego dwa lata studiowałem w Wiedniu, aż zaczęła się pierwsza wojna...
 - A więc pochodzi pan profesor z austriackiego miasta, które zajęli Rosjanie... - podsumował zdziwiony, a nieco nawet zadowolony duchowny.
 - To jest polskie miasto, tylko przez pewien czas należało do Austrii, a teraz zajęli je bolszewicy. Mam nadzieję, że też tylko na pewien czas. Teraz przyszedłem zapytać, czy są u księdza ławki ze szkoły.
- Niemieckie „Sie” nie zmuszało szczęśliwie do wyboru pomiędzy „ksiądz” a „pan”. Bo przecież w zasadzie nie powinno się mówić „ksiądz” do kogoś, kto ma tylko heretyckie święcenia, ale z drugiej strony niemiło silić się na nieuprzejmość.
- A są, nie ma pan mi chyba tego za złe. Dzięki temu nie poszły na opał. Niech pan przyśle dzieciaki przed

lekcjami, to sobie je przeniosą.

- Tak ksiądz dba o wyposażenie naszej szkoły?

- Naszej szkoły - poprawił pastor - z której oczywiście możecie korzystać.

226

- Korzystać - zdenerwował się Bogdan. A potem ją oddamy? Tak?

- Myśmy tę wojnę przegrali. Chyba jednak widać, że się na tym nie skończy. Amerykanie i Anglicy już się nie mogą dogadać z Rosjanami. Amerykanie mają przy tym tę bombę, co sama jedna wystarcza na całe miasto. Wiem, wielu ludzi mówi, że wojny nie będzie, ale tutaj był taki, co to samo mówił latem 1914. Może pan będzie mógł wrócić do swojego miasta. I nasi nowi sąsiedzi będą mogli wrócić do swoich wiosek.

- A księdza dawni sąsiedzi do swoich domów?

- Oczywiście, to przecież ich własność.

- Wielu stąd uciekło? - choć to Niemiec, warto było porozmawiać, żeby się czegoś dowiedzieć.

- Więcej niż zostało. Było ponad pięćdziesiąt rodzin, zostało niecałe dwadzieścia. Choć przyjechali Polacy, ciągle jeszcze stoją puste gospodarstwa. I powiem panu, że kto został, ten żałował. Trzy dziewczyny mogą być szczęśliwe, że po kilkunastu gwałtach ostatecznie przeżyły, a nie dołączyły do swoich pięciu martwych koleżanek. Młodzi chłopcy - od razu pod mur, bo mówili: jak takiś młody, toś na pewno z nami walczył. A grabież, a dewastacja... W końcu poszli dalej mordować i palić...

- No cóż, nie oni tę wojnę zaczęli.

- Nie oni. Cóż więc mogę powiedzieć. Pewnie panu przykrość sprawiam tym opowiadaniem.

- Zapomina ksiądz, że sam pochodzę z kraju podbitego przez Sowietów. Owszem, u nas miasto traktowali jak swoje, więc go z dymem nie puścili, a mordowali według kryteriów

227

klasowych - głównie bogatszych. Poza komunistyczną ideą miało to jeszcze praktyczną zaletę: bogatszym więcej można zrabować. A dziewczęta... to już bez różnicy, bogate czy biedne.

- Przez wiele lat spotykaliśmy się tutaj z pana poprzednikiem. Uciekł przed Rosjanami, dobrze zrobił. Ja tylko żonę wysłałem, dzieci dorosłe, dawno wyjechały. A sam muszę zostać ze swoimi barankami. Kościół mi zdemolowali; dobrze, że nie spalili. Ludzie mają gdzie chodzić. Polacy swojego nie mają, ale nie mają i księdza, więc po co im kościół. Zresztą jedni trzymają się z dala od drugich. Nawet Horstów ci nowi nie traktują jak swoich. Nie był pan u Horstów? No właśnie, jak pan pytał, gdzie jeszcze Polacy mieszkają, to pewnie nikt ich nie wskazał. A tyle się przez tę polskość wycierpieli za Hitlera i wcześniej, za cesarza...

Trzeba więc było jeszcze zajrzeć do Horstów. Rzeczywiście, z zewnątrz dom wyglądał na niemiecki. Wszystko było tu czyste - nawet to, co zniszczone. Gospodarz mówił pięknie po polsku, choć z zupełnie innym akcentem niż osiedleńcy i sam nauczyciel. Oczywiście, to wspaniale, że działa polska szkoła, ich trójka dzieci natychmiast tam pójdzie. Dawniej musieli, niestety, posyłać do niemieckiej, teraz będą bardzo szczęśliwi. Sami trochę dzieci douczali, więc analfabetami nie są. Jak długo tu mieszkają? Od zawsze. Pradziadek się tu przeprowadził ze wsi, gdzie było więcej Polaków niż Niemców. Nie wiedział chyba, jacy tu będą samotni. Owszem, z sąsiadami mieli dobre układy, ale jednak między Polakami najlepiej.

Wieczorem Bogdan znalazł w komórcie kawałki świec, czerwoną farbę olejną i szeroki pędzel, Postawił cenne ogar-ki obok łóżka, a tymczasem, korzystając z resztek dziennego światła, namalował na kawałku deski napis: Szkoła powszechna w Schönwaldzie. Chwilę się zastanowił, odwrócił deskę i napisał od nowa: Szkoła powszechna w Pięknym Lesie.

Ciocia Jasia przyniosła kawę.

- Dziękuję - uśmiechnął się Michał.

- I co, przyda się na coś? - zapytała, wskazując zeszyt odłożony teraz dla bezpieczeństwa na drugi koniec stołu. Sto dużych stron starannie zapisanych kaligraficznym pismem ćwiczonym jeszcze za Najjaśniejszego Pana.

- To jest skarb - wyszeptał chłopak.

- Kiedy stryj Bogdan umarł, siadłyśmy we dwie z twoją babcią, żeby uporządkować mieszkanie. Strasznie dużo było rupieci, starych papierów. Na szczęście udało się wśród nich znaleźć te zapiski. Teraz pomyślałam, że ciebie na pewno zainteresują.

- Pewnie!

- Możesz je wziąć.

Michał porozmawiał jeszcze trochę z ciotką i wrócił do domu. Zapiski stryja Bogdana zajęły mu kolejne dwa dni. Po co pisać powieści, skoro tyle jest prawdziwych rzeczy do przeczytania.

Następnego dnia do szkoły zgłosiła się spora gromada, koło dwudziestu uczniów. Bogdan zorientował się w ich umiejętnościach - a raczej braku umiejętności - i podzielił na

228

229

trzy grupy Pierwszą, najliczniejszą, stanowiły dzieci, które nie umiały jeszcze czytać ani pisać. Do drugiej należały te, które troszkę już umiały, ale musiały tę umiejętność ćwiczyć, a poza tym uczyły się rachunków. Obie te grupy wspólnie spotykały się na lekcjach historii, gdzie Bogdan, rysując mapy i ilustracje na tablicy, opowiadał im o polskich królach, zwycięstwach i klęskach. Umiał opowiadać, więc te

godziny uczniowie lubili najbardziej.

Nauczyciel dokonywał tymczasem odkryć na miarę Pestalozziego. „Rzeczywiście, ja też się uczyłem pisać, jak miałem siedem lat, ale wcześniej miałem ołówki i coś sobie gryzmołem. A oni? Skąd oni mają wiedzieć, jak się ołówki w rękę trzymają? Może najpierw powinienem ich uczyć rysowania kółek i kresek, bo litery są zbyt trudne na sam początek? Ale ile lat to potrwa?”.

Ostatnia grupa składała się z trzech dorosłych analfabetów. Bogdan liczył, że dołączą z czasem do nich inni chętni, może nawet niektóre kobiety.

Stopniowo coraz lepiej wyposażał szkołę. Oprócz ławek z plebanii wziął trochę mebli z opuszczonych obecnie gospodarstw. Nie czuł się dobrze, gdy kupował bimber, żeby wymienić go na trochę sprzętu z dworu von Kielpenów, w którym rezydowali teraz Rosjanie. Ale nie dało się inaczej. Matki uczniów miały dyżury przy sprzątanii.

Dzieci chodziły do szkoły, potem pomagały w gospodarstwach; zaczynał się maj. Bogdan rozmawiał z gospodarzami i nakłonił jeszcze dwie dorosłe osoby do nauki czytania

i pisania. Kupił na targu w Sławnie Iroclię niemieckich książek. Wysiedlani już masowo Niemcy wyprzedawali za bezcen rzeczy, których i tak nie zabraliby ze sobą. Wśród książek był podręcznik ogrodnictwa, więc Bogdan uprawiał teraz warzywa. Jedzenie kupował od gospodarzy, którzy już szanowali profesora i bez oporów sprzedawali mu potrzebne produkty. Pensyjka jakoś wystarczała na najważniejsze potrzeby. Pewnego dnia, gdy tradycyjnie szedł do Bindasów po mleko, przez płot sąsiedniej chałupy przywitał się z Ab-ramczukiem.

- A Janek chory? - zagadnął chłopca.

- Czemu chory? - zapytał nerwowo gospodarz.

- Od trzech dni nie był w szkole.

- On z Niemcami chodzić nie będzie.

- Ale ja nie uczę Niemców. Po co im polska szkoła. Oni chodzą na lekcje do swojego księdza.

- A ja słyszałem, że chodzą Niemcy. Te Horsty.

- A, Horstowie! To nie Niemcy, tylko Polacy.

- Mieszkali tutaj przed wojną.

- Owszem, tutaj wielu Polaków przed wojną mieszkało. Nie słyszał pan, że to stare polskie ziemie, tylko Niemcy na nich się osiedlili? W niektórych wsiach Polaków była większość, chociaż tu u nas akurat tylko jedna chałupa.

- Ich dzieci z innymi Niemcami po niemiecku rozmawiają.

- Jak tu sami Niemcy mieszkali, to przecież musieli się Horstowie z nimi jakoś dogadywać.

- Po polsku, prawda, mówią. Ale oni nie wyglądają na Polaków. Ubierają się jak Niemcy, żyją jak Niemcy, chałupę

230

231

mają niemiecką. Jakby nawet kiedyś byli Polakami, to się zniemczyli. I teraz to już są Szwaby.

- Nie widziałem, żeby się zniemczyli. Ale gdyby nawet, to trzeba im pomóc się odniemczyć. A i z prawdziwymi Niemcami powinniście umieć się dogadywać, to przecież sąsiedzi, nie można z nimi żyć ciągle w wojnie.

- Sąsiedzi już niedługo. Teraz ich z Polski wyrzucają, stąd też wyrzucą. To co my mamy z nimi rozmawiać? Przecież to hitlerowcy!

- Niech pan posłucha, choćby i prawdziwi Niemcy do tej szkoły chodzili, to pana syn przecież od tego nie zniemczeje. A jak nie będzie umiał czytać i pisać, to sobie w życiu nie poradzi.

Chłop machnął ręką i odszedł od płotu. Janek nie wracał do szkoły, a jego ojciec szedł w zaparte: - Z Niemcami chodził nie będzie. Co gorsza, dołączyło do niego dwoje dzieci Gradosiów.

„Przecież nie wyrzucę dzieci Horstów ze szkoły tylko dlatego, że się dwóch chłopów uparło. Ale tamci też powinni się uczyć. Przecież nie wezwę UB. Zaraz, nie wezwę, ale...”.

- Ja tu mam taki dokument - powiedział w końcu Ab-ramczukowi, pokazując przypadkowo wybrany papier, gdyż chłop był niepiśmienny. - Mam wpisać, czyje dzieci uchylają się od obowiązku szkolnego.

- Co robią? - zdziwił się osadnik.

- Znaczą: czyje dzieci nie chodzą do szkoły. Mam wypełnić i wystać na milicję.

- I co z tym zrobią?

- Ja nie wiem, ale jak milicja każe napisać, to widocznie na coś potrzebuje. Wiecie, nie posyłać dzieci do szkoły to jest przestępstwo. Karę za to mogą nałożyć. Albo nawet gospodarstwo odebrać.

- I pan profesor mnie wpisze? - zapytał cicho przerażony gospodarz.

- Jak nie wpiszę, a milicja sama sprawdzi, to mnie do więzienia wsadzą. Nie mam wyboru.

- A jakby tak zaczęli chodzić?

- Jak będą chodzić, to nie trzeba pisać.

„Pamiętaj, synu, że Polacy nawet nie wymyślili własnego słowa na chantage” - uczyła go matka. Wstyd

mu teraz było strasznie, ale nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Cała trójka wróciła do szkoły, choć siadała demonstracyjnie z daleka od swoich autochtonicznych rówieśników.

Jak wszyscy Polacy po wojnie, Bogdan miał wyrobione zdanie o Niemcach. Spodziewał się więc wrogości, nienawiści - na szczęście bezsilnej, ale podobnej jak za okupacji. Zaskoczyło go, że Niemcy czują się tutaj pokrzywdzeni. Szeptali między sobą ze strachem o wysiedleniach, konfiskatach, pracy przymusowej. O tym, że gdzieś tam ogłoszono wszystkich Niemców niewolnikami gminnej spółdzielni. Każdy chłop może ich sobie wynająć do pracy za opłatą nie dla Niemców, lecz dla ich właściciela. O tym podobno mówili przez radio (ale radia mieć nie wolno).

Może nie doceniali Bogdanowej znajomości niemieckiego, bo gdy się zbliżał, choćby na targu, mówili bez skrępowania.

232

233

- Te Polaki są gorsze od bolszewików. Bolszewicy przyszli i poszli, a oni tu siedzą i siedzą.

- Pani Flescher, mnie pani nie musi przekonywać. Przecież pani wie, że mojego starszego syna zamordowali polscy bandyci. Tacy byliśmy dumni, z prostej rodziny, awansował aż na sturmbahnfuhrera, to jak w wojsku major, służył w Generalnej Guberni. Myśleliśmy, jak będzie wspaniale po wojnie, gdy wróci w takiej sławie... I nic z tego. Strzałem w tył głowy, z ukrycia, co za tchórzostwo! Oficera!

- Wiem, wiem, mój Otto, chwala Bogu, żyje, choć najlepsze lata stracił na pilnowaniu tych bandytów. Gdyby nie tacy jak on, wymordowaliby nas wszystkich. Pięć lat służył, nawet urlopu wiele nie dostał, gdzieś na granicy Śląska i GG. A jaka to ciężka służba obozu pilnować! I kto mu to teraz wynagrodzi?

Pastor, z którym jeszcze z różnych powodów trzeba było rozmawiać, nie był, oczywiście, mordercą ani nie uważał esesmanów za specjalnie pokrzywdzonych. Wręcz przeciwnie, byli winni całej wojny. I tylko oni.

- Nie napadły na nas SS ani partia - próbował tłumaczyć Bogdan. - Zaatakowało nas regularne wojsko na rozkaz konstytucyjnych władz wybranych demokratycznie przez wasz naród. Zdążyliście wymordować sześć milionów obywateli polskich. Wymordować. Z mojej rodziny zginęło kilka osób - choć, prawdę mówiąc, bolszewicy zabili drugie tyle. Z kolegów nauczycieli straciłem pięciu. Dwóch było Żydami, więc sam ksiądz rozumie, że szans nie mieli. Inni zginęli dlatego, że byli wykształceni. W planie było wymordowanie

całej polskiej inteligencji, która mogłaby nie dać się sprowadzić do roli bydła roboczego. W ramach robienia miejsca dla wyższej niemieckiej cywilizacji zabili mojego kolegę, który potrafił godzinami recytować Goethego. Ciekawe, czy ci, co strzelali, chociaż przeczytali to, co on znał na pamięć. Wymordowaliście sześć milionów. A kilkanaście milionów straciło bliskich, zdrowie, dach nad głową. Więc niech mi ksiądz nie mówi, że straszną zbrodnią jest kazać ludziom pracować za samo wyżywienie. Nikt was według swojego widzimisię nie wysyła na śmierć. A poza tym, w jaki sposób państwo

niemieckie, które właściwie nie funkcjonuje, miałyby zapłacić odszkodowanie za to wszystko, co zniszczyło? O ile dobrze pamiętam, to nie spłaciliście jeszcze kontrybucji po poprzedniej wojnie. Jedyne, co możemy zrobić, to konfiskować mienie i zmuszać do odpracowania szkód.

Ale pastor nie słuchał, był przecież przyzwyczajony raczej do mówienia.

- Hitler pozował na germańskiego zdobywcę Rzymu, co o tyle było prawdziwe, że był równie prymitywnym mordercą jak tamci. Ale teraz się okazuje, że w Schónwaldzie to my staliśmy się podbitą cywilizacją. Oczywiście najbardziej szkoda mi ludzi pomordowanych i wypędzonych, ale ginie coś jeszcze. Wydaje mi się, że wy tutaj założycie swoją wieś, ale to nigdy nie będzie miasteczko. Nie ma prądu...

- Bo na rozkaz Hitlera sami zniszczyliście elektrownię. My ją odbudujemy. Tylko wszystkiego naraz nie damy rady. Stopniowo przyjeżdżają ludzie, będzie tu polskie miasto.

- Nie, będzie tu tylko polska wieś. Wyjechał aptekarz, szewc, bednarz, kaletnik, kolejarze z pobliskiej stacji. Przy-

234

235

jeżdżają tylko chłopi, jeden jedyny sklepikarz. A nawet jakby ktoś inny się zjawił, to wszystkie warsztaty rozszabrowane. Mieliśmy tu nawet hotelik z karczmą. Rosjanie skorzystali z usług, wypijając wszystkie trunki z piwnicy, a potem spalili budynek. Z kolei zostały tylko nasypy. Tabor, urzędnicy, tory zabrali Rosjanie, a podkładami Polacy palą w piecu. Wie pan, szkoda mi Horstów. Niemcy ich traktują jako obcych, Polaków, a Polacy - jako Niemców. To jest właśnie różnica cywilizacji. Polacy nie traktują Horstów jako swoich, bo oni należą może do waszego narodu, ale do naszej cywilizacji. No, niech pan popatrzy na ich obejście. Czy przypomina bardziej podwórko Niemców, czy osiedleńców? Pan przecież też cywilizacyjnie jest bliższy mnie niż niektórym swoim rodakom. Na przykład dla pana, dla mnie, dla Horsta i dla tutejszych Niemców jest oczywiste, że dzieci powinny chodzić do szkoły. A jak jest z osiedleńcami?

4, Szymwałd

Zboże na polach było prawie dojrzałe. Szczęśliwie przynajmniej to się nie zmieniało od wieków. Na Pomorzu, polskim, niemieckim, duńskim czy po prostu pomorskim, zawsze latem trzeba zżąć i zwieźć zboże. Wkrótce już na polach nie będzie Niemców i Polaków, ale po prostu rolnicy, bez których żadne państwo, czy to ludowe i demokratyczne, czy może bolszewickie i moskiewskie, sobie nie poradzi.

Kończył się rok szkolny; dzieci musiały mieć trochę przerwy przed pracą znacznie cięższą od nauki. Od dwóch miesięcy nie przyjeżdżali nowi osadnicy. Nikt się ich teraz nie spodziewał. Nie pasowali do tego czasu.

Ale pojawili się. Nagle, pod sam koniec czerwca. Pojedyncza furmanka nie zapowiadała jeszcze początku końca Schónwaldu. Zatrzymali się na rynku, mężczyzna przeszedł się po wsi, w końcu pokazał ładną

chałupę swojej żonie. Weszli na podwórko.

- Polacy tu mieszkają czy Szwaby?

- Was?

237

Można było wejść. Osadnicy znali niemiecki w zakresie podstawowym, to znaczy akurat tyle, żeby powiedzieć:

- Rausl

Zaczęło się zamieszanie tym większe, że żadna strona nie rozumiała drugiej. W końcu gospodarze wysłali synka, żeby zawołał Horsta.

- O co chodzi? - zapytał ten, gdy przybył. - Ja jestem Polakiem, ale znam niemiecki, pomogę się dogadać.

- Będziemy tu mieszkać - wyjaśnił osadnik.

- Ale ten dom jest zajęty - zdziwił się Horst.

- Co? - tym razem zdumiony był przybysz. - Przecież to Niemcy. Niech się wynoszą.

- Oczywiście, że to Niemcy, pewnie ich niedługo wypędzą, ale na razie jest dużo wolnych gospodarstw. Co oni teraz zrobią? Zostaną na zimę bez zboża.

- A my co zrobimy, jak weźmiemy ziemię z pustym polem? Swoje musieliśmy zostawić przed żniwami, to i takie nam się należy tutaj. Dla Niemców to jest kara za wojnę, że muszą nam gospodarstwa oddać. Niech pan im powie, że mogą zostać, ale spać będą w stodole. Jedzenia im damy, jak będą dobrze pracować. W końcu przyda się kilku parobków.

Horst przetłumaczył te słowa, odpowiedzi wolał dosłownie nie przekładać. Powiedział tylko:

- Oni się nie chcą zgodzić. Pytają o przydział.

- Przydział? A tak, oczywiście, że załatwię przydział. Musiałem najpierw miejsce znaleźć, żeby w podaniu wpisać.

Gospodarze zachowali więc swój majątek jeszcze przez kilka godzin potrzebnych na jazdę do Sławna i z powrotem.

Z dokumentem potwierdzającym zgodnie z obowiązującą ortografią - przydział gospodarstwa po Niemcu Flescherze można było wezwać na pomoc milicję i wojsko. Wystarczyło, że było można, żeby nie było trzeba.

A przez kilka następnych dni w Pięknym Lesie zjawiało się kilka rodzin spod Wilna, które po całych wiekach spędzonych w Polsce dowiedziały się, że do Polski dopiero muszą się przeprowadzić.

Tego roku zboże we wszystkich niemal gospodarstwach, z wyjątkiem trzech, zbierali Polacy. Niemcy, owszem, też ciężko pracowali przy żniwach, ale już nie dla siebie.

- Nowi to się urządzili - mówił, kiwając głową, Horst do Abramczuka. - My tu ciężko pracujemy, a ci sobie darmowych pomocników znaleźli.

Pojawienie się nowej grupy było dla Horsta jedyną okazją do zaprzyjaźnienia się ze „starymi”, osiadłymi od roku, sąsiadami. I wykorzystywał ją jak mógł.

- Ja to nawet z własnej kobiety wielkiego pożytku nie mam.

- Widziałem, dzieciak już chyba niedługo?

- Pewnie za miesiąc - przytaknął Horst. I dodał z dumą: - Pierwsze moje dziecko w wolnej Polsce.

Abramczuk pokiwał głową. Nie będzie już chyba dzieciom bronił się bawić z tymi Horstami.

Zaczęły się wakacje. Bogdan znowu przeżył szok kulturowy, widząc, jak czas, który dla miejskich dzieci wiąże się z wypoczynkiem i błogim lenistwem, tutaj wypełnia praca.

238

239

Sam pojechał na tydzień do Koszalina na kurs dla nauczycieli szkół powszechnych na Ziemiach Odzyskanych. Po raz kolejny poznał zupełnie nowy świat tuż obok siebie. Komu teraz pozwalają uczyć! Wydawało mu się, że chyba już jego dziesięciolatki po rocznej nauce abecadła mogłyby się zgłosić do tej pracy. Prawdę mówiąc, wśród przedwojennych nauczycieli także znalazłoby się wielu mało rozgarniętych, ale to nie ich spotykał Bogdan w lwowskim liceum.

Były i dobre wieści. Na poniemieckich maszynach drukowały się tysiące podręczników, ruszyły fabryki papieru; wreszcie będzie można w miarę normalnie pracować.

Trzy dni po powrocie do wsi Bogdan wstał rano jak co dnia i jeszcze nie wiedział, że właśnie dzisiaj przypada najważniejsza data w historii Pięknego Lasu. Na ryneček wjechało dwóch nieznajomych. W bryczce zamiast furmanki, bez bagażu, żon i dzieci, nie wyglądali na przesiedleńców. Rozejrzeli się po okolicy i podjechali do szkolnego płotu.

- Pan jest tutaj nauczycielem? - zapytał z wysokości siedzenia jeden z nich.

- Tak.

- Jestem z gminy - powiedział, wysiadając. Oparł się rękami o płot, a wtedy spod rękawa wyrzwał siny numer. Gdyby nie wyrzwał, wystarczyłoby popatrzeć na zniszczoną twarz.

Towarzysz podróży został w bryczce. Jego szary, zniszczony płaszcz nie był w tych czasach niczym nadzwyczajnym, dopiero opaska z napisem „MO” wyjaśniła, że wkrótce zastąpi go mundur. Broń

służbowa przypominała raczej

czasy poprzedniej niż właśnie zakończonej wojny, ale może i była w tym jakaś paradoksalna demonstracja siły milicji, która może liczyć na posłuch mimo symbolicznego tylko uzbrojenia.

- Proszę, czym mogę służyć? - Bogdan przerwał chwilę milczenia.

- Gdzie tu mieszkają Niemcy? Nauczyciel wyszedł przed furtkę.

- Sami Niemcy mieszkają tylko w trzech gospodarstwach. Jedno jest tam - wskazał ręką - drugie obok, a trzeciego stąd nie widać, jest kawałek dalej przy drodze na Słupsk. Poza tym w wielu domach gospodarują Polacy, a Niemcy jeszcze tam siedzą i im pomagają. A o co chodzi?

- Przyjechaliśmy powiedzieć Szwabom „Raus”. Niech jadą do ojczyzny. Będzie miał pan teraz czysto polską wieś. Nie cieszy się pan?

Nie czekali na odpowiedź, bo kto by się nie cieszył. Odjechali - ledwo do najbliższego gospodarstwa. Rządzili tam już Polacy.

- Polacy? A ja tu mam jeszcze zapisane, że gospodarstwo niemieckie.

Chłop przyniósł odpowiedni dokument.

- No to dobrze. Gospodarze - Polacy. A nie mieszkają u was jacyś Niemcy?

- A, jest chłop z babom i córom, robiom u nas za parobków.

- To też muszą się wynosić.

- Ale óni som potrzebni! Kto nam beńdzie gnój roz-rzucoł?

240

241

Przybyły pokiwał tylko głową i wyjaśnił nieporozumienie-

nie:

- Oni teraz siedzą cicho i dobrze pracują. Ale jak tylko się przygotują, was zamordują i gospodarstwo przejmą z powrotem.

- Przecie ich za to powieszom!

- Powieszą - zgodził się urzędnik. - Ale czy wam to pomoże?

Ten argument przekonał chyba gospodarza, bo zawołał na podwórko:

- Wszystkie Deutsche Schweine do dom!

Trójka wystraszonych parobków, którzy jeszcze przed dwoma miesiącami byli panami tego pięknego gospodarstwa, przyszła przed chałupę.

- Wszyscy macie się wynosić z Polski - łamaną niemczyzną ogłosił przybyły. - W ciągu dwóch godzin zebrać się na rynku z najpotrzebniejszymi rzeczami. Resztę tutaj zostawiacie. Pamiętajcie, że do Sławna na stację pójdziecie na piechotę. I bez żadnych wózków!

Niemcy spuścili głowy. Milicjant znacząco położył dłoń na kolbie.

W następnych domach szło chyba mniej gładko, Niemcy klócili się i psioczyli. Ale cóż mieli robić.

Wokół trzech w pełni jeszcze niemieckich gospodarstw jak sępy krążyli polscy sąsiedzi. Skoro wyrzucą Niemców, wszystko zostanie bez opieki. Ziemi nie można wziąć bez przydziału, ale inwentarz, zboże, sprzęty domowe... Jeden nawet zwrócił uwagę urzędnika, że zapomniał o tych wrogach.

- Na nich też przyjdzie t zas. jak znajdą się nowi na Ich miejsce. Teraz nie mogę ich wysiedlić, bo mienie zostanie bez opieki. Wartowników nie postawię, bo niby skąd Ich wezmę? Tak mamy wartowników darmowych.

Chłopi zawiedzeni rozeszli się do domów. Na ryneczku zebrała się grupka objuczonych Niemców. Tymczasem od strony Sławna wjechał wóz z kilkorgiem ludzi.

- Panie komisarzu! Panie komisarzu! - krzyczał chłop.

- Właśnie nam powiedzieli, że ostatnia chwila, bo pan tu wszystko ustala. Chcemy się tu osiedlić. Tu nasi krewni mieszkają.

Urzędnik uśmiechnął się.

- Jaki tam ze mnie komisarz. Jestem tylko referentem. Ale proszę bardzo, mamy kilka gospodarstw, z których jeszcze trzeba Niemców wysiedlić.

Poszli.

- Tutaj? - zapytał chłop.

- Nie, tu już Polacy mieszkają.

- Atu?

- Tutaj też. Przeszli kilka kroków.

- Niemców szukacie? - zagadnął usłużny przechodzień.

- Tam mieszkają.

- Dziękuję - uśmiechnął się referent - jak się nazywa-

cie?

- Żuczek.

- Będę pamiętał. Zaraz wypiszemy dokumenty. Sprawdzimy, jak się tutejszy Niemiec nazywa... Horst.

Weszli na ganek.

242

243

- Dzień dobry - przywitał ich gospodarz.

- Dzień dobry - referent wyraźnie się zmieszał. - A wy kto?

- Gospodarz. Jan Horst.

- Po polsku mówicie? - zdziwił się.

- Jestem Polakiem - odpowiedział z dumą.

- Ale ja mam tu napisane, że jesteście obywatelem Rzeszy.

- Mieszkałem w Niemczech, ale jestem Polakiem. Proszę wejść.

Urzędnik wszedł i chwilę przeglądał swoje notatki. W końcu nieco speszony zapytał:

- Nie załatwiliście w urzędzie, żeby was za Polaka uznali?

- Załatwiam, załatwiam, nawet tutaj mam list - wyjął pogniecioną kartkę. - „W odpowiedzi na... z dnia... sprawa jest w toku”. A poza tym ja myślę, że Polakiem się jest i tyle, z dziada pradziada, i żaden urząd tego nie zmieni.

Referent zmarszczył najpierw brwi, a potem łaskawym tonem stwierdził:

- Będziemy musieli wyjaśnić. Tak bywa, że Polacy nie mają papierów w porządku, my oczywiście nie dopuścimy, żeby komuś z tego powodu stała się krzywda. Zapiszę was tutaj... Proszę mi jeszcze pokazać to pismo. Muszę zanotować numer akt.

Horst drżącymi rękoma otworzył drzwiczki szafy i wyciągnął list. Za kopertą wysunęły się papiery leżące poniżej. A ponieważ najzwyczajniejsze, codzienne doświadczenia przekonują nas etc, kartki zbliżyły się w swoim biegu do ziemi i w końcu na nią spadły.

244

- Chwileczkę, co to za zdj(le? rzm il podejrzliwie rc ferent, widząc kątem oka młodzieńca w znieawidzonym mundurze. - Proszę pokazać.

- Nasz najstarszy syn - zmieszał się Horst, wręczając fotografię. - Siłą go do tego wojska wzięli, a to jego ostatnie zdjęcie, zanim zginął, więc trzymamy na pamiątkę, choć w tym uniformie...

- Tacyście Polacy? A syn w Wehrmachcie Polaków mordował? Wynocha!

Milicjant groźnie potrząsnął bronią.

- Jakby nie poszedł, nas by wysłali do obozu - próbował tłumaczyć Horst.

- Wyobraźcie sobie, że niektórzy woleli być w obozie, niż zdradzić ojczyznę.

- Może da się to wyjaśnić...

- To się właśnie wyjaśniło. Natychmiast na rynek razem z resztą waszych rodaków, ale już! Bo jak nie zdążycie w Sławnie na pociąg do Niemiec, to następny w rozkładzie mamy na Syberię. Przydacie się tam Związkowi Sowieckiemu w odbudowie...

- Chwileczkę, jest taki przepis - próbował się ratować Horst, którego dwanaście lat Tysiącletniej Rzeszy nie oduczyło jeszcze pruskiego przekonania, że jak jest przepis, to urzędnicy będą się do niego stosować.

- Jak sprawa jest w toku, to wysiedlenie jest wstrzymane...

- Wasza sprawa była w toku. Teraz została rozstrzygnięta. Zbierać się!

Tymczasem Bogdan, którego zawołał jego przytomny uczeń, Jurek Horst, wszedł do pokoju.

245

- Pan nauczyciel? Nie wzywałem pana - tym razem już mniej uprzejmie rozpoczął rozmowę referent.

- Sam przyszedłem, słyszałem o nieporozumieniu...

- Nie ma żadnego nieporozumienia, obywatele niemieccy, syna mieli w niemieckim wojsku...

- Ale ja tu mieszkam od pół roku i po prostu wiem, że są Polakami. Ich dzieci chodzą do polskiej szkoły. Trzeba ich zostawić przynajmniej do wyjaśnienia. Widzi pan poza tym, że kobieta jest w ciąży, nie może jechać w tym stanie.

- Mam czekać - uciął urzędnik - żeby się jeszcze jeden Niemiec na naszej ziemi urodził?

Nowi przybysze rozpakowywali wóz, gdy Horstowie z płaczem zbierali naprawdę najpotrzebniejsze rzeczy. Wiadomo było, że gospodyni nie weźmie nic ciężkiego, a i jej samej trzeba będzie pomóc. Wkrótce dołączyli do zebranych na placu.

- Aleście się obławowali! - parsknął urzędnik. - Wszyscy tak robią, potem połowę wyrzucają po drodze. Do Sławna jest piętnaście kilometrów. Idziemy. My z towarzyszem milicjantem zamykamy pochód.

- Do widzenia, proszę księdza - Bogdan podszedł się pożegnać.

Stary pastor płakał.

- Najbardziej mi szkoda - powiedział po chwili - jak sobie pomyślę, że nikomu już nie będzie zależało, żeby tu było pięknie.

- Mnie będzie zależało - pocieszał, a może zawstydział go Bogdan.

- Nie wątpię. Ale, niestety, pan jest tutaj jedynym Auustriakiem - westchnął ksiądz. Bogdana tak zamurował niezwykły komplement, że nic już nie odpowiedział.

Ruch w Pięknym Lesie był tego dnia niesłychany. Listonosz - którego sama wizyta była w miasteczku niemałym wydarzeniem - przyniósł nauczycielowi depeszę. Trudno było po niej zasnąć. Ledwo wstał świt, Bogdan wsiadł na rower i pojechał do Sławna.

Nie wiemy, jak wyglądała rozmowa w siedzibie powiatu, a nawet gdzie się odbywała: w inspektoracie oświaty czy może na UB. Tę kartkę wspomnień stryj Bogdan wyrwał, zastąpiło ją tylko lapidarne zdanie: „I przenieśli mnie do Kielc”. Można się tylko domyślać, że opis nie nadawał się do przechowywania w czasach, gdy treść prywatnych, schowanych w biurku notatek sąd mógł uznać za „nawoływanie”.

Lipiec Bogdan spędził na Pomorzu, na początku sierpnia przekazał szkołę swojemu następcy i przeprowadził się na południe.

„Kto stracił dom, nie stracił możliwości przypominania o swojej stracie” - napisał jeszcze na marginesie poprzedniej strony. - „Kto stracił życie, ten szybciej zostanie zapomniany”.

Wróćmy jednak do wizyty w Sławnie. Gdy nauczyciel rozmawiał, wysłuchiwał, tłumaczył się - nie wiemy dokładnie, co robił - mieszkańcy Schónwaldu, przemianowanego teraz

246

247

przez odpowiednią komisję na Szymwałd, siedzieli w bydlęcych wagonach. Skład stał na boczniczy w Koszalinie i czekał na lokomotywę, żeby jechać dalej na zachód. Zostały tylko rodziny, które miały pełnić wartość przy własnych gospodarstwach przeznaczonych dla kogoś, kto w każdej chwili może się zjawić. I Horst z trójką dzieci, na czas pogrzebu swojego maleńkiego dziecka i swojej żony.

5. Ernestynka

Michał uśmiechnął się jakby nigdy nic.

- Zobacz, jednak znaleźliśmy...

- Śmy? - przedrzeźniała Inga. Wymawiała przy tym r w wir znacznie twardziej, niż to w rzeczywistości robił Michał. - Myślałeś, że wykopiesz monety w tajemnicy przede mną. Wczoraj chciałeś mnie po prostu oszukać, a jeśli przy okazji dałam się przelecieć, to tym lepiej, nie? Cóż, bywa, że pocałowany księżę zamienia się w żabę.

- Nie. Dopiero dzisiaj zupełnie przypadkiem usłyszałem od miejscowych, że jeden z przepustów został wysadzony. Chciałem ci zrobić niespodziankę.

Michał mówił tak przekonująco, że chyba sam uwierzył we własne słowa. Ale nie Inga.

- Nie wierzę ci. W nic ci nie wierzę. Wiesz, co najbardziej chciałabym teraz zrobić? Zakopać cię tutaj razem z tym pudełkiem. Nawet bym do niego nie zaglądała. Zabiłabym cię gołymi rękami.

„Duża przyjemność, szkoda, że jednorazowa” - pomyślał Michał, ale zapytał tylko:

249

- Czy facetów, którzy zawiedli cię do tej pory, też wysyłałaś na tamten świat?

- Nie. Ale nikogo tak nie kochałam.

- Może jednak zajrzyjmy do środka - zaproponował chłopak oczarowany tokiem rozumowania.

- Otwieraj - machnęła ręką.

Pudełko było niemal puste. Ani śladu monet czy nawet piasku. Tylko na dnie leżała kartka papieru.

- Co to jest? - zapytała ostro, przeczuwając kolejny podstęp.

- Nie mam pojęcia. Trzeba uważać! - w Michale znowu obudziła się zawodowa ciekawość. - Po takim czasie mogła zupełnie zbutwieć. Czy ty jesteś pewna, że tu miały być monety wuja?

Inga zrobiła minę kogoś, kto właśnie dowiedział się, co wie. Pewnie podobne miny mieli rozmówcy Sokratesa.

- Właściwie to nie - odpowiedziała ostrożnie. - Powiedział tylko dziadkowi, że tu będzie coś bardzo ważnego.

- No i to chyba jest ważne - triumfował Michał; jeśli rozwiąże tę zagadkę, to będzie go znowu kochała, prawda? - Zachowało się wspaniale, pudełko było solidne, a szczeliny zabezpieczono woskiem.

- Czytaj - warknęła.

Drogi Bracie!

Piszę do Ciebie, bo gdy przeczytasz te słowa, nie będę Ci już nic mógł opowiedzieć. Piszę, aby wyjaśnić, jak zginąłem, i aby wytłumaczyć się z tego, co zrobiłem.

Przeżywam trudne chwile. Całe życie wypełniałem moje obowiązki, najlepiej jak umiałem. Zawsze starałem się słu-

250

żyć ojczyźnie i być posłusznym przełożonym, Teraz widzę, że moim obowiązkiem wobec ojczyzny jest nie

być posłusznym, gorzej stokroć: moim obowiązkiem jest uwolnić ojczyznę od mojego najwyższego przełożonego.

Przez setki lat Prusy rosły, aby spełnić swą dziejową misję - zjednoczyć naród niemiecki. Gdyśmy w końcu tego dokonali, nasz kraj był w oczywisty sposób predestynowany do przewodzenia zjednoczonemu państwu. Póki przewodził, cesarstwo rozkwitało.

Po narzuconej nam wojnie przewaga Prus się zmniejszyła i kraj pogrążył się w chaosie. Wyciągnął go z niego - trzeba mu to przyznać - przybłęda z katolickiego Południa, Austriak, który pierwszych towarzyszy znalazł w Bawarii. Już wtedy można było przewidzieć, do czego doprowadzą jego rządy. Ale nie przewidzieliśmy. Popieraliśmy go, gdy odrzucił dyktat wersalski skazujący nasz naród na niewolnictwo i pozostawiający państwo bezbronny. Szliśmy z nim, gdy poprowadził nas, by odebrać stare pruskie miasta Danzig i Thorn. Wiwatowaliśmy mu, gdy na wypowiedzenie wojny przez Francję odpowiedział wojną błyskawiczną.

Lecz dziś, gdy ten niedoszły pacykarz nie chce zrozumieć, że przestał zwyciężać, prowadzi Niemcy do klęski. Dawno już przekroczył punkt kulminacyjny - nie jesteś zawodowym żołnierzem, ale czytałeś Clausewitza, więc wiesz, o co chodzi. On chyba Clausewitza nie czytał. On chyba w ogóle niewiele czytał poza własnymi wątpliwej jakości myślami.

Dziesiątki tysięcy niemieckich żołnierzy giną z rąk bolszewików. Setki tysięcy cywilów płoną w bombardowanych miastach. Tymczasem wódz i jego świta nie chcą myśleć

251

o racjonalnych działaniach: skróceniu frontu, rozmowach pokojowych. Nie siedzę w sztabie, siedzę w głębi lasu, ale wystarczy czytać oficjalne gazety, żeby się w tym orientować. Piszę o kolejnych sukcesach na froncie wschodnim i kolejnych odbitych miastach. Tylko dlaczego te miasta leżą coraz dalej na zachód, coraz bliżej terytorium Rzeszy?

Tymczasem w Niemczech i na okupowanych terenach toleruje się barbarzyństwa wprost niespotykane. W czasie polskiej kampanii sam widziałem egzekucję tysiąca zupełnie przypadkowych Żydów przez SS. Złożyłem oficjalne skargę, chciałem postawić morderców pod sąd, ale są bezkarni. Wydaje mi się, że wódz o tym doskonale wie. Po 10 listopada trudno w to wątpić.

Ani Ty, ani ja nie byliśmy nigdy wielkimi przyjaciółmi Żydów w ogólności. Wobec wielu z nich należałoby zastosować środki administracyjne; jedna grupa wyznaniowa nie powinna mieć tak dużego wpływu na losy państwa. Ale przecież wspominamy 10 listopada nie tylko jako dzień śmierci syna naszego sąsiada, ale także jako dzień hańby okrywającej cały naród. I więcej: jako dzień upadku państwa pruskiego. Państwa, w którym byle młynarz mógł wygrać proces z królem, gdy ten naruszył jego prawa.

W 1939 roku musieliśmy interweniować w sprawie Horstów z Schönwaldu. Gdyby nie ich syn w wojsku, pewnie mimo naszych protestów trafiliby wszyscy do obozu. I to tylko zaprzyna-leżność do legalnie

działającego w Niemczech stowarzyszenia!

Wszystko to hańba i obraza Boża równie wielka jak pogańskie szopki wodza i jego świty. I nieważne, że nieprzyjaciele też mordują ludność cywilną. My, Niemcy, powinniśmy

spełniać swój obowiązek rycerskiej walki, nie oglądając się na to, jak walczy wróg.

Nie wiem, czy mam być dumny, że pracuję dla Rzeszy, pomagając w programie, który może odwrócić bieg wojny, czy wstydzić się, że pomagam szaleńcowi. Czy wstydzić się, że gdy tylu Niemców narażało życie, ja - choć nie z własnej inicjatywy - siedziałem na zapleczu, czy być właśnie dumnym, że nie zabijałem niewinnych ludzi.

Szaleniec, który ujarzmił nasz naród, doprowadzi go do klęski i hańby. Czy gdyby teraz zginął, udałoby się ocalić Niemcy? Przed klęskę - nie wiem. Przed hańbę - na pewno tak. Mam nadzieję, że niemieccy oficerowie, którym teraz chyba brak odwagi, zbudzą się z letargu i zakończą honorowo tę straszne wojnę. Inaczej nie wiadomo, jakie klęski spadną jeszcze na nasz kraj.

Cóż jednak ja, kapitan zaszyty w lesie, mogę zrobić dla kraju? Modliłem się o okazję. I zostałem wysłuchany. Oto za tydzień szaleniec zjawi się w naszej jednostce. Wizytuje teraz ośrodki badań zbrojeniowych, chyba widzi w nich ostatnie nadzieję na zwycięstwo. Gdy wtedy zdarzy się rzekomo nieszczęśliwy wypadek, eksplozja materiałów wybuchowych w magazynie, może Bóg pozwoli nam odwrócić los Niemiec.

Składałem przysięgę na wierność Adolfowi Hitlerowi. Ale przysięgałem mu jako wodzowi narodu, niejako osobie prywatnej. Jeśli sprzeniewierzył się swojej roli i, zamiast służyć Niemcom, prowadzi je do zguby, muszę wybrać: posłuszeństwo wodzowi czy posłuszeństwo narodowi. Wybór to tragiczny - ale oczywisty.

252

253

Na jego uzasadnienie mógłbym nawet - gdyby to było potrzebne - przytoczyć słowa samego wodza:

„W godzinie, kiedy ciało narodu najwyraźniej ulega zagładzie i prawdopodobnie zostanie poddane najcięższemu uciskowi, wskutek działalności kilku łobuzów, posłuszeństwo i spełnianie obowiązku oznaczają w obliczu doktrynalnego formalizmu czyste szaleństwo, jeśli z drugiej strony przez odmowę posłuszeństwa i spełnienia obowiązku jest możliwe uratowanie narodu od zagłady”.

Jeśli mam być wiernym przysiędze, powinienem postępować zgodnie ze wskazówkami wodza - także tymi cytowanymi.

Dłużej niż nad przysięgą rozmyślałem nad przykazaniami Bożymi. Choć jestem żołnierzem i moim rzemiosłem jest zabijanie, czym innym jest zabicie w otwartej walce, czym innym zaś skrytobójstwo. Tak, skrytobójstwo - jeśli się coś robi, trzeba mieć odwagę nazwać to po imieniu. Cóż nam jednak pozostało?

Bóg nie zabrania zabić szaleńca, który wtargnął do miasta i morduje niewinnych ludzi. Tym bardziej więc możemy zabić szaleńca, który gubi cały naród. Bardziej trapi mnie możliwa śmierć kilku może nie niewinnych, ale mniej winnych osób. Najmniej - moja własna.

Sądzę jednak, że innego wyjścia nie ma. I więcej, że ta wizyta zesłana została jako odpowiedź na moje modlitwy.

Jeśli dożyjesz czasów silnych, praworządnych i spokojnych Niemiec, powiedz narodowi, co się stało w Schwarzenbergu.

Twój brat Wilhelm Schwarzenberg, 7 maja 1944

PS Do przeprowadzenia całej sprawy potrzebowałem sporych funduszy. Sprzedałem swoje monety, ale niewiele były warte. Musiałem zarekwirować zbiór dr. Mokrzyńskiego z Gdyni. Jeśli mu powiesz, na jaki cel zostały przeznaczone, może wybaczy, ale spróbuj mu w jakiś sposób wynagrodzić tę stratę.

- Jest jeszcze coś.

Drogi Fryderyku!

Z moich planów nic nie wyszło, bo ewakuujemy fabrykę w nieznanym kierunku. Spakowałem maszyny i laboratoria. Wyjeżdżamy jutro. Robotników przejęło SS, mają ich przewieźć swoim transportem. Ich dowódca obiecał dowieźć wszystkich na miejsce. Nie wierzę esesmanom, ale co było robić, wytłumaczyłem tylko, że ci ludzie są cenni dla Rzeszy, bo następnych musiałbym przyuczać od nowa. Ponoć szaleniec odwiedzi nas w tym nowym miejscu. Jeśli tak się stanie, to może wtedy uda mi się zrealizować swój plan.

Willi

5 czerwca 1944

- A więc nie kazał zabić robotników? To czemu go za to skazali? Nie mógł wszystkiego wyjaśnić? Nic z tego nie rozumiem.

Michał wstał, przeszedł się z listami w ręku kilka razy tam i z powrotem. W końcu oparł się o drzewo i powiedział:

254

255

- Wydaje mi się, że nie chciał opowiadać wrogom, jak planował zabić swojego wodza. Nie chciał się poniżyć. Widziałaś akta z jego procesu?

- Nie.

- A ja widziałem. W ogóle nie wdawał się w dyskusje, nie zaprzeczał, nie próbował się bronić. Powtarzał

tylko: „Poddałem się, oczekuję traktowania zgodnego z konwencją”. Honor niemieckiego oficera nie pozwalał mu się zniżyć do poziomu farsy, jaką jest sąd zwycięzcy nad pokonanym.

- Ja tego nie wytrzymam - wyszeptła Inga.

Michał przytulił dziewczynę. Pachniała jeszcze wściekłością. Teraz się rozplakała.

- Czy ty rozumiesz, co się tu dzieje? Spotykam wyjątkowego faceta, ale nie mogę się normalnie zakochać, bo musimy coś przed sobą ukrywać. Kiedy wydaje się, że wszystko jest dobrze, on mnie zdradza. I to gorzej niż z inną kobietą. Chciałabym to wybaczyć. Nie wiem, czy umiem. Jednak jakoś bym to zniosła. Ale kiedy przez całe dzieciństwo słucham kłótni rodziców z dziadkami o wojnę i o wujka, w szkole uczę się, że powinnam się wstydzić, że jestem Niemką, kiedy w końcu mam własne poglądy, kiedy sądzę, że wuj, o którego tak się kłóci rodzina, nie był ani zbrodniarzem, ani bohaterem, tylko wykonywał dobrze swoją pracę, wtedy dowiaduję się, że ten wuj był dodatkowo pospolitym złodziejem. A następnego dnia - że poza tym był bohaterem, który chciał poświęcić życie dla ratowania kraju, a potem był zbyt dumny, żeby bronić się przed fałszywymi oskarżeniami. A przy tym pozostał prawdziwym Prusakiem. To

wszystko przez tydzień. To naprawili i ilu o /,i du/n ,11,,

małej Ernestynki.

Na pomorskich polach pi.u owali lud/i, i ma. wn W n,

tysięcznym Słupsku, trzydziestos/.ośuol) lęj n 111 i ku i czternastotysięcznym Sławnu- mieszl uńi , pol ojnli pracowali, załatwiali swoje sprawy, snuli plan na na i. pni lata i dziesięciolecia. Pociągi przewoziły tysiące pasażerów i tony towarów. Z portu w Ustce wychodziły w morze kutry i wracały z tonami świeżych ryb.

256

ó. Traig

Nawet zagorzali niemieccy nacjonałści przyznają, że nazwa „Pommern” pochodzi od słowiańskiego „Pomorze” - „kraj nad morzem”. Czy wynika stąd, że Słowianie byli tu przed Germanami?

I tak, i nie.

Słowianie żyli tu w X wieku, tysiąc lat przed dziewiętnastowiecznymi Prusakami. Ale czy tych ostatnich można uważać za lud germański tylko dlatego, że mówili po niemiecku? Większość z nich była pochodzenia słowiańskiego. Wspominał o tym jeszcze Bismarck, zresztą uznając ten fakt za szczególnie korzystny dla swojego kraju. Germanizacja Pomorza nie polegała tylko na osadnictwie, ale w znacznym stopniu na asymilacji miejscowej ludności. Mówienie, że Słowian zastąpili Germanie (albo Polaków - Niemcy) w sytuacji, gdy pierwsi byli przodkami drugich, jest nieco mylące.

Z drugiej strony, choć pisana historia zaczyna się akurat w momencie, kiedy Pomorze zajmowali Słowianie, Germanie

byli tam jeszcze wcześniej, o czym dowiadujemy się z danych archeologicznych.

Czy więc należy przyznać rację tym, którzy twierdzą że są to „ziemie odwiecznie germańskie”?

Oczywiście nie.

Germanie nie zasiedlili pustki, ktoś był tu przed nimi. Kto - dokładnie nie wiemy. Możemy zbadać, jakich naczyń ci ludzie używali i jak je zdobili, jak budowali groby i co do nich wkładali, ale rzadko udaje się nam domyślić, co czuli i jak myśleli. A także kto spośród współczesnych może się uważać za ich potomka.

Na południu Polski znaleziono wiele śladów po Celtach. To oni wytapiali żelazo w Górach Świętokrzyskich, to od nich ponoć pochodzą legendy o Kraku i Wandzie, o Popielu i myszach, a słowo Ilech po celtycku znaczy „bohater”. Ostatnio odnaleziono ślady osadnictwa celtyckiego na Pomorzu. Być może więc przed kilkunastoma wiekami elitę intelektualną tych ziem stanowili druidzi.

Jak Celtowie nazywali Pomorze, nie wiadomo; możemy sobie tylko wyobrażać, że również dla nich był to „kraj nad morzem”. A więc wcześniejsza nazwa regionu mogła brzmieć podobnie do irlandzkiego traig - „wybrzeże”.

Trzeba tylko pamiętać, że i Celtowie nie byli pierwszym ludem na tych ziemiach.

Michał Dziwok

Autor jest studentem IV roku historii na Uniwersytecie Gdańskim.

258

Ostrzeżenie i uwagi autora

Osoby, które lubią się uczyć historii z powieści, ostrzegam, że nie jest to właściwe postępowanie i że powinny skorzystać z przeznaczonych do tego celu podręczników.

Przed wszystkim zaś nie należy utożsamiać bohaterów powieści z postaciami rzeczywiście istniejącymi, nawet jeśli podobieństwa między nimi nie są czysto przypadkowe, ale wynikają z korzystania przez autora z dowolnie wybranych, przekształconych i wymieszanych motywów z autentycznych źródeł historycznych.

Nie mogłem się oprzeć pokusie wykorzystania doskonałego, choć cudzego zdania wypowiedzianego przez polskiego autochtona o hitlerowcach: „Oni nie są Niemcami, tylko się za takich podają”. Podaję więc źródło:

Bolesław Jażdżewski, Wspomnienia kaszubskiego gbura, Gdańsk 1992.

Pierwsze motto każdego rozdziału pochodzi z wiersza Cypriana Kamila Norwida Pieśń od ziemi naszej, drugie zaś

z piosenki Michała Zabłockiego Bracka śpiewanej przez Grzegorza Turnaua.

Cytaty z wierszy e.e. cummingsa w przekładzie Stanisława Barańczaka.

Mein Kampf Adolfo Hitlera cytuję za książką:

W. Venohr, Stauffenberg - symbol oporu, Warszawa 2002.

Wierszyki na bombonierce pochodzą z prawdziwej, współczesnej nam bombonierki. Wydaje się, że są to popularne w podobnych wypadkach wierszydła, a kiedy zostały napisane i czy ich użycie w książce nie jest anachronizmem - nie mam pojęcia. Ale to naprawdę nieważne.

260

4. Pan majster

5. Sieć

176 194

SPIS TREŚCI

*** 5

Rozdział 1 NA PÓŁNOC 9

1. Czarna Górka 11

2. Schónwald..... 20

3. Dziadek Jorg 29

4. Pod pomnikiem świeckiego boga..... 47

5. Non quia pulchra..... 56

6. Pomerania 69

Rozdział 2 NA WSCHÓD..... 73

1. Metyloindol..... 75

2. Aptekarczyk..... 86

3. „Trocki-Che-Mao" sp. z o.o..... 101

4. Cytat z Góringa..... 118

5. Słupskie Koleje Powiatowe SA 133

Rozdział 3 NA POŁUDNIE 137

1. Meine neue Heimat.....	139
2. Vietato scilare.....	152
3. Schwarzenbere	160
Rozdział 4 NA ZACHÓD.....	197
1. Trzeci przepust	199
2. Zaraz wracam	214
3. Piękny Las	222
4. Szymwałd.....'	237
5. Ernestynka.....	249
6- Trn.....	258
Ostrzeżenie i uwagi autora	260

Dystrybucja:

Platon sp. z o.o.

ul. Kolejowa 19/21, 01-215 Warszawa

tel. 22 631 08 15

e-mail: platon@platon.com.pl

Dictum sp. z o.o.

ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa tel. 22 663 98 13 e-mail: biuro@dictum.pl

PRINTED IN POLAND

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2010 r. ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa e-mail: piw@piw.pl
www.piw.pl Wydanie pierwsze

Skład i łamanie: Oficyna Poligraficzna „Polico-Art”, Warszawa Druk i oprawa: Drukarnia Pasaż sp. z o.o.,
30-363 Kraków •